

KSIĄŻNICA POLSKA

TOW. NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

Lwów, ul. Czarnieckiego 12.

Warszawa, Nowy Świat 59.

poleca następujące wydawnictwa:

Adamczewski St. — Zbiór zadań i pytań z literatury polskiej.**Chrzanowski I. i Wojciechowski K.** — Wypisy polskie dla klas wyższych szkół średnich Cz. I. (do r. 1822).**Mickiewicz A.** — Pan Tadeusz. Objaśnili i zastosowali do potrzeb szkolnych J. Bystrzycki i M. Janik.**Łoś J.** — Zasady ortografii polskiej i słowniczek ortograficzny wedle zasad Polskiej Akademji Umiejętności — Wydanie drugie — zmienione.**Próchnicki F.** — O ważniejszych gatunkach poezji i prozy.**Próchnicki F. i Wojciechowski K.** — Wypisy polskie dla szkół średnich T. IV.
— Wypisy polskie T. V.**Romanowski M.** — Wybór pism, wyd. Tad. Pini T. I i II.**Skoczylas L.** — Wyspiański jako poeta państwowości polskiej.

WYPISY POLSKIE

DLA SZKÓŁ ŚREDNICH

TOM V

(NA KLASĘ PIĄTĄ)

WYPISÓW F. PRÓCHNICKIEGO i K. WOJCIECHOWSKIEGO
TOMU V WYDANIE NOWE

LWÓW - WARSZAWA

KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

1922



884-82

TREŚĆ

1. Zdania i uwagi przez Adama Mickiewicza	1
2. Odyssea Homera, w wyborze	2
3. Z Pamiętników Jana Paska	47
4. Z życia towarzyskiego w dawnej Polsce, przez Władysława Ło- zińskiego	62
5. Albośmy to jacy, jacy...	70
6. Podkóweczki niestalone...	71
7. Zagrajże mi, ty graczyku...	71
8. Do mojego grajka, przez Teofila Lenartowicza	72
9. Wesele chłopskie, przez Władysława Reymonta	73
10. Siadajże, siadaj...	85
11. Kołacze, przez Szymona Szymonowicza	86
12. Kołacze Szymonowicza, przez Bronisława Chlebowskiego	88
13. Mohort (w skróceniu), przez Wincentego Pola	93
14. Wiatr halny, przez Jana Kasprowicza	106
15. Śpiący rycerze, opowieść ludowa, przez Kazimierza Tetmajera	107
16. Noc, przez Marię Markowską	108
17. Lubor, przez Józefa Bohdana Zaleskiego	109
18. Z młodości Bolesława Prusa, według Piotra Chmielowskiego	111
19. Nawrócony, przez Bolesława Prusa	119
20. Z poematu „Zachwycenie“, przez Teofila Lenartowicza	140
21. Anioł Pański, przez Kazimierza Tetmajera	147
22. Południe, przez Zdzisława Dębickiego	149
23. Zdobycze pług polskiego, przez Karola Szajnochę	149
24. Karol Szajnocha, według Klemensa Kanteckiego	158
25. O miłości ojczyzny, przez Piotra Skargę	164
26. Matejki Kazanie Skargi, przez Stanisława Tarnowskiego	172
27. Jan Bielecki, przez Juliusza Słowackiego	178
28. Książę Józef Poniatowski, przemówienie, przez Szymona Aske- nazego	191
29. Książę, wizja, przez Zdzisława Kleszczyńskiego	199
30. Farys, przez Adama Mickiewicza	202
31. Wniebowzięcie, przez Kornela Ujejskiego	206
32. Ojciec Zadżumionych, przez Juliusza Słowackiego	206

33. Kwarantanna na pustyni, przez Juliusza Słowackiego	216
34. Stała się nam nowina....	220
35. Lilje, przez Adama Mickiewicza	221
36. Idzie żołnierz borem, lasem	226
37. Latarnik, przez Henryka Sienkiewicza	227
38. Wieczory, przez Lucjana Rydla	242
39. W małej piosnce, przez Marię Konopnicką	243
40. O miłości ojczyzny, przez Karola Libelta	243
41. Reduta Ordon, przez Adama Mickiewicza	253
42. Z Dziejów Bałki Murmańskiej, przez Eugenjusza Małaczew- skiego	256
43. Toast, przez Henryka Sienkiewicza	267

Mądrość.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię z bogacą;
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

Słowo i czyn.

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Cnota.

Gdy pełniąc cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

Adam Mickiewicz. Zdania i uwagi.

2. Z Homera Odyssei

(w przekładzie Lucjana Siemieńskiego¹⁾).



Muzo! męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błdził i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział; poznał tylu ludów
Zwyczaj, a co przygód doświadczył i trudów!
A co strapien na morzach, gdy przyszło za siebie 5
Lub za swe towarzysze stawić się w potrzebie,
By im powrót zapewnić! Nad siły on robił.
Lecz druhów nie ocalił: każdy z nich się dobił
Sam głupstwem własnem. Czemuż poświęcone stada
Heljosowi²⁾ pojadła niesforna gromada? 10
Za karę bóg też nie dał cieszyć się powrotem.
Jak było? powiedz, córo Dios³⁾, coś o tem!

Wszyscy inni, uszedłszy srogiego pogromu
Krwawych burz i bitw morskich, wrócili do domu.
Jego tylko, serdecznie do swoich, do żony 15
Tęskniącego, trzymała w skale wydrażonej
Nimfa Kalipso, z bogiń najcudniejsza kształtem.
Pragnąca go małżonkiem przy sobie mieć gwałtem.
A nawet, kiedy nastał w czasów kołowrocie
Ów rok, iż z woli bogów o prędkim powrocie 20
Do Itaki mógł myśleć, to jeszcze i wtedy
Nie ujrzał swoich, końca nie widział tej biedy.
Zgoła wszystkim niebianom żal było tułacza;
Posejdon sam mu tylko mściwy nie przebacza
I wciąż, póki nie wrócił do dom, ścigał w tropy. 25
Szczęściem bóg ten był odszedł aż na Etyjopy,
Zamieszkujące ziemi rubieże ostatnie,
A rozpadłe w dwóch ludów połowice bratnie.
Z tych jedni wschód, a zachód drudzy zamieszkali;
A gdy ci hekatombę sutą wyprawiali 30
Z byków i kóz, Posejdon godował wraz z nimi.
Podonczas Zeus olimpski ze zgromadzonymi

¹⁾ Lucjan Siemieński, poeta oryginalny i tłumacz, autor wielu prac o poetach polskich i ich utworach. Umarł w roku 1877, pochowany w „grobie zasłużonych“ na Skałce. ²⁾ Heljos, bóg słońca. ³⁾ Dios - Zeusa.

W pałacu swym z bogami zasiadł i w te słowa
Mówił on, rodu bogów i ludzkiego głowa,
Że myśl jego Egistem gładkim zaprzątniona, 40
Którego zabił Orest, syn Agamemnona...

Więc na to mu Atena rzekła sowiooka:
— Ojczu, o mój Kronidzie!¹⁾ cześć tobie wysoka,
Że on zdrajca²⁾ wziął karę słuszną za swe zbytki:
Oby tak każdy ginał, jak on zbrodniarz brzydki! 45
Zato serce się kraje, gdy na myśl mi przyjdzie
Ów nasz dzielny Odyszej, co tyle lat w biedzie
Siedzi tam udręczony, tęskniący za domem,
Na ostrowiu lesistym, wkoło mór ogromem
Oblany, kędy nimfa mieszka tam, urodna 50
Córa Atlasa, morze znającego do dna,
Barkiem dźwigającego wielkie słupy one,
Na których wisi z ziemią niebo zawieszone.
Ona to stęsknionego tułacza wciąż trzyma,
Czaruje go pochlebstwem, pieszczotą, oczyma, 55
By się wyrzekł Itaki. On się nie wyrzeka
byle dym itacki ujrzeć choć zdaleka,
Jużby umarł bez żalu! Ciebież to nie wzrusza,
O mój Olimpski! za nic masz Odysseusza
Tyle ofiar nam danych pod Troją, gdzie nawy 60
Argejskie stały? Zeusie! bądźże mu łaskawy.

Odpowiedział jej na to Kronid gromowładny:
— Jakież to z ust twych wyraz wymknął się nieskładny?
I jażbym Odysseja w pamięci zagubił,
Najmędrszego, co tyle obiat składać lubił 65
Nam nieśmiertelnym panom na niebie szerokiem?
Li Posejdon go ściga zemstą krok za krokiem
Nieubłaganą zato, że mu tam Kiklopa
Polifema oślepił, najdłuższego chłopca,
Mocnego jak bóg... 70
....Z tych przyczyn Posejdon wre złością
I nie zabić Odyssa, ino przeciwnością
Chce go znękać, w powrocie do dom mu przeszkadzać.
Nato sposób: na wiecę bogów pozgromadzać
I powrót mu zapewnić. Posejdon gniew złoży; 75
Sam on nic nie podoła przeciw sile bożej,
Gdy wszyscy nieśmiertelni na niego powstaniem.

Na to Atena z takim ozwała się zdaniem:
— Ojczu Kronidzie! władco władających mocarzy!
Jeśli na wiecu bogów ten wyrok przeważy, 80

¹⁾ Kronida, syn Kronosa. ²⁾ Egist (Aigistos), bo skrzywdził wprzód ciężko Agamemnona, zabierając mu żonę, a potem go zabił.

Żeby Odys powrócił do ojczystych śmieci,
 To pchnijmy argobójcę¹⁾ Hermesa, niech leci
 Tam na ostrów Ogigji, i niech nimfie onej
 Pięknowiąsej oznajmi wyrok niecofniony
 O powrocie Odyssa do dom i bez zwłoki. 85
 Ja tymczasem obrócę na Itakę kroki,
 W synu²⁾ ducha poostrzę, rozbudzę w nim żywy
 Ogień męstwa, by zaraz na koło Achiwy
 Bujnokędziorne zwołał, a tych zalotników³⁾
 Odprawił: czy już nie dość baranów i byków 90
 Krętorogich mu zjedli? Potem pchnę mołojca
 Do Sparty i na Pylos⁴⁾ piaszczysty. Niech ojca
 Tam szuka i pozbiera o nim różne wieści;
 Przytem wśród ludzi sławy nabędzie i cześci. —

To rzekłszy, podwiązała złociste sandały 95
 Pod stopki sobie; niemi ponad morskie wały,
 Ponad bezbrzeżne stępy buja z wiatru wiewem;
 W dłoń pochwyciła oszczep z ciężkiem, długiem drzewem
 O miednym⁵⁾ grocie; tłumy mężów nim obala,
 Gdy ją, córę strasznego ojca, gniew zapala. 100
 Tak zbieżała ze szczytów Olimpu, aż wreszcie
 Stała u bram zamku Odyssa, tam w mieście
 Itace; w ręku oszczep dzierzająca spiżowy
 Niby tafijskie książę: Mentos gość domowy.
 Więc przed gankiem ujrzała dziarskich zalotników, 105
 Igrających wesoło ciskaniem kamyków,
 I na skórach tych wołów, co sami pobili,
 Porozwalanych. W dworze rojem się kręcili
 Keryksi⁶⁾, czeladź, jedni mieszali na poły
 W kraterach⁷⁾ wino z wodą; owi tarli stoły 110
 Smokliwemi gąbkami; ci nieśli zastawy
 I rozdzielali mięsne biesiadnym potrawy.

Gościa zoczył Telemach, podobien do bożka,
 Siedzący tam wśród gachów, wżdy myśl jego gorzka,
 Bo ciągle obraz ojca stał mu przed oczami: 115
 Oby wrócił, ład zrobił raz z tymi gachami
 I wypędził ich z domu! to i cześć odzyska
 I, jak pierwaj, zawładnie u swego ogniska.
 O tem, siedząc śród gachów, myślał, aż Palladę
 Ujrawszy, pobiegł do wrót szybko, choć nierade 120
 Serce w nim, że gościowi tak długo kazano

¹⁾ Argos, potwór stuoki, legł z ręki Hermesa, ²⁾ w synu Odysseusa, Telemachu, ³⁾ ubiegających się o rękę żony Odysseusa, Penelopy, ⁴⁾ miasto i kraina w Peloponezie, ⁵⁾ miedzianym, ⁶⁾ keryks, wyraz grecki, tu w znaczeniu: młody człowiek, wolny z rodu, ale pełniący posługę, ⁷⁾ krater: czara.

U wrót czekać. Więc ścisnął przez gościa podaną
 Prawicę, a odjąwszy mu z niej włócznię spiżową,
 Przemówił doń i takie rzucił lotne słowo:

— Rozgość się, cudzoziemcze; w domu moim witaj! 125
 Zjedz co wprzód, a potem o co chcesz się pytaj. —
 To rzekłszy, szedł — a Pallas za nim. Gdy tak w dwoje
 Wstąpili na wysokie zamkowe pokoje,
 Wzięty oszczep w osobnym postawił skarbczyku,
 Opierając go o słup, gdzie innych bez liku 130
 Odyssowych oszczepów stało w ładnym szyku.
 Zaś samą w krzesle sadził i roboty drogiej
 Kobierzeć jej podesłał, nożnik dał pod nogi,
 Obok niej na chędogiej sam zasiadłszy ławie,
 Lecz daleko od gachów; by gość przy tej wrzawie 135
 Niesfornej tłuszczy obiad mógł spokojnie spożyć
 A też, by się z myślami o ojcu otworzyć.

Służebna wraz przyniosła w nalewce złocistej
 Na srebrnej misie wodę i lała z drój czysty
 Jej na ręce: stół gładki postawiła przed nią, 140
 A z spiżarni różnego jada niepoślednio
 Zniosła skrzętna szafarka, toż chlebne pieczywo;
 Potem krajczy podawał przeróżne mięsiwo
 W kopiastych misach, kubki postawił przed nimi,
 A keryks je dolewał; wciąż były pełnemi. 145

Już rzesza butnych gachów weszła do świetlice,
 Długim rzędem zasiadła stołki i ławice;
 Keryksi wodę do rąk nosili, a chlebne
 Kosze na stół stawiały dziewczeczki służebne;
 Pacholcy w czasie wino leli zielonawe; 150
 I wszyscy się rzucili rękoma na strawę;
 A najadłszy, napiwszy do syta, marzyli
 Rozkosznicy o nowej dla się krotochwili.
 Do płasów ich ochota i do piosnek brała,
 Bez czego by się żadna uczta nie udała. 155
 Więc keryks dał cytarę Feniowi do ręki,
 Co umiał najsławniejsze wywodzić piosenki,
 A choć mu wobec gachów śpiewać się nie chciało,
 Brząknął w struny i dumę zanucił wspaniałą.

W czasie śpiewu Atena, zawsze w postaci Mentosa, zachęca Telemacha, by wytrwał, bo ojciec jego niewątpliwie wróci; winien jednak Telemach wybrać się w podróż, do Nestora, do Menelaosa, i u nich zaczerpnąć wieści o losach ojca; z zalotnikami mógłby się przedtem jeszcze uporać. (Pieśń I).

Telemach wyrusza istotnie, odwiedza Nestora, potem Menelaosa, który mu powiada, że według tego, co słyszał od bożka Proteusa,

Odysseus przebywa na wyspie Ogigji. — Równocześnie zalotnicy, dowiedziawszy się o wyjeździe Telemacha, „knują zdrady“ przeciw niemu i gotują mu zasadzkę. (P. II—IV).

Tymczasem Hermes z woli Zeusa, a za sprawą Ateny, podąża do siedziby nimfy Kalipso, bujając po „wodnej roztocy“:

Do wyspy się zbliżając, leżącej daleko,
Z wód wychynął i lądem posuwał się lekko
Aż do wielkiej pieczary, boginki siedliska,
Kalipsy długowłosej, którą u ogniska
Samą siedzącą zastał. Zdała już powiewek
Niósł po wyspie zapachy od płonących drewek
Żywicznych cedru. Głos jej wdzięczną brzmiał piosenką,
Gdy chodząc wkoło krosien, suwała czótenko.
Tę pieczarę mały różnych drzew gaiki,
To woniące cyprysy, topole, osiki;
W ich liściach długoskrzydlny ptak nocą się skrywa;
Sowa, krogulec, morska wrona też krzykliwa,
Co tak się rada pluskać u przybrzeżnej wody.
Wino rozkoszolistne pięło się na wschody
Głazów sklepiennych, gronne zwieszając jagody.
Z czterech krynic srebrzyste biegły tam poniki¹⁾,
To razem, to rozpierzchnę tam i sam w wężyki.
Miękkie łąki się stały przetykane kwiatem
Fiołków i opichu. Na miejscu tu na tem
Bóg nawetby się scieszył²⁾ i stanął jak wryty.
Toż i gończy Hermejas³⁾, widokiem podbity,
Stanął i w one wszystkie wpatrywał się czary,
A potem wszedł do pięknie sklepionej pieczary...

W pieczarze zastał nimfę Kalipso.

Lecz Odyssa nie zastał. Odys tam się żali,
Siedząc nad brzegiem morza, gdzie zwykle siadywał;
Dał serce westchnieniami, łzami się zalewał,
Wzrok topiąc ciągle w morze pustynne przed sobą.

Nimfie oznajmia Hermes, że z rozkazu Zeusa ma uwolnić Odysseusa bez zwłoki. Woli bogów Kalipso posłuszną być musi — Odysseus na tratwie odpływa. Ale płynącego spostrzegł Posejdon, wzniesła burzę, tratwę druzgoce. Odysseus wpław przybija do wyspy Feaków, Scherji, gdzie utrudzony niezmiernie, usypia na wybrzeżu. (P. V).

¹⁾ Strumyki. ²⁾ Bóg nawet doznałby uciechy, ³⁾ Hermes.

Usypiał boski tułacz Odys; sen już spada
Twardy na złamanego trudem. Wraz Pallada
Idzie w grodziec Feaków, leżący precz dalej.
Przedtem oni w szerokiej Hiperji mieszkali,
Gdzie wojenne Kiklopy mając za sąsiady,
Wciąż nękanych od pewnej ratując zagłady,
Wywiódł ich Nausitoos, on, bogom podobny,
I osadził na Scherji, kędy kraj zasobny,
A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyni¹⁾,
Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy —
Lecz kerą²⁾ zwalon, zstąpił w Aisa³⁾ podziemie...
Dziś mądry król Alkinój wziął w rządy to plemię.

Zatem Pallas-Atena w jego dworzec dąży,
A powrót Odysseja na myśli jej ciąży.
Szła prosto; do panińskich komnat się przemyka,
Gdzie córka Alkinoja śpi piękna Nauzyka,
Boginiom równa wzrostem, a wdzięczna jak one.
Niepośledniej urody dwie dziewy uśpione
Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.
Pallas, jak lekki powiew, do łóżka dziewoi
Przemknęła się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,
Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarsza,
Druchny jej najmilejszej i jej równolatki —
I mówiła bogini, owiana w kształt gładki:

„Oj Nauzyko! toż z ciebie leniuszek nielada!
Drogie szatki, bielizna precz brudem przypada,
A wesele za pasem! Mieję co pięknego
Dla družek, coć powiodą do pana młodego,
A i dla się, — bo zwykle strój czysty u ludzi
Zyszcze imię, w rodzicach ucieśnienie budzi.
Dalej zatem do prania! wyprzedź ranne zorze!
By rażniej poszła praca, każda ci pomoże:
Ja pierwsza. Raj paniński się kończy; wszak swaty
O ciebie już zachodzą od młodzi bogatej
I przedniejszej, bo przecież ród twój niepośledni!
Nuże! poproś rodzica pierw, nim się rozedni,
Aby ci kazał muły zaprząć w wóz drabiaty,
Nałożysz nań sukienki, przepaski makaty;
Jechać będzie wygodniej: pieszo zbolą nogi;
Przecież pralnie od miasta taki kawał drogi“.

To powiedziawszy, Pallas siwooka wraca
Znowu na szczyt Olimpu, do bogów pałaca,
Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,

¹⁾ mury, ²⁾ losem, przeznaczeniem, śmiercią (tłumacz zachował wyraz grecki), ³⁾ Ais - Hades.

Śnieżna zamieć nie prószy, tylko się przewija
Nieustanna pogoda, nito namiot lity.
Tam bogom raj wesela płynie niepożyty;
Tam wróciła Atena, napomniawszy śpiącą.

Wstała jutrznia, kotarą swą złotem kapiącą
Budząc Nauzykę. Panna swoim snom się dziwi,
Prędko z komnat do komnat bieży, by co żywiej
Rodzicom opowiedzieć. Zastała rodzice:
Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice —
I lekkuchnem wrzecionem krasną wełnę skręca;
Z ojcem zbiegła się w progu; właśnie go książęca
Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie;
Zabiegła mu i w uszy taką prośbę kładzie:

„Dobry tato, każ dla mnie zaprząć wóz, a długi,
Z wartkimi koły; pilno mi jechać do strugi
Prać bieliznę; bo tyle już jej się zebrało!
Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,
Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.
Wszak i doma jest pięciu dorodnych junaków,
Dwóch żonatych, trzech jeszcze chłopiat już niemających,
Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych
Na płasy, a wszystkiemu radź tu, moja główko!“ —

Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słówko
O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego
I rzekł: „Nie bronić, córko, ni mułów, ni czego;
Natychmiast niech parobcy wóz zaprzęgą mułmi,
Wysoki, wypłatany i z wartkimi kółmi“.
To rzekłszy, krzyknął; czeladź przyskoczyła żwawo:
Wóz koleśny wytoczon stoi przed wystawą;
Wiodą muły; zaprzężna idzie w dyszel para.
Nauzykaa z komory znosi co niemiarą
Cienkich szat i bielizny, wóz naładowywa;
Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa
I jarzynek tka w rękę; była i łagiewka
Skórzana z winem w drogę (na wóz siadła dziewczka);
O dzbanuszkę z oliwą matka też pamięta,
By wyszedłszy z kąpieli, ona i dziewczęta
Miały czem się namaścić. Ot! już wzięła wodze,
Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze
Pokłusowały muły, ciągnąc ciężar z panią:
Wždy nie samą, i dziewczki siedziały tuż za nią.

Owoż, gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,
Gdzie w cembrzyny kamienne sączą się poniki
Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne,
Prędko muły wyprzęgą i puszcza swobodnie
Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą

Wyściela brzegi rzeki. Potem z woza znoszą
Bieliznę, i po sztuce w ocembrzone wody
Kładą, deptąc nogami, piorą na wyprzody.
Wypłótkawszy do plamki wszystko, jak należy,
Rozpościerają rzędem wzdłuż ciepłych wybrzeży
Nad morzem, kędy fale gładki żwiru ścielą.
Skończywszy wraz się chłodzą zdroistą kąpielą,
Oliwą maszczą członki, potem na trawniku
Siadają do smacznej strawy, a szatki w wietrzyku
Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyli łakotki,
Staną do piłki, z głowy odrzuca namiotki.
Pustującym piosenkę zaśpiewa królewna,
Rzekłszy, że z Artemidą łowczynią pokrewna,
Co przez bór Erymantu lub Tajget ugania¹⁾,
Rada, gdy z rąk jej padnie odyniec lub łania;
A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem
Pustują w koło. Leto²⁾ cieszy się widokiem,
Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,
I snadno poznać, czym jest w orszaku dziewiczym.
Owo tak rej wśród swoich królewna prowadzi.

Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,
Zaprzęga muły, suche już składa odzież,
Wtedy Pallas-Atena na sposób się bierze,
By Odyszej się zbudził, zobaczył dziewicę
I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.
Więc ku dziewczkom rzucona piłka z rąk Nauzyki
Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,
A one w śmiech i wrzaski. Odys ze snu rwie się.
Usiadł — strwożone serce te myśli mu niesie:
„Biada mi! do jakichże dostałem się krajów?
Między dzicz nieochajną, czy kupę hultajów?
Bodaj między gościnny lud do cnót nałożon;
A toż co za niewieści wrzask? niby dziwożon,
Co rade zamieszkują skał wierzchy wyniosłe
I źródła rzek i łągi trawami zarosłe.
Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:
Dalej! zobaczmyż tedy, skąd one chychoty?“

To powiedziawszy Odys, wypełznął na raku
Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku
I ciastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.
I tak sunął, jak górski lew, kiedy zuchwało
Kroczy w deszcz, zawieruchę; we łbie gorą ślepie,
Aż przydybie gdzie bydło, trzodę owiec w stepie,

¹⁾ Erymantos — góra w Arkadii, Tajgetos — w Lakonji. ²⁾ Leto (Lakonia), matka Artemidy i Apollina.

Albo w boru jelenie, a gdy głód doskwiera,
 Dusić drobną chudobę do obór się wdziera.
 Otóż tak szedł Odysej ku pannom: nie żeby
 Nie zważał na swą nagość, ale szedł z potrzeby. 135
 Straszny im zdał się, morskiem owalany błotem!
 Widząc go, wszystkie w nogi i na wzgórek potem;
 Jedna Nauzyka stoi. Atena jej tchnęła
 Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła. 140
 Nie rusza się i czeka. Odysej sam nie wie,
 Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzącej nań dziewie,
 Czyli, jak stał, zdaleka wzniesć prośbę pochlebną
 O pokazanie drogi i odzież potrzebną.
 Ta myśl w ciężkim kłopotcie przyszła mu wybornie;
 Więc, jako był zdaleka, pochlebnie, pokornie 145
 Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie
 I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:
 „Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną!
 Jeśli jedną z tych bogiń w niebiesiech udziałną,
 Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kronjona,
 Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona.
 A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu,
 Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,
 Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie
 Serce przy tobie! jak się rozplywa radośnie, 155
 Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!
 Lecz szczęściu oblubieńca cóż mogłoby sprostać,
 Jeśli za hojne wiano zawiezie cię do dom?
 Różnym ja się, przeróżnym napatrział narodom,
 A równej nie znam tobie. Cześć i podziw razem!
 Niedys widziałem w Delos, przed żertwiennym¹⁾ głazem
 Feba, latorośl palmy: jak ty, w górę strzela —
 Bom się i tam zapędził także z ludu wiele 160
 W tej tułaczce, gdzie zbieram same łzy i znoje, —
 I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoję.
 Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!
 Owóż równe zdumienie i podziw jednaki
 Ima mię, gdy ci objąć ze czcią chcę kolana...
 Tak wielka moja nędza, iście niesłychana... 170
 Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał,
 Dni bowiem tyle rwał mię prąd, a wicher chłostał
 Wciąż od wyspy Ogigji, aż z demoniej psoty
 Wyrzuconym jest tutaj na nowe kłopoty.
 Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo, z bogów woli!
 A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli 175

¹⁾ przeznaczonym do składania ofiar.

Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej
 Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.
 Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało, 180
 Choćby płachtą z bielizny! i toby się zdało,
 A bogi cię najmielszą opatrzą nagrodą:
 Dadząc męża i domek, przenajświętszą zgodą
 Pobłogosławia! Skarb to najcenniejszy w świecie,
 Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie, 185
 Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,
 Cieszą drухy! a oni nad wszystkich szczęśliwi!“ —
 Białoramienna panna w te ozwie się słowa:
 „Widno, żeś człek niepodły, ani miałka głowa.
 Darmo! woli Zeusowej nikt się nie wybiega, 190
 I czy pan, czy chudзина, losowi podlega.
 Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię,
 A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,
 Okryjem cię, niczegoć nie będzie brakować,
 Co tylko obcy tułacz może potrzebować. 195
 Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko.
 My Feaki, tę ziemię zamieszkujęm wszystką.
 Jam córka Alkinoja; wyższego tu niema:
 On władzy i potęgi w rękę berło trzyma!“

Za zachętą Nauzyki Odyseus zdąża do miasta, siedziby Alkinoosa (P. VII).

Drogę wskazuje mu Atena:

Odyś w królewskie gmachy podążył w tej dobie
 I długo stał przed niemi i rozważał sobie:
 Czy ma nogą przestąpić pański próg spiżowy, 5
 Gdzie, jak promień słoneczny lub blask księżycowy,
 Wnętrze komnat pałało. Ściany wyłożone
 Miedzią, biegły to w jedną, to w drugą znów stronę,
 Od progu w głąb i głębiej; wkoło gzyms niebieski,
 Wewnątrz w każdej świetlicy drzwi ze złotej deski; 10
 Próg miedny¹⁾ odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie
 Ze srebrnej belki. U drzwi też złote pierścienie.
 Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi,
 Co je Hefajstos ukuł, ten mistrz w sztuce swojej —
 Leżały rzkomo stróże domu swego pana;
 Ani śmierć, ani starość stróżom tym nieznana; 15
 Od progu w głąb i głębiej w rząd poustawiane
 Pod ścianami, szły stołki; na stołkach zaś dziane
 Kobierce, ręką niewiast misternie wyszyte.

¹⁾ miedziany.

Tam siadają feackie pany znamienite,
 Jedząc, pijąc; nie zbywa nigdy im na niczem.
 Na podstawach dokoła z młodzieńcem obliczem
 Stały złote posągi, trzymając kagańce,
 Gościom przyświecające przy nocnej hulance.
 Pięćdziesiąt tam niewolnic krzątało się w dworze,
 Te obracały żarna, mieląc płowe zboże,
 Inne przy krosnach, kądziel znowu przędły inne,
 Jak liście na topoli, wciąż w ruchu, wciąż czynne,
 Zbijały pasma tkanin mocno, aż z warsztatów
 Tkackich tłustość ściekała. Bo jak tęższych chwatów
 Nad Feaki do morskich wypraw niema w świecie,
 Tak dowcipem nie sprostą feackiej kobiecie
 Żadna inna w tkaninach misternej roboty:
 Atena im wyłącznie dała te przymioty.
 Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony,
 Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony;
 Kędy drzewa wysokie i kwieciem okryte
 Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite,
 Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były;
 Przez rok cały tak zimą, jak latem rodziły,
 Bo w ciepłym zefirze, co tam wciąż powiewa,
 Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa,
 Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha,
 Figa figę, i owoc zawsze się uśmiecha.
 Widać tam i winnicę bujną w winogrona,
 Część jej duża na upał słońca wystawiona,
 Ażeby schły jagody; więc jedne w kosz biorą,
 Drugie tłoczą. Wiośniarki dochodzą niesporo;
 Tu kwiat ledwo, tam już się rumienia jagody.
 Za sadami warzywne leżały ogrody;
 Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bez liku;
 Są dwie krynice: jedna wiję się w poniku
 Przez sady; druga pańskie podwórze obmywa;
 Z niej wody na potrzeby lud miejski używa.
 Taka to nad królewskim domem łaska bogów!

Alkinoos przyjmuje gościa serdecznie, przyrzeka mu, że go odeszle do domu. W czasie biesiady Odysseus, nie wyjawivszy swego imienia, opowiada o przygodzie, jakiej doznał w czasie przeprawy z wyspy Oigiji. (P. VII).

Na cześć gościa wyprawia nazajutrz Alkinoos igrzyska, na których Odysseus odnosi zwycięstwo. Poczem młodzież feacka popisuje się tańcem, poczem znów biesiada w pałacu królewskim, a umila ją śpiew pieśniarza Demodokosa o koniu drewnianym, wprowadzonym podstępnie do Troi. Pieśń ta tak rozrzewnia Odysseusa, że łzy ukazują się w jego

oczach. Alkinoos, żywo tem zaciekawiony i wzruszony, prosi go, by wyznał, kim jest, i by opowiedział swe losy. (P. VIII).

Odysseus wyjawia wówczas swe imię i poczyną prawić o „prowocie nieszczęśliwym“ z pod Troi. Wspomina swe walki z Kikonami na wybrzeżach trackich, dalsze przygody, przybycie z towarzyszami do ziemi Cyklopów:

Gdyśmy się już z kiklopskiem zrównali wybrzeżem,
 Na samym końcu lądu pieczarę spostrzeżem,
 Co obrosła chaszczami lauru, gdzie kóz trzoda
 I owiec nocleg miewa; jest tam i zagroda,
 Zrobiona z brył ogromnych, ze skał w ziemię wbitych,
 Także i gonných sosien, z dębów niepożytych.
 Tam to mieszkał wielkolud, który swoje stada
 Sam pasie, nie widuje żadnego sąsiada
 I znać nie chce, więc żyje on tylko sam sobą,
 Karmiąc własne swe serce chytrąścią i złością.
 Potwór to był szkaradny; równego pacholka
 Nie znaleźć między ludźmi: do góry wierzchołka,
 Obrosłego borami, porównać go raczej,
 Co, nad garby wystrzelon, zdala już majaczy.

Dałem rozkaz czeladzi tej, co zostać miała
 Na pokładzie, by statku czujnie pilnowała.
 A sam chwatów dwunastu dobrawszy, wychodzę.
 Wziąłem też z sobą bukłak¹⁾ z winem mocnem srodze,
 Które Maron Ewantycz był mi podarował...
 Tegom wina wziął w bukłak, przytem pożywienie
 W biesagi²⁾ na przypadek, gdyż mi coś mówiło
 W duchu, że przyjdzie spotkać człeka z straszną siłą
 I gbura, który żadnych praw nad sobą nie ma.

Weszliśmy więc w pieczarę, ale w niej olbrzyma
 Już nie było: śnać trzody pogał na pastwisko.
 My tymczasem w tem gnieździe przetrząśliśmy wszystko.
 Jakie tam serów kosze! Co jagniąt, kozłatek
 Po chlewach! Każde miały osobny swój kątek:
 Tu starki, tu jagnięta, a tam średniolatki,
 Odgródzone osobno; wszędzie gwałt serwatki,
 Po saganach i szkopkach, w które podój zbierał.
 Widząc to, każdy z druhów srodze się napierał,
 Bym dał im nabrać serów i drapnąć. Znów drudzy
 Chcą na okręt gnać z obór ten dobytek cudzy,
 Potem rozwinąć żagle i umykać cwałem.
 Puszczam to mimo uszu, czemuż nie słuchołem!

¹⁾ Skórzane naczynie do wody, wina. ²⁾ Sakwy.

Chciało mi się go poznać, być jak gość podjętym...
Lepiej było się nigdy nie spotkać z przeklętym!

Rozpaliliśmy ogień, obiatę składamy.

Gomółek coś podjadłszy, czekamy, czekamy —
Aż oto wrócił z trzodą, dźwigając straszliwą
Wiązań drzew wysuszonych, na kuchnię paliwo,
I cisnął pod pieczarą z łoskotem. My w strachu
Pokryli się po kątach podziemnego gmachu.
On tymczasem w głąb jamy zapędzał maciory,
Przeznaczone do doju, a zaś do obory,
Będącej tam w podwórku nazewnątrz pieczary,
Zamknął kozły i tryki; potem wzięwszy w bary
Głaz ogromny, zawałił nim do jamy wniście.
I dwadzieścia dwa wozy, mocne oczywiście,
Czterokoleśne, tego nie dźwigiłyby głazu,
Którym on otwór jamy zawałił odrazu!
Siadłszy potem, jął kozy i owce beczące
Doić lub pod nie sadzać jagnięta ssać chcące.
Co gdy sprawił, połowę nabrał przeznacza
Na twaróg, który w gęstych koszach sam wytłacza;
Resztę trzyma w saganach, aby napój chłodny
Mógł mieć na podoręczu, gdy spragnion, lub głodny.
A gdy tak z swą robotą uporał się pięknie,
Rozniecił ogień, a nas spostrzegłszy, tak rzeknie:
„Co za jedni? I skąd tu morzem przybywacie?
Czy za kupią?¹⁾ czy szczęścia na morzu szukacie?
Niby morskie łotrzyki, co to słoną wodę
Psują sobie na zgubę, a drugim na szkodę“.
Tak rzekł olbrzym, a serce tłukło się nam z trwogi
Na ryk mowy i widok postaci tej srogiej.
Przecieżem się na słowo zdobył: „My Achiwi
Z pod Troi wracający — rzekłem — nieszczęśliwi!
Siłaśmy burz na wodzie doznali w przeprawie,
Zbici z drogi, nie możemy do dom trafić prawie.
Cóż robić? z woli Zeusa ten los nam przypada!
My z pod Agamemnona króla, on nam włada,
Pan wielkiej sławy; równej nie ma nikt na świecie,
Gdyż zdobył gród potężny, wyciął na pomieście
Ludów tyle. My wszakże do stóp ci się kłonił,
Błagając, byś nas przyjął, bo kędyż się schronim?
I opatrzył twych gości, jak obyczaj każe.
Bój się bogów, nie odmów, gdy proszą nędzarze.
Zeus mści się krzywdy gościa, skargę jego słyszy,
On podróżnemu w drodze zawsze towarzyszy!“

¹⁾ Kupia — kupno, zakup, towar.

Tak rzekłem. Jędzon na to tę odpowiedź da mi:

„Głupis, alboś zdaleka przyszedł, że bogami
Chcesz mię straszyć i radzić, bym im cześć oddawał:
Kiklop nigdy na niebie pana nie uznawał,
Nigdy żadnych bóstw świętych. My lepsi, niż oni.
Strach przed Zeusem twej głowy pewnie nie obroni,
Ani twych towarzyszy; o gniew ten nie stoję;
Jeśli mię chęćka przyjdzie zjeść was, zrobię swoje...
A tymczasem mów, kędyś zostawił swą nawę?
Czy blisko, czy daleko, zdaj mi wierną sprawę!“

Chytrze mówił. Jam przecież zrozumiał podrywkę
I na prędcę podobną ułożyłem śpiewkę:

„Ładowstrzęsacz Posejdon, on to mi na skały
Tych brzegów okręt rzucił i strzaskał w kawały,
Bo od morza wichr straszny ciągle na nas pędził.
Mnie tylko i mych druhów od śmierci oszczędził“.

Tom rzekł, a jędzon milcząc, jął oczyma strzelać,
I ręce wyciągnawszy, tam gdzie stała czeladź,
Dwóch pochwylił i o ziem cisnął jak szczenięty,
Aż z czaszek mózg na ziemię bryznął rozprysnięty:
On zaś w sztuki podarłszy ciała, na wieczerzę
Pożarł je, jak lew górski, a nawet się bierze
Do trzewiów, szpik wysysa i ogryza kości.
Na ten widok do Zeusa tam na wysokości
Wznosim ręce i stoim jak spiorunowani,
Lecz olbrzym, gdy w kałdunu utopił otchłani
Ludzkie mięso i mleko, którym je zalewał,
Jak długi między trzodą legł i odpoczywał.
Wtedy w siardziste serce myśl wpadła mi taka:
Nuż podejdę, a z pochwy dobywszy tasaka
W pierś go pchnę, gdzie osierdzie leży przy wątrobie?
Lecz niechałem, o innym myśląc już sposobie,
Gdyż wszyscybyśmy śmierci stali się ofiarą,
Niezdolni tego głazu ruszyć żadną miarą,
Którym on był zawałił otwór do swej jamy;
Więc wzdychając, porannej zorzy wyglądamy.
Kiklop, gdy zór porannych zabłysła pochodnia,
Rozniecił ogień, doił, jak zwyczaj miał co dnia,
Owce i kozy; matkom podsadzał jagnięta;
Zgoła, gdy już robota była uprzątnięta,
Dwóch ludzi znów mi porwał, sprawił do śniadania,
A zżarłszy ich, swą trzodę z jaskini wygania.
Jak nic, głaz ów odsunął i znowu zastawił,
Rzekłbyś, że się z pokrywką u kołczana bawił.
I wielkolud gwizdając poszedł z trzodą swoją
W góry.. A mnie tysiączne zamiary się roją
Do zemsty; byle pomoc dała mi Pallada!

Z wszystkich jednak najlepszą ta zdała się rada:
 Pod obórką znalazłem drzewo jakieś duże
 Z oliwnika ucięte; snadź, nim zeń wystruże
 Maczugę, chciał wysuszyć i rzucił ten kawał,
 Który nam się na oko tak spory wydawał,
 Jak na brzuchatej, gnanej dwudziestoma wiosły
 Łodzi z ciężką ładugą, bywa maszt wyniosły.
 Drąg ten długości masztu, grubości masztowej,
 Uciąłem był na szań, zachęcając słowy
 Mych ludzi, aby kół ten do gładka siekiera
 Ociosali, do czego rąco się zabierą.
 Jam zaś koniec zaciosał i w ognistym żarze,
 Ażeby hartu nabrał, osmalić go każę.
 Poczem ożóg ten w mierzwę przed wzrokiem Kiklopa
 Skryłem, albowiem mierzwy pełną była szopa.
 Schowawszy, wzywam czeladź, by losem ciągnęła,
 Którym z nich padnie ze mną zabrać się do dzieła
 I ożóg wbić mu w ślepie, zawiercić co siły,
 Gdy spać będzie: i losy na czterech trafiły,
 Których sobie życzyłem, ja sam byłem piątą.
 O mroku wrócił Kiklop w domowe zakąty,
 Kozy swoje i owce wegnał w głąb jaskini,
 Matki razem z trykami, co zwykle nie czyni,
 I w wewnętrznej zagrodzie nic nie pozostawił...
 Coś wietrzył, lub bóg który na to go naprawił.
 Głaz uchylon, gdy z paszy wracały bydłeta,
 Teraz spuścił, i brama szczelnie już zamknięta.
 Zasiadł więc i jął kozy i owce beczące
 Doić lub pod nie sadzać jagnięta ssać chcące.
 Z pracą gdy się uporał prędko, znowu bierze
 Dwu naszych i sporządza sobie z nich wieczerzę.
 Widząc to, jam się zbliżył doń o kroków parę
 I rzekłem, niosąc w rękę wina pełną czarę:
 „Pij Kiklopie! po mięsie ludzkim wino służy!
 Pij duszkiem — tego wina miałem zapas duży
 Na statku, lecz w rozbiciu dla ciebie ocalił
 Ten bukłak, abyś mojej biedy się uzałił
 I odesłał do domu. Lecz cóż! tobą miota
 Gniew taki, że nikomu nie przyjdzie ochota
 Z śmiertelnych próg twej jamy przestąpić bezpiecznie,
 Oj Kiklopie! tyś ze mną obszedł się niegrzecznie!
 Tak rzekłem: on wziął czaszę, wychylił do spodu,
 I smakując, o drugą prosił tego miodu:
 „Nalej jeszcze i gadaj, jak cię zowią brachu,
 Abyś wet za wet mógł cię ugościć w mym gmachu.
 Wiedz jednak, że i nasza ziemia także rodzi
 Winograpy, a boży deszczek tu przechodzi

130

135

140

145

150

155

160

165

170

Dość często, więc jeść mamy, ile sobie życzym —
 Lecz ambrozja i nektar przy twem winie niczem!“

175

To mówił, a jam pełną podał mu ochotnie,
 I tak trzykroć nałaną, pił głupiec trzykrotnie.

Lecz gdy mocniej ów napój jął mu łeb zawracać,
 Zacząłem pochlebne słowa zlekka macać:

180

„Chcesz wiedzieć? więc ci powiem, jakie miano noszę;
 Toż wzajem o gościniec obiecany proszę.

Nikt — to moje nazwisko. Niktem woła matka,
 Woła rodzony ojciec i woła czeladka“.

185

Rzekłem — a na to jędzon odrzekł: Słuchaj bratku!

Nikt zjedzon będzie; jednak zjem go naostatku!

A tych tam pierwej pożrę — ot masz podarunek!“

Ledwo rzekł, runął nawznak: powalił go trunek.
 Grzbietem tarzał się w kurzu; sen ciężki kamieniem
 Przygniótł go..

190

Wraz też kół wydobywszy, wsadziłem w ognisko

Ostrzem, a serca druhów krzepilem, by który
 W samej chwili działania nie wlaźł gdzie do dziury;

Już też i kół oliwny, acz mokry, w tym żarze

Rozgrzał się i na ostrzu płomień się pokaze!

195

Więc wyciągam go szybko, przy mnie moje zuchy

Stali tuż i bóg jakiś dodał im otuchy,

Bo razem pochwycawszy, Kiklopowi w oko

Wbili go. Jam na ożóg wdrapał się wysoko

200

I kręcił — tak jak świder okrętową belkę,

Gdy jeden nim kieruje, a drudzy za szelkę

Z dołu ciągną, on leci pędem wirującym —

Tak i my tym ożogiem, jak żar pałającym,

Wiercim w ślepiu, aż ostrze krwią się zakurzyło;

205

Rzęsy, brew szczotkowatą zarzewie spaliło,

Wszystkie włókna trzeszczały, skwarząc się w żrenicy...

Jako kowal siekierę, okutą w kuźnicy,

Kładzie w wodę do hartu, straszny syk powstaje,

Przez co mistrz swej robocie trwałą dzielność daje,

210

Tak syczało kiklopskie oko pod ożogiem...

Srodze zawył, aż wyciem odtętniła srogiem

Pieczara. My ze strachu wleźli w kąt głęboko,

Kiklop z oka kół wyrwał zbryzgany posoką

I od siebie przecz cisnął w zajadłej wściekłości

215

I jął na gwałt Kiklopy wołać, co w bliskości

Mieszkali po pieczarach skał wiecznych. Ci, owi,

Usłyszawszy krzyk wielki, w pomoc Kiklopowi

Przybiegli i jaskinię obległszy do koła

Pytali, co się stało i poco ich woła?

220

„Polifemie! co tobie, że w tej nocy ciemnej

Tak wyjesz i nam spędzasz z powiek sen przyjemny?

Czy ci jaki śmiertelnik skoty twoje kradnie?
 Czy samego morduje gwałtem albo zdradnie?"
 Polifem nato z jamy tak im odpowiada:
 „Nikt mię zdradą morduje! to nie gwałt, lecz zdrada!” 225
 Oni na to: „Jeżeli ciebie tu w jaskini
 Nikt zdradą nie morduje, nikt gwałtu nie czyni,
 Toś chory z Zeusa woli, nic ci nie pomożem...
 Módl się do ojca twego, który włada morzem”.
 Tak mówili i poszli. Serdecznie się śmiałem, 230
 Że zmyślonem nazwiskiem tak ich oszukałem...
 Tymczasem jęcząc z bólu, stękając bez przerwy,
 Kiklop wrota namacał i lekko jak pierwej
 Podniósł głaz, usiadł w bramie i szukał rękami,
 By się który nie wymknął z naszych wraz z owcami. 235
 Miał on mię za wielkiego głupca oczywiście.
 Nuż ja łeb sobie łamać, jak tu znaleźć wyjście,
 By mych druhów i siebie wydobyć z tej toni,
 A jedna myśl za drugą jak goni, tak goni...
 Gra o życie... Jakiegoż zażyć tu fortelu? 240
 Znalazłem go i lepszym zdał mi się od wielu.
 W jamie były tam tryki wełniste, kudłate,
 Wypasione, a rosłe i kasztanowate;
 Te powiązałem wikłą¹⁾, wyjętą z barłogu,
 Na którym sypiał Kiklop, wróg ludziom i Bogu. 245
 Po trzy związałem z sobą, człeka niósł środkowy;
 Dwa boczne miały bronić ukrytej tam głowy;
 Trzy zatem niosły druha jednego pod sobą.
 Jam zaś sobie upatrzył capa, co ozdoba
 Był trzody; temu na grzbiet zarzuciwszy ręce, 250
 Tułowiem się pod jego wełnisty brzuch skręce,
 A dłoń w kudłym omotał. Radzi z wynalazku,
 Z biciem serca czekamy zórz porannych brzasku.
 Gdy już dzień zwiastowały blaski różowawe,
 Ruszyły naprzód samce, by lecieć na trawę, 255
 Jarki zaś po obórkach dawały znać bekiem,
 Że ich wymiona przez noc powzbierały mlekiem.
 Wtedy okrutny jędzon, choć z bólu się wścieka,
 Siadł w progu; macał pilnie grzbiet każdego tryka,
 Lecz ani się domyślał, żem ja po pod brzuchy 260
 Wełnistych tryków moje popodsadzał druhy!
 Za trzodą szedł cap zwolna na samym ostatku,
 Krom kudłów mnie człowieka dźwigał on w dodatku.
 Jędzon go, jak poprzednio, macając po grzbiecie,
 Rzekł doń: „O mój kozieleku, nie choryś ty przecie? 265

¹⁾ wikliną.

Dziś wybiegasz ostatni... a zawsze bywało
 Tyś pierwszy na pastwisko gnał przed trzodą całą,
 Za trawką, kwiatkiem, zawsześ pierwszy szedł do wody;
 Przed innemiś się spieszył wieczór do zagrody...
 A teraz, ty ostatni! Jakże cię obchodzi 270
 To moje oko, które wydarł mi ten złodziej,
 Co mię winem upoił, ten Nikt z swą hołotą!...
 Nie ujdzie mi, te pięści jeszcze łotra zgniotą!
 Żebyś ty mówić umiał, jak ja, capku miły,
 Powiedziałybyś, gdzie one zbóje się pokryły — 275
 O czemuż go nie trzymam? jakżebym go cisnął
 O ziem, aż po tych ścianach mózgbym się rozprysnął!
 I kalestwo to, które ten Nikt, ten morderca,
 Zadał mi, stokroć lepsze byłoby dla serca!”
 Tak rzekł Kiklop i capa wraz puścił na paszę. 280
 Gdy uszedł dobry kawał, zaraz się odpaszę
 Od mego capa; również robię i z drugimi...
 Więc gdyśmy się ujrzeli naraz bezpiecznymi,
 Zajmujemy te spase i udziaste tryki
 I pędzimy je na okręt krętymi przesmyki. 285
 Widząc nas wracających, z radości aż skaczą
 Nasi w nawie, zgubionych zato rzewnie płaczą;
 Alem ich wnet uciszył, dając znać na mię,
 Że to nie czas, i każę w okręt na wyścigi
 Ładować naszą zdobycz wełnistą i dalej 290
 Odbijać precz od lądu. Co gdy wykonali,
 Zasiedli długie ławy i robiąc wciąż wiosły
 Rozbijali te ciemne fale, co nas niosły.
 Więc w odstępie, że jeszcze głos mógł dolatywać,
 Zacząłem z nawy mojej Kiklopa wyzywać: 295
 „Ej Kiklopie, nie tchórz to, jak widzisz, nieboże,
 Ten, któremuś ty druhów pożarł w ciemnej norze!
 Przecież raz na cię przyszło, zbrodniarzu bez sromu,
 Coś śmiał podróżnych gości zjadać w własnym domu!
 Zato Zeus cię ukarał, karzą inne bogi”. 300
 Nato rozżarł się jeszcze srożej Kiklop srogi:
 Sam czub wyniosłej góry urwał; cisnął skałą;
 Lecz dalej poza okręt padła — szło o mało,
 A byłby koniec rudla strzaskał nam — aż morze,
 Które ciśnięta skała do gruntu rozporze, 305
 Buchło w górę bałwanem; a ten nas do lądu
 Parł gwałtem, okręt nie mógł przemóc tego prądu...
 Alić ja, w garść żerdzisko chwyciwszy ogromne,
 Odsadzę się od brzegu, drużynę upomnę,
 By się miała do wiosła, bo tu śmierć nas czeka. 310
 Ledwie znak dał, wiosłują potężnie człek w człeka...
 (P. IX).

Nie koniec to jednak jeszcze dziwnym przygodom. Bawi Odysseus i na wyspie króla wiatrów Eola, który przyjmuje go gościnnie i daje miech, dar cenny, bo wszystkie wiatry przeciwnie więzi w nim król tułacz. Dzięki owemu darowi podczas dalszej podróży widać już ląd Itaki, kiedy Odysseus zasypia, a towarzysze, podejrzewając, że w miechu są skarby, rozwiązują go i wypuszczają niebezpiecznych więźniów. Więc dalsze smutne koleje, dalsza tułaczka, ludożercy Lastrygoni topią Odysseusowi okręty i część towarzyszy, tak, że z jednym tylko statkiem przybija do wyspy pięknowłosej czarodziejki Kirki.

Zamek Kirki znaleźli w dolinie prześlicznej,
Cały z ciosu wyniesion nad kraj okoliczny;
Lecz wików, lwów spotkali ǫmę pod zamku bokiem.
Kirka je tak przyswoić umiała ziół sokiem.
To też one potwory na drużynę naszą
Nie rzuciły się, owszem kornie im się łaszą,
Jako psy, gdy gospodarz kęski im rozda je
Po skończonej biesiadzie. Takież obyczaje
Mają tu lwy i wilki, chociaż ich paszczyta
Zawsze straszne i każdy potworu się lęka.
Wszedłszy zatem w dziedziniec pani pięknowłosej,
Usłyszeli z komnaty jakieś dźwięczne głosy:
To śpiew Kirki — śpiewając, na krosnach wyszywa
Dzieło cudne: cudowną pracą bogiń bywa.
Wtem Polites do swoich tak rzekł (chłop to dzielny,
Przed innymi miał u mnie szacunek rzetelny):
„Bracia! tutaj ktoś żyje i przy krosnach śpiewa
Śliczne pieśni, aż echo po zamku odbrzmiwa.
Bogini czy niewiasta — wołajmy, niech gada!”
Tak rzekł i wołać na nią poczęła gromada.
Jakoż się promieniste otwarły podwoje.
Ona wyszła, w komnaty zaprosiła swoje —
I głupcy, w próg jej weszli wszyscy, krom jednego
Eurylocha; ten został, zwietrzywszy coś złego.
Ona gości swych sadza w krzesła, stół zastawia
Serami, a miód złoty z mąką im przyprawia,
Toż i wino pramnejskie¹⁾; lecz durzące zioła
Miesza w nie, by o domu zapomnieli zgoła.
Więc gdy zjedli, wypili, Kirka ich dotyka
Róźdzką — i do świńskiego zapędza karmnika.
Bowiem łby ich, szczecina, kwiczenie, kształt cały
Były świńskie; li człeczce mózgi im zostały.
Smutnie w chlewach leżącym rzuciła bogini
Żołądz, bukiew, derenie, zwykły karm dla świni.

¹⁾ czerwone, mocne wino (skąd nazwa pochodzi, nie zdołano stwierdzić).

Euryloch przypadł zdyszany do czarnego statku,
O tym, jaki ich spotkał, donosząc przypadku.
Lecz i słowa wybełkotać nie mógł, mimo chęci,
Taki ból gardło ścisnął; łaża się tylko kręci
W oczach mu, co świadczyło o mocy cierpienia.
Długo go wypytujem, wreszcie z osłupienia
Wyszedł i opowiedział, co ich tam spotkało...

Odysseus jednak, wspomóżony przez Hermesa, umie się ustrzec przed czarami, co więcej, skłania Kirkę do uwolnienia nieszczęśliwych towarzyszy. Poczem, za radą czarodziejki, podąża do podziemia, krainy zmarłych, by tam z ust wieszczki Tejrezjasza usłyszeć, co go w przyszłości jeszcze czeka. (P. X).

...Dotarliśmy do samych Okeanu krańcy¹⁾,
Widzim kraj. Kimerejscy siedzą w nim mieszkańcy,
Którzy w mgle i ciemnicy brodzą ustawicznej;
Nigdy bowiem nie spojrzy na nich Heljos śliczny,
Ani kiedy na niebo ugwieżdżone wkracza,
Ani kiedy ku ziemi ze szczytów się stacza,
Zawsze też lud ten nędzny w grubej nocy brodzi.
Więc wywłókszy łódź na brzeg, wybieramy z łodzi
Obie owce²⁾ i ruszym brzegiem Okeana
W tę stronę, co od Kirki była nam wskazana.
Tam Euryloch i Prymed dzierżą owce obie
Ofiarne, a jam miecza dobył i nim robię
Dół w ziemi, jeden łokieć szeroki i długi;
Do koła libacyjne zmarłym leję strugi:
Najpierw sam miód i mleko, potem słodkie wino,
Wkońcu wodę zmieszana z mąki odrobiną.
I ślubowałem marom zmarłych, że gdy stanę
W Itace, wraz jałówkę dam im nieskalaną
Na żertwę³⁾ i na stosie spalę coś cennego.
Tejrezjaszowi nadto zabiję czarnego
Barana, co rej wodzi w całej mej oborze.
A gdym tak cienie zmarłych przebłągał w pokorze,
Onym owcom pokornym podciąłem gardziele,
I krew w ten dół ściekała.⁴⁾ Wnet duszyczek wiele
Tam się złączyć poczęło z Erebu otchłani:
Młode pary, toż starce latami złamani;
Panienczki miłością młodocianą strute,
Widma dzielnych witeziów oszczepami skłute,
Pozabijane w boju, w pokrwawionej zbroi.
Cały ten tłum do dołu ciśnie się i roi,

¹⁾ Zamiast: krańców (ze względu na rym), ²⁾ przeznaczone na ofiarę
³⁾ na ofiarę, ⁴⁾ tak poleciła Odysseusowi uczynić Kirka.

Wrzeszcząc tak, że aż przestraszył błądy mię owionie.
 Więc czempredzej drużynę do pracy nagonię
 I każę obie owce, co leżą zarznęte,
 Obłupić, dać na ogień, potem strasznie święte
 Moce tak Aidesa¹⁾ jak i Persefony²⁾
 Błagać. Sam zaś, dobywszy miecz mój wyostrzony,
 Wysunąłem się, broniąc marom nieboszczyków
 Krwi tej lizać, nim brzmienie wyrocznych tajników
 Tejrezjasz mi objawi, gdy nań przyjdzie pora....

I oto się już dusza Tejrezjasza jawi,
 Z posochem złotym w ręku. Poznał mię i prawi:

„O synu Laertesa, Odyssie, i czemu
 Świat rzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu,
 Aby widzieć umarłych i grozy siedlisko?
 Zejdź na bok albo miecz swój nastawion spuść nisko,
 Niech się krwi tej napiję i przyszłość wygadam“.

Tak rzekł, jam się usunął i do pochew wkładam
 Miecz mój srebrnogwoździsty. Wieszcz czarnej posoki
 Napił się i jał przyszłe obwieszczać wyroki:

„Cny Odyssie! ty wrócić chciałbyś na okręcie
 Do domu — lecz bóg jeden stoi ci na wstręcie,
 Od gniewu Ziemioburcy nikt się nie wymiga;
 Tyś mu syna oślepił, więc zemstą cię ściga.
 A jednak wrócisz kiedyś w domowe pielesze;
 Hamuj tylko sam siebie i druhów twych rzeszę,
 Bo gdy przez rozhukane burzą morskie szlaki
 Przybijesz łodzią swoją do wyspy Trynakji,
 Ujrzysz tam jałowice tuczne na rozłogu,
 Pasące się na chwałę słonecznemu bogu.
 Jeślibyś je oszczędził, pomny mej przestrogi,
 Możebyś wrócił kiedy z trudem w ojców progi.
 Lecz jeśli nie oszczędzisz, zginą twoi męże,
 Zginie okręt — acz ciebie zguba nie dosięże.
 Przecież późno, jak nędzarz wrócisz bez drużyny,
 Cudzym statkiem, a w domu zastaniesz ruiny,
 Zuchwalców, co twe mienie i dostatek trwonią,
 Co za twoją małżonką podarkami gonią...
 Lecz ty przyjdiesz, ukróciś harde zalotniki:
 Naprzód chytrym fortelem pomieszasz im szyki,
 Potem miecz twój w krwi gachów po jelce³⁾ się zboczy.
 Co gdy spełnisz, weź wiosło, idź z nim w świat za oczy
 Szukać ludzi, którzy nic o morzu nie wiedzą,
 Którzy nieosoloną strawę zwykłe jedzą,
 Długowiosłanych łodzi też nie znają wcale,
 Ni wioseł, istnych skrzydeł, muskających fale.

¹⁾ Hadesa, ²⁾ Persefona — żona władcy podziemia, ³⁾ rękojeść.

Lecz abyś się nie zmylił, określe dokładnie:
 Jeśli ktoś w obcej ziemi, widząc cię, zagadnie,
 Że na barkach łopatę dźwigasz! złóż to brzemie;
 I wygładzone wiosło natychmiast wbij w ziemię;
 A sam do Posejdona módl się; mórz władyka
 Niech ma obiatę z kozła, toż z wieprza i byka,
 Poczem wrócisz i bogom dasz hojne ofiary,
 Zamieszkującym niebios niezmierne obszary,
 A wszystkim po kolei. Nakoniec przez morze
 Przyjdzie śmierć, aby lekko, gdy starość cię zmoże,
 Zabrać z sobą, z pośrodku narodu i drużby
 Przez cię uszczęśliwionej... Niemyłne to wróżby!“

Skończył wieszcz, a jam nato odrzekł: „Starcze miły,
 Taki los już mi pewnie bogi naznaczyły,
 Lecz powiedz, szczerzej prawdy dowiedzieć się muszę:
 Tam oto mej nieboszczki matki widzę duszę,
 Siedzącą nad krwi strugą; milczy i synowi
 Ani w oczy popatrzy, ani słowa powie —
 Cóż robić, o mój królu, żebym był poznany?“

Powiedziałem, a nato rzekł wieszcz wywołany:
 „Jak zrobić? rzecz to łatwa; zaraz dam ci sposób:
 Pozwól tylko tym marom nieżyjących osób
 Krwi tej liznąć, a każda powie, co ma na dnie;
 Lecz gdy wzbronisz, zamilknie i w głębiach przepadnie“.

Tak mówił duch Tejrezjasz i gdy mi nawrózył,
 Znowu się w ciemne gmachy Hadesu zanurzył.
 Jam został sam nad dołem; minął czas niedługi;
 Aż przyszła matka moja pić z tej krwawej strugi,
 Poznała mię i smutną powitała mową:

„Synu! jakżeś się dostał w tę noc hadesową,
 Kiedyś żyw? Wam żyjącym strach patrzeć na one
 Srogie rzeki, wałami wzdętymi pędzone!
 Najbardziej na Okean, którego nie zbrodzi
 Nikt a nikt pieszo, chyba w wydrażonej łodzi.
 Czyś ty się tu zabłąkał, wracając ze swymi
 Na okręcie z pod Troi drogami błędnymi?
 Czy dotąd nie widziałeś ni domu, ni żony?“

Tak pytała — jam na to, do głębi wzruszony:
 „O matko! jam z potrzeby wszedł w te kraje blade,
 By ducha Tejrezjasza zapytać o radę.
 Jeszczem ani w Achai nie był, ni w Itace,
 A tylko na włóczędztwie ciągłej żywot tracę,
 Odkąd z Agamemnonem pod tabuną Troję
 Wyszedłem, staczać krwawe z Trojańczykami boje.
 Lecz mów mi szczerą prawdę, o matko kochana!
 W jakim sposobie napadła cię śmierć nieprzespana?“

Zjadł cię choroba? czy łuczniczka ona,
 Artemis, lekką strzałę wbiła ci do łona?
 Mów o ojcu, o synu moim, co zostali:
 Czy godność moją dzierżą, czyli też ją zdali
 Komu z mężów, zwątpiwszy, czy żyję na świecie?
 Powiedz, co tam małżonka moja myśli przecie?
 Siedzi jeszcze przy synu i z nim gospodarzy?
 Czy poszła za którego z achajskich mocarzy?"

Tak pytałem, a matka rzekła w odpowiedzi:
 „Ona zawsze stateczna sercem, dotąd siedzi
 W zamku twym, gdzie dni wszystkie wśród tęsknej żałoby
 Płyną jej, a na płaczach schodzą nocne doby.
 Godności twej nikt nie wziął, a królewskie włosy
 Telemach zawsze trzyma, uprawia w cichości.
 Czasem na ucztę sprasza, jak czynić należy
 Temu, który najwyższą władzę w kraju dzierży,
 A sam bywa zapraszany. Rodzic twój na łanie
 Osiadł sobie i w mieście nigdy nie postanie.
 Łoże jego nie świeci makatą tam żadną,
 Ni chlenami¹⁾; na zimę ma izbę czeladną,
 W której sypia; zazwyczaj na ziemi w popiele
 Kładnie się przy ognisku i łachman podściela.
 W łagodniejsze zaś lato i jesień owocną
 Rad chodzi po winnicach sypiać porą nocną,
 Kędy sobie ze suchych liści łoże mości.
 A nim zaśnie, wciąż дума o losów srogości
 Sprzysiężonych na ciebie... i w serce się wpija
 Nowy ból, a lat ciężar do reszty zabija.
 Tak i mnie schnąca z żalu śmierć wkońcu zabrała,
 Synu! mnie nie zabiła Artemidy strzala,
 Co tak niespodziewanie i lekko przeszywa;
 Mnie nie zjadła choroba, co duszę wyrwa
 Z ciała bolem żartego... Tylko, drogie dziecię,
 Ciągła tęsknota po tobie wyszała mi życie“.

Tak rzekła. We mnie drżała chęć niepowściągnięta
 Marę matki nieboszczki pochwylić w ramiona.
 Trzykroć chciałem ją objąć, myśląc, że przygarne,
 Trzykroć umkła mi z ręki i znikła, jak marne
 Senne widmo, a serce i rwie się i goni
 Tem gwałtowniej. Więc rzekłem temi słowy do niej:

„O matko, nie broń mi rozkoszy uścisku!
 Czemuż się nie uściskać w tem cieniów siedlisku!
 Niechby serca strapione w łzach zmieszanych razem

¹⁾ chlena — suknia wierzchnia, rodzaj płaszcza.

Ulgę sobie znalazły... A może obrazem
 Złudnym tak Persefona przedemną majaczy,
 Bym poznał całą bezdeń mej nędzy tułaczey?"

Rzekłem, a matka słowy zakwili tklivami:
 Synu, najnieszcześniejszy z ludzi na tej ziemi!
 Nie zwiodła cię tem widmem groźna Persefona,
 Lecz takim jest człek każdy, gdy życia dokona,
 Kiedy ciała i kości z sobą nic nie sprzęga;
 Wszystko strawi płomieni niszcząca potęga,
 Odkąd z białemi kośćmi życie się rozbrata,
 A dusza, jak sen lekka, w otchłanie ulata.
 Teraz na świat powracaj i w pamięci żywej
 Chowaj to! Kiedyś żonie opowiesz te dziw“.

Gdyśmy tak rozmawiali, przyszyły z różnej strony
 Dusze niewiast, wypęzły z krain Persefony,
 Wszystko żony i córki mężów wielkiej sławy.
 Cienie te obstały dokoła dół krwawy...

Poczem rozmawia Odysseus jeszcze z Agamemnonem, z Achillesem, od którego słyszy słowa:

„Odyssie! ty chcesz w śmierci znaleźć mi pociechę?
 Wolałbym do dzierżawcy iść pod biedną strzechę
 Na parobka i w roli grzebać z ciężkim znojem,
 Niż tu panować nad tym cieniów marnych rojem!
 Lecz mów mi, co słyszałeś o grackim mym synie:
 W domuż siedzi, czy w boje chodzi, męstwem słynie?
 Toż mów, jakie o wielkim Peleju masz wieści?
 Czy Mirmidony zawsze chowają go w cześci?
 Czy Hellada i Ftyja czi mu swej uwleka,
 Że stary, a na ręce i nogi kaleka?
 O czemum ja nie taki, jak niegdyś bywało,
 Gdym żył i na trojańskim polu błyszczał chwałą
 I w obronie Achiwów wycinał narody!
 Obym na jedną chwilę znów silny i młody
 Stał się i naraz w domu zjawił się rodzica!
 Starłaby tych zuchwalców synowska prawica,
 Którzy śmieli królewskiej uwłaczać mu cześci!“

Widzi też Odysseus Patroklosa, Ajasa i innych bohaterów z pod Troi, widzi sędziego podziemia Minosa, ogląda męki Tantała, Syzyfa, rozmawia z Heraklesem, lecz zaczynają się zbierać takie gromady mar, że Odysseusa zdejmują lęk. Opuszcza tedy podziemie i wsiada na okręt. (P. XI).

Nowe niebezpieczeństwa, nowe nieszczęścia: przy spotkaniu się ze Skillą i Charybdą (potworami morskimi) sześciu z załogi traci życie,

na Trynakji zgłodniali towarzysze zabijają woły, poświęcone Heljosowi, zaco w dalszej podróży giną wszyscy. Ratuje się na belce sam tylko Odysseus i dopływa do wyspy Ogigji. Na tem kończy się opowieść Odysseusa. (P. XII).

Hojnie obdarzony przez Alkinoosa, odpływa Odysseus z wyspy Feaków. Usnąwszy w drodze, przybija do Itaki. Nie poznaje jej, bo mgła mu zasnuwa widok, i Atena to dopiero oznajmia mu, że stanął na ziemi ojczystej. Pada wówczas król tułacz na „żywicielkę ziemię“, całuje ją i modli się. Poczem podąża do wiernego swego sługi, pastorza Eumeja. Wprzód jednak bogini odejmuje mu dawną jego postać, a przemienia w okrytego łachmanami starca, sama zaś spieszy do Sparty po Telemacha. (P. XIII).

Odyssej od przystani piął się ścieżką w górę
Przez wyżyny lesiste, aż do miejsca, które
Wskazała mu Atena, gdzie ów pastuch siedzi,
Dbalszy o pańskie dobro, niż reszta gawiedzi.
Zastał go, jak na progu siedział wśród zagrody,
Która tu zbudowana dla trzodnej wygody
Na wyżynie, skąd patrzy, naokół widziana:
Wybudował ją pastuch pod niebytność pana,
Bez wiedzy Laertesa, bez pani rozkazu,
Wzniósł mury, ogrom głazu stosując do głazu,
Otarnił, a wańczosy¹⁾ wkoło dębami
Obwiodł, jeden przy drugim wbijając do ziemi;
W środku obejścia chlewów dwanaście zbudował
Obok siebie, w nich na noc trzodę pilnie chował.
Pięćdziesiąt ryjów w każdej zamykał oborze,
Zwykle same maciory; wieprze śpią na dworze,
Lecz ich szczupło, gdyż liczbę zmniejszały codziennie
Szumne gachów biesiady, na które niezmiennie
Musiał dostarczać wieprzów z najgrubszą słoniną,
Więc sztuk trzysta sześćdziesiąt w zapasie miał ino.
Przy nich zaś na podwórzu odprawiały wartę
Ręką jego karmione cztery psy zażarte.

Właśnie krajał on sobie z byczej tegiej skóry
Chodaki, a pastuchów tu i ówdzie w góry
Powyprawiał; trzech poszło paść nierogaciznę,
Czwarty pognął do miasta jakby na pańszczyznę
Wypasionego wieprza dla zamkowej rzeszy;
Przysmak ten serca gachów nielada ucieszy.
Wnet Odysseja czujne sobaki spostrzegły
I szczekając opadły, lecz on, człek przebiegły,
Od razu siadł na ziemię, kij na bok odłożył...
Jeszczeżby tej obelgi na śmieciach swych dożył!

¹⁾ Pale z drzewa twardego.

Kiedy widział to pastuch, poskoczył za wrota
Tak żywo, że mu z ręki wypadła robota,
I nuż krzyczeć, kamieniami odpędzać sobaki,
I odpędził, a gościa przyjął w sposób taki:
„Co tylko cię nie zjadły te psiska, mój dziadku:
Oj! byżoby zmartwienie, a i wstyd w dodatku!
Jakbym nie dość goryczy miał w sercu znękanem!
Małoż człek się napłaczę za zginionym panem?
A tu codzień najtłustsze posyłam im świnię
Na stoły, kiedy tamten gdzieś tam z głodu ginie
I tuła się w obczyźnie między ludem dzikim,
Jeśli żyw i słonecznym cieszy się promykiem.
Pójdź więc za mną, mój dziadku, do chaty was proszę,
Abyś chlebem i winem skrzepił się potrosze,
A powiedz mi, skąd jesteś, jakieś przeżył straty?“
Rzekłszy to, boski pastuch powiódł go do chaty,
Posadził, z chróstu wiązki zrobiwszy podnóże,
Na rozciągniętej koziej od sypiania skórze,
Szerokiej i kosmatej. Odys się ucieszył
Z gościnnego przyjęcia i ze słowem śpieszył:
„Przyjacielu! Zeus da ci, da każdy bóg inny
Wszystko, czego sam pragniesz, żeś taki gościnny!“
A tyś mu, Eumeju, odparł słowem takim:
„Grzech byłby i biedniejszym, niżli ty, żebrakiem
Gardzić i w próg nie puszcząć. Tułacz, czy ubogi,
Jest pod Zeusa opieką. Datek, choć niedrogi,
Lecz szczery, nam przystoi, otrokom służebnym¹⁾
Drżącym ciągle, a zwłaszcza pod jarzmem haniebnem
Tych młokosów. Tamtemu nie dali niebianie
Wrócić do dom. U niego miałem zachowanie:
On byłby mię osadził na chlebie łaskawym,
Jaki dobrzy panowie dają sługom prawym:
Chatę, kawałek roli i żonę serdeczną
Za ich pracę, a pracę Bóg wspiera stateczną;
Jak i mnie powierzona zawsze błogosławił.
Pan mój pewnie nie z próżnem byłby mię zostawił,
Lecz zginął! Niechby raczej przepadł ród ten wraży
Heleny! przezeń tylk padło już mocarzy!
Bo i on poszedł krzywdy Atrydowej mścić się,
Pod Iljon koniorodny z Trojanami bić się.“
Rzekłszy to, objął chiton²⁾ kawałkiem rzemyka
I tak do prosiącego poskoczył chlewika;
Wybrał parę i zarznął, jak trzeba, przyładził,
Osmalił i pokrajał i na rożny wsadził.

¹⁾ Otrók: mężczyzna, najemnik, ²⁾ chiton: krótka spodnia szata wełniana.

A napiekszy nad ogniem, gdy mięso skwarcało,
 Podał. Odysej mąką posypał je białą,
 On zaś w kubek drewniany nalawszy mu wina,
 Siadł naprzeciw i, gościa jeść prosząc, rzecz wszczyną:
 „Jedź, mój gościu, prosiątko, nie stać mię na lepsze:
 Na dwór pański dla gachów idą karmne wieprze.
 Te gachy zatwardziały boga się nie boją,
 Uwięźli się bezprawia broić i wciąż broją.
 Czyż niebo może patrzeć na takich zbytników?
 Wszak i napadających na brzegi łotrzyków —
 Chociaż Zeus na ich sprawki pogląda przez szpary,
 Gdy do dom zrabowane uwożą towary —
 Nieraz myśl o odwecie naprawdę zatrwoży.
 Ale ci, choć ich przestrzegł zapewne głos boży
 O karze, jaka spadnie za te dziewczosłęby —
 Najechawszy dom cudzy, łakomemi gęby
 Chłoną wszystkie zasoby, dobytek domowy;
 I dzień, noc, które z łaski miewamy Zeusowej,
 Nie jedną, nie dwie obiał sprawia ta drużyna;
 Na te hulanki, nie wiem, skąd już starczy wina.
 On przecież na dziedzictwie siedział tu niemałym,
 Możliwszym był od władców, co na lądzie stałym
 I na Itace siedzą. Na jego majątek
 Takich panów by trzeba w kupę zbić dziesiątek.
 Zaraz ci to wyliczę W stepach się wypasa
 Aż dwanaście stad wołów, tyleż kóz tam hasa,
 Świń tyle, owiec tyle, pod okiem najętych
 Lub poddańczych skotarzy¹⁾. Tu zaś razem wziętych
 Mamy trzód jedenaście kozich na ostrowie.
 Pasą je z pocziwości znani pastuchowie;
 Lecz z nich każdy codziennie daje na ich gody
 Najlepszą, najtłustszą sztukę z całej trzody.
 Ja zaś tu świnię chowam, nie leniąc dozoru,
 I co najtłustsze wieprze odstawiam do dworu“.

Tak rzekł — a on łakomie mięsiwa zjadał,
 Pił wino, milczał — gachom śmierć już zapowiadał.
 Lecz gdy się już nasycił, winem skrzepił ducha,
 Kubek, co sam zeń pijał, nalał mu pastucha
 I podał napełniony, a Odys takowy
 Wdzięcznie przyjął i temi przemówił doń słowy:

„Któż to był, co cię kupił? powiedz, przyjacielu!
 Kto ten pan tak potężny, bogatszy od wielu,
 Co za cześć Atrydową zginął, jak słyszałem
 Z ust twych? Bardzo być może, że takiego znałem.

¹⁾ Pasterzy (od skot: bydło).

Nazwij go: bóstwa w niebie wiedzieć muszą przecie,
 Czym go spotkał!... Jam dużo włóczył się po świecie“.

Nato mu odpowiedział pastuch, wódz pasterzy:
 „Nie myśl, starcze, że żona albo syn uwierzy
 W to, co o nim donoszą przybłędy podróżne;
 Tacy bowiem za kłamstwa i pochlebstwa próżne
 Chcą gościnne przyjęcie wyłudzić w swej biedzie.
 Toż, gdy który włóczęga do Itaki przyjdzie,
 Prosto sunie do pani i bajki jej gada.
 Ona go podejmuje, o szczegóły bada,
 Wzdycha za każdym słowem, lży jej strugą cieką:
 Jak zwyczaj u żon, którym mąż zginął daleko.
 I ty mógłbyś jej bajkę zanieść tak uwitą,
 Zaczoby cię chitonem i chleną okryto.
 Ależ on, jej małżonek, dawno już umarły,
 A psy i ptaki ciało z kości mu obzarły,
 Lub zjadły ryby morskie, a kilka piszczełi,
 Na brzeg rzuconych, gdzieś tam na piasku się bieli.
 Niema go! swych przyjaciół zostawił w żałobie,
 Mnie w największej, bo gdzieżbym znalazł pana sobie
 Tak dobrego? chociażbym szukał w okolicach,
 Choćbym i do dom wrócił, osiadł przy rodzicach,
 Gdzieś się rodził, gdzieś pod ich okiem się wychował!
 Toć nie żał mi ich tyle, aczbym się radował
 Witać ich i rodzinną obaczyć krainę.
 Lecz tylko po Odyssie z tęsknoty aż ginę.
 Nawet lękam się jego wymawiać nazwisko,
 Tak zawsze dla mnie dobre było to panisko;
 Tylko zwę go mym drogim, choć nie jest tu z nami“.

Na to tułaczy Odys odparł mu słowami:
 „Przyjacielu! trwasz, widzę, w zwątpiałym uporze
 I nawet nie przeczuwasz, że on wrócić może.
 Lecz jam gotów przysięgą za prawdę zaręczyć:
 Odys wrócił! Wiadomość masz mi tę odwdzięczyć.
 Skoro tylko on w domu własnym stanie nogą,
 Odziejesz mię chitonem i chleną chędogą....
 W tym roku niezawodny powrót Odyssowy!
 Ledwie miesiąc ten przejdzie a następnie nowy,
 Wróci do dom, ukarze szajkę rozwydrzoną,
 Co się znęca nad synem jego i nad żoną“....

Takie z sobą rozmowy toczyli pospołu.
 Pastuchy z chlewną trzodą nadeszli po chwili
 I zaraz ją do chlewów na noc zapędzili:
 I po obórkach pełno rechtania i kwików.
 Poczem Eumej do swych tak rzekł pomocników:

„Co najspańsiejszą świnkę wybierzcie mi chłopcy!

80

85

90

95

100

105

110

115

120

125

130

135

140

145

150

155

160

165

Użyjem i my sami, użyje gość obcy.
 Czy mało namartwiły nas te kływe wieprze,
 Gdy pracę naszą tamci zjadali w najlepsze!
 Rzekł i srogą siekierą jął rąbać polana....

Tymczasem Telemach na zlecenie Ateny wraca do Itaki, uniknąwszy szczęśliwie zasadzki, zgotowanej mu przez zalotników, i udaje się do zagrody Eumeja. Tu Odysseus — podczas chwilowej nieobecności pasterza — daje mu się poznać (odzyskawszy z woli Ateny dawną postać).

...Odys przemieniony

Powrócił do szałas; ujrzał go zdumiony
 Syn i wzrok spuścił, myśląc, że na boga patrzy,
 I tak się doń odezwał: — „Teraz ty inaczej
 Wyglądasz, mój przychodniu, niż wpierw cię widziałem:
 Inne suknie i zmiana jakaś w tobie całym.
 Zaprawdę tyś jest bogiem, mieszkasz w górnem niebie...
 Zmiłuj się! wnet obiata hojną uczczę ciebie,
 Dam ci złotą ofiarę. Zmiłuj się nad nami!“
 Boski Odys takimi odparł mu słowami:
 „Jam nie bóg i nie mogę równać się z niebiany,
 Jam twój ojciec, twojami łzami oplakany,
 Dla któregoś wycierpiał tyle duchem męznym,
 Opierając się łotrom na nasz dom sprzysiężnym“.

Rzekłszy to, pocałował syna; łza po licach
 Mu pobiegła, choć długo więził ją w żenicach.
 Ale syn, choć go widział, uwierzyć nie zdołał,
 Że to ojciec, i trwożny do niego zawołał:
 „Tyś nie ojciec mój, Odys; to zły duch zapewne
 Zwodzi mię, bym się martwił, łzy wylewał rzewne.
 Gdy człek nigdy rozumem dokazać nie może
 Tego cudu, widocznie jest w tem ramię boże,
 Żeby w mgnieniu przemieniać starce na młodziany.
 Przed chwilą był dziad z ciebie okryty w łachmany,
 Teraz bożek, mieszkaniec niebieskiego gmachu“.

Odys mu odpowiedział: „O mój Telemachu!
 Przerażać się i dziwić tobie czyż przystoi,
 Kiedy własny twój ojciec przed tobą tu stoi?
 Innego się Odyssa nie spodziewaj widzieć:
 Jam jest ten, co się długo miał błąkać i biedzić,
 By po latach dwudziestu wrócił w kraj ojczysty.
 Sprawa to Atenei, mojej oczywistej
 Opiekunki, gdyż ona, jak chce, mię przemienia.
 Tylko co byłem żebrak odarty z odzienia,
 Teraz masz mię mołojcem, w stroju ślicznie lśniącem.“

Łatwo bóstwom, w szerokiem niebie mieszkającym,
 Bądź w proch zetrzeć człowieka, bądź stawić na szczycie!“

Powiedziawszy to, usiadł. Młodzianek w zachwycie
 Do serca cisnął ojca, łez wylewał strugi.
 Rozbolał się, rozrzewnił tak jeden, jak drugi.
 Obaj głośno szlochali, kwiląc jakby ptaki,
 Jastrzębie albo sępy, kiedy im chłopaki
 Z gniazd wydrą nieudolne do lotu piskłeta...

Razem z synem układa teraz Odysseus plan dalszego postępowania (P. XV—XVI).

Następnego zaś dnia Telemach powraca do matki, a Odysseus, wiedziony przez Eumeja, kieruje kroki ku miastu jako dziad proszący jałmużny. Zbliżają się obaj do zamku.

Wtem rzekł Odys, pastucha chwytając za ramię:
 „To pewnie dwór Odyssa; sam widok nie kłamie,
 Łatwo poznać z wszystkiego, co uderza oko:
 Gmach tutaj ponad gmachem piętrzy się wysoko,
 Szczytny mur blankowany obiega dokoła,
 Otaczając dziedziniec, a brama od czoła
 O podwójnych wrzeciędzach mocno go zamyka.
 Dwór to najdumniejszego godny śmiertelnika.
 Co większa, gody widzę i liczne zebranie
 Mężów; woń zalatuje i formingi granie
 Słyszę — obejść się bez niej mogłaby biesiada?“

Na to pastuch Eumej te słowa powiada:
 „Zgadłeś; widać, że rozum masz w każdym przypadku.
 Lecz pomyśl, co nam począć wypadnie, mój dziadku:
 Czy ty wnijdiesz tam pierwszy w progi ci nieznane,
 Prosto pomiędzy gachy, a ja tu zostanę?
 Czy też tutaj poczekasz, a ja pierwej wnijdę?
 Wždy niedługo, bo nużby wpadłbyś w jaką biedę,
 Zobaczyłby cię który i cisnął kamieniem?...
 Radzę więc ten przypadek brać z zastanowieniem“.

Na to odrzekł Odyssej, cierpieciel niezłomny:
 „Miarkuję i rozumiem, co chcesz rad twych pomny.
 Idź więc pierwszy; ja tutaj zostanę na dworze,
 Do bicia i pocisków ja już nawykł może.
 Umieć cierpieć, bo wilem wycierpiał na wojnie
 I na morzu: więc zniosę i ten cios spokojnie.
 Głód najtrudniej jest znosić, gdy żołądek krzyczy:
 On nas tyle nabawia cierpień i goryczy,
 Przezeń na mórz pustkowie uzbrojone nawy
 Wyprawiają, by zbierać na wrogach łup krwawy!“

Kiedy taki rozhovor¹⁾ wiódł Odys z pastuchem,
 Pies, leżący tam blisko, łeb podniósł, strzygł uchem.
 Był to Argos, którego sam Odys wychował,
 Lecz nie użył, gdyż wcześniej on był pożegłował
 Pod Troję. Potem chłopcy go na polowanie
 Brali w góry na kozy, zające i łanie.
 Teraz leży wzgardzony, gdyż nie stało pana,
 Na kupie, co z pod mułów i krów wyrzucana
 Zalega koło bramy; gnojem tym nawożą
 Parobcy pola pańskie i pożytek mnożą.
 Na nim to leżał Argos, jedzon przez robactwo.
 Lecz skoro bliskość pana zwierzyło biedactwo,
 Pokiwało ogonem, tuląc uszy obie,
 Chciałoby się doczołgać, sił nie miało w sobie...
 Uważał to Odyssej i łzę uczuł w oku —
 Otarł ją, by nie widział pastuch, co stał z boku.
 „Dziwna rzecz, Eumeju“ — Odys mu powiada —
 „Jak ten pies na barłogu pięknym jest nielada!
 Z tym kształtem czy i ręczność łączy? szedł na łowy?
 Czy też to ot zwyczajny sobie pies stołowy,
 Jakich dużo na dworach trzymają panowie?“

Na to pastuch Eumej te słowa odpowie:
 „Ten pies to własność męża dawno już zgasłego.
 Trzeba ci było widzieć kształt i ręczność jego
 Wtenczas, kiedy na Iljon Odys szedł z wyprawą!
 Zdziwiłbyś się psa tego siłą i postawą.
 Przed nim nie mógł zwierz żaden umknąć, tak był rączy,
 Wpadłszy na trop, wciąż trzymał, niezrównany gończy.
 Teraz zbiedniał; pan jego przepadł gdzieś daleko;
 Więc mu źle pod niedbałych służebnic opieką.
 Bo to tak z tą czeladzią: niech pan nie napędza,
 Zaniedba obowiązk, rąk sobie oszczędza.
 Zeus wszechmocny odziera człowieka z połowy
 Cnej pocziwości, odkąd ten bierze okowy.“

To powiedziawszy, odszedł w głąb pysznych podwoi
 Do izby, kędy świetny tłum gachów się roi;
 Tymczasem Argos w śmierci pogrążył się mroku,
 Gdy ujrzał swego pana po dwudziestym roku.

Od jednego z zalotników Odysseus doznaje zniewagi we własnym domu, ale nie mści się na nim, bo myśli o pomście nad wszystkimi. Szydzą też z niego służebne, złorzeczą mu inni zalotnicy.

(P. XVII—XVIII).

Gdy zostaje wraz z synem, wynosi wraz z nim broń do skarb-

¹⁾ taką rozmowę (z ruskiego).

czyka, poczem oczekuje Penelopy. Ta zjawia się wnet, spragniona wiadomości o mężu. Każe klucznicy, by podała przybyszowi krzesło:

„Wnieść dla niego,
 Eurynomo, krzeselko zastane baraniem
 Runem, aby w nie siadłszy, swem opowiadaniem
 Odpowiadał na różne pytania zadane“.

Rzekła i wraz klucznica przyniosła rzezane
 Piękne krzesło, nakryte kozuchem baranim.
 Boski cierpicieł Odys zaraz usiadł na niem,
 Zaś królowa podjęła rozgworu wątek:
 „Obcy człeku! przed wszystkim spytam na początek:
 Coś zaczą? i w jakiej ziemi twe gniazdo ojczyste?“

Na to odrzekł Odyssej: „Królowo! zaiste
 Nie wiem, czy kto jest taki na ziemskim przestworze,
 Ktobyć ganił! Twej sławie nic sprostać nie może,
 Jak sławie tego króla, co cześć bogom składa,
 Co rozlicznym narodem dzielnych mężów włada
 I sprawiedliwość pełni. Jemu ziemia czarna
 Rodzi owoc, pszeniczne i jęczmienne ziarna,
 Mnoży trzody, a morze ryb daje do syta,
 Pod mądrym panem ludu pomyślność zakwita.
 Lecz w tym domu o rzeczy rozpytuj mię inne,
 A nie o ród mój, ani o miejsce rodzinne,
 Jeśli nie chcesz boleścią serca mi zakrwawiać,
 Gdybym miał obraz nieszczęść już przebytych wznowiać...“

Roztropna Penelopa odrzekła mu nato:
 „Powie ci, że woń cnoty, urodę bogatą
 Wydarli mi niebianie odtąd, gdy na Troję
 Szli Argeje, a z nimi Odys, szczęście moje.
 Niechby on był powrócił i żył razem ze mną,
 Sławąbym zajaśniała nie taką nikczemną!
 Dziś z tęsknoty usycham, a różnych klęsk mnóstwo
 Wciąż zsyła na mnie jakieś nieprzyjazne bóstwo.
 Ilu bowiem władyków mieszka w tej tu stronie
 Na lesistym Zakincie, Samie, Dulichjonie,
 I tych, którzy w słonecznej Itace rej wodzą —
 Wszyscy drą się do ręki mojej i dom głodzą.
 Przeto mało się troskam o biednych żebrzących,
 Lub cudzych lub keryksów ludowi służących,
 Jedno pamięci męża łązy moje poświęcam
 I ciągle się natrętnym zalotom wykręcam.
 Aż niebo mię natchnęło myślą wybiegliwą,
 Żem na krosnach w mej izbie cieniutkie przedziwo
 Nałożyła, by utkać ogromną oponę —
 I tak rzekłam do gachów: Chcecie mieć za żonę

Mnie, wdowę po Odyssie, młodzi oblubieńcy!
 To czekajcie ze ślubem ni dłużej ni więcej,
 Aż się zwinę z zaczęta na krosnach robotą!
 Przędza w niweczby poszła — a mnie idzie o to,
 Aby miał piękny całun Laertes mój stary,
 Gdy go w czarnej godzinie śmierć weźmie na mary.
 Toż szydziłyby ze mnie achajskie kobiety,
 Gdyby pan taki wielki leżał nieokryty.
 Tak rzekłam wybiegliwie i zmiękły ich serca.
 Odtąd dniem pracowałam około kobierca,
 Porąc nocą przy żagwiach, com we dnie utkała.
 Takem ich przez trzy roki wciąż oszukiwała,
 Lecz gdy czwarte przyniosły pór odmienne lica,
 Wyszła przez suki-dziewki na wierzch tajemnica.
 Wpadli gachy, groźnemi jęli lżyć mię słowy
 I zmusili dokończyć... całun był gotowy!
 Dłużej mi niepodobna wesela odkładać...
 Cóż począć? Już rodzice zaczęli napadać
 Na mnie, abym szła za mąż, i syn mój się krzywi,
 Widząc, jak go tu niszczą. Lecz to mię nie dziwi,
 Zmężniał i sam dziedzicznym mieniem władać może,
 Byłeś ty go swą łaską wspierał, Zeusie boże!
 Lecz powiedz mi, kto jesteś, skąd ród twój pochodzi?
 Przecież nie dąb bajeczny, nie kamień cię rodzi?*

Ale Odysseus nie chce jeszcze dać się poznać małżonce i podaje się za niejakiego Etona, przyjaciela odysseusowego; opowiada, jak Odysseusa gościł w swym domu.

Takie prawdopodobne gadał on jej baje.
 Lecz słuchająca żona w łzach topniała wszystka.
 Jak na górach, Zefirem zwiane, zasympiska
 Śniegu zwykle roztopia rankiem Eur¹⁾ ciepławy,
 Tak roztopiał jej śliczne lica potok łzawy,
 Co płynął po małżonku tuż przy niej siedzącym.
 Dla Odyssa płacz żony był rozdzierającym;
 Oczy jego, jak z rogu lub żelaza ryte,
 Nieruchome, chowały w sobie lzy ukryte.

Rozmowa płynie dalej, Odysseus zapowiada Penelopie, że wnet ujrzy męża. Piastunka, która na polecenie Penelopy myje przybyszowi nogi, poznaje pana swego po bliźnie, ale Odysseus nakazuje jej milczenie. Żonie swej tłumaczy sen, jaki miała: sen ów jest wróżbą, „że wszystkich zalotników padną w zamku głowy“. Ale Penelopa ma jeszcze jedną ważną rzecz do zwierzenia:

¹⁾ Euros — wiatr południowo-wschodni.

„Jutro straszny dzień dla mnie; przyjdzie dom Odyssów
 Rzucić, gdyż jutro daję pole do popisów.
 Przez dwanaście toporów, rzędem w ziemię wbitych,
 Odys niegdyś bełt¹⁾ puszczał i było przeszytych
 Uch dwanaście, a strzelał na odstęp daleki.
 Owoż mym dziewczęstębom zadam trud nielekki:
 Ten, który łuk potrafi napiąć dłonią silną
 I przez topory strzałę przepędzić niemylną,
 Otrzyma rękę moją, a ja to siedlisko,
 Gdzie mi pierwszego męża przypomina wszystko,
 Opuścić.... Lecz tęskniąc sercem nawet we śnie!...“

Odysseus utwierdza ją w zamiarze poddania zalotników próbie, jaką obmyślił. (P. XIX).

Przygotowania do uczty godowej, pasterze przypędzają bydło na rzeź; Odysseusa znów jeden z zalotników znieważa. Wieszcze Teoklimenos, wyszydzony przez zgraję, opuszcza dwór, przepowiadając niecnym zuchwalcom rychłą zgubę. (P. XX).

Tymczasem wierna Penelopa podąża do skarbcza po łuk mężowski:

Więc królowa, stanąwszy pod drzwiami skarbczyka,
 Weszła na próg dębowy, ręką rzemieślnika
 Ciosan gładko; od progu w górę odrzwia biegły,
 W nich wprawione wierzeje mocne skarbów strzegły.
 Ona rzemię zadzierzgnion szarpła dłonią zręczną,
 Potem kluczem zaworę odsunęła wewnętrzną,
 Aż popchnięte, zaskrzyły wierzejów dwie poły
 Takim skrzypem, jak ryczą na pastwisku woły,
 I naraz się otwarły pod kluczu obrotem.
 Wszedłszy tam, na police²⁾ wspinała się potem,
 Gdzie stały skrzynie pełne odzieży woniącej —
 Stamtąd sięgnęła po łuk, na kołku wiszący
 W pięknych łubach³⁾, a zdjawszy takowy ze ściany,
 Siadła, cisnąc do serca łuk ten ukochany
 Mężowski, teraz przez nią z łubów wydobyty.
 I zaczęła w głos szlochać, a gdy zdrój obfity
 Łez rzewnych ulgę przyniósł sercu zboląlemu,
 Wprost poszła tam do gachów zuchwałych teremu⁴⁾,
 Trzymając zakrzywiony łuk Odyssów w rękę
 I kołczan, a w nim lotne strzały, sprawce jęku.
 Za nią niosły służebne sepecik⁵⁾ zamknięty,
 Z żelazem i miednemi orężmi i sprzęty,
 A gdy przyszła cna pani przed tłum zgromadzony,

¹⁾ strzałę, ²⁾ police: półka, ³⁾ okrycie na łuk, na strzały (pierwotne znaczenie: kora z twardego drzewa), ⁴⁾ terem: pałac, mieszkanie, ⁵⁾ sepecik — skrzynka.

Stała w progu izby wysoko sklepionej.
Cienką z głowy namiotkę spuściła na lice,
A mając z obu boków służebne dziewice,
W te słowa do zebranej ozwała się rzeszy:

„Słuchajcie, dziewosłoby! śnać bardzo was cieszy
Zbierać się w tym tu zamku codziennie na gody,
Odkąd mąż mój odjechał. Jakież są powody,
Że zajazdem i dom nasz i mienie niszczy? —
Jeżeli to z miłości do mnie, jak mówicie,
Więc dobrze! Zatem pora stanąć do popisów:
Przyniosłam wam ów sławny, wielki łuk Odyssów!
Który z was ot ten kabłąk napnie dłońią silną
I uch dwanaście strzałą przeszyje niemyłą,
Tego żoną zostaną; mężowskie siedlisko,
Zamek ten ukochany, opuszczę — z nim wszystko!
Ale tęsknota moja nigdy nie przeminie“!

To rzekłszy, na pastucha Eumeja skinie,
By topory i łuk ten przed nimi postawił.
Płacząc wziął je Eumej i rozkaz jej sprawił....

Wtem oto syn Eupejta tak się tam ozowie,
Antinoj: „Po porządku chodźcie tu, druhowie,
Od lewej ku prawicy; tą samą koleją,
Jaką cześnicy wino w puhary nam leją“.

Słowa te Antinoja przypadły do smaku.
Syn Ojnopa, Lejodes, pierwszy stał w orszaku;
Był to wróżbit i zwykle ostatni przy dzbanie
Siadywał, mierząc sobie złe ich zachowanie.
Li on jeden potępił te gachy zuchwałe.
Więc się zbliżył i podjął łuk, nałożył strzałę,
A stanawszy na progu, cięciwę w kabłąku
Napiąć chciał, lecz sił nie miał w nieudolnych rękach.
Zatem do zgromadzonej tak mówił drużyny:

„Nie dam rady, niech łuk ten napina kto inny;
A i najtężsi mężowie przy tym łuku pono
Nietylko serce tracą, lecz ducha wyzioną“....

Rzekłszy Lejodes, kabłąk odstawił na stronę,
Oparłszy o podwoje pięknie wygładzone,
A lotną strzałę oparł na świetnym pierścieniu.
Co sprawdziwszy, wraz odszedł się w swoim siedzeniu.

Wtem Antinoj głos zabrał i tak go strofował:
„Toż się z piękną mową do nas wysforował:
Same groźby i strachy; ta mowa mnie gniewa;
Więc, jak mówisz, młódź nasza ducha powyżewia
Przy tym łuku, którego twoja dłoń nie zmoże?
Śnać matka cię nie nato chowała, nieboże,
Abyś sławy się dobił strzałami i kuszą!
Są tu inni mołojce, którzy łuk ten ruszą“.

Rzekł i przyzwał Melanta, przywódcę kozłarzy:

„Zakręć się koło ognia, niech się wnet rozżarzy;
Stolik mi tam postawisz, nakryty baranem;
Ze spiżarni przyniesiesz łój całym sałhanem¹⁾.
Tłustością tą łuk natrzem, rozgrzan przy ognisku,
A próba nam pokaże, co kto weźmie w zysku“.

Melant ogień rozniecił, płomień buchł do góry,
Stółek przyniósł, zasłany baraniami skóry,
A duży sałhan łoju przyniósł ze spiżarni,
A oni, róg rozgrzawszy, gięli go — lecz marnie!
Szwankującym na sile nie dopisał sposób
Naciągnięcia cięciwy. Więc ze wszystkich osób
Li Antinoj, Eurymach, dwaj mężowie przedni
Nie chcieli się do próby mieszać sami jedni.

Więc i słudzy Odyssa, wolarz z świniopasem
Obydwa się wynieśli z świetlicy tymczasem,
A za nimi sam Odys podążył bez zwłoki.
Gdy minęli podwoje, przysionek wysoki,
I wyszli na podwórze, idący za nimi
Odys tak ich zagabiał słowy przyjaznymi:
„Mógłbym wam coś powiedzieć, kochani skotarze,
Lub zamilczeć, lecz serce gwałtem mówić każe:
Przy kimbyście stanęli, gdyby niespodzianie
Odyssa wam z tułaczki wrócili niebianie?
Przy kim? Czy przy Odyssie, czy przy zalotnikach?
Powiedzcie, co tam w serca chowacie tajnikach“.

Nato mu odpowiedział od wołów pastucha:
„O! jeśli Zeus modlitwy mojej raz wysłucha
I powróci nam pana w te progi domowe,
Zobaczysz, że mam siłę i ręce mam zdrowe“.

I Eumej do bogów również wznosił modły,
By Odyssa do ziemi rodzinnej przywiodły.
A gdy się o wierności obu sług przeświadczył,
Otwarcie z nimi mówił i już nie majaczył:
„Macie mię — otóż jestem! Jak raz w lat dwadzieście
Dobiłem się do ziemi rodzinnej nareszcie.
Widzę, żeście tęsknili za moim powrotem,
Wy jedni ze sług tyłu! Inni nigdy o tem
Nie myśleli i o to nie prosili bogów,
Więc zwierzę wam zamiary moje względem wrogów;
Jeżeli gachów zetrę przy pomocy nieba,
Każdemu z was dam żonę i dobry szmat chleba,
Toż chatę gdzie pod bokiem, byście każdej chwili
Z mym synem jako bracia i druhowie żyli.“

¹⁾ sałhan: łój barani; tu w znaczeniu naczynia, w którym łój mie-
szczono.

Nie dość to: lepszy dowód pokażę wam przecie,
Po którym mnie poznawszy, wierzyć już będziecie:
Oto blizna — przed laty zadana kłem dzika,
Gdym w Parnasie polował z synmi Autolika“.

Tak mówił i tę bliznę odkrył z pod łachmana,
A gdy była odkryta i przez nich poznana,
Z płaczem go w swe ramiona obydwa porwali,
Witali, a po rękach i w twarz całowali —
I Odys ich nawzajem w twarz, w ręce całował,
I przedejby się Heljos po pod ziemię schował,
Niżby płakać przestali; lecz Odys ich z góry
Nabrał: „Dosyć tych kwileń, nuż tam z dworskich który
Nas podpatrzył i gachom, co widział, wygada!
Po jednemu nam przeto wracać się wypada.
Ja pierwszy — a wy po mnie. Uważać co dalej:
Nigdyby zalotnicy na to nie przystali,
By się łuk ten z kołczanem dostał w ręce moje —
Więc Eumej niech śmiało przekroczy pokoje
Z owym łukiem i odda mnie do rąk takowy.
Również trzeba nakazać, aby białogłowy
Mocno te drzwi zaparły, co idą na tyły,
A gdyby z wielkiej izby jakie dochodziły
Do nich jęki i łomot, to nic im do tego,
Siedzieć im przy robocie i pilnować swego!
Filetjowi oddaję główne pod straż wrota:
Zawory niech zasunie, rzemieńmi omota“.

Powiedziawszy to, wkroczył w zamkowe pokoje,
Gdzie pierwaj zajmowane zajął krzesło swoje,
A za nim po jednemu pastuchy wrócili.

Eurymach w ręku kabłąk obracał w tej chwili
Tak i owak przy ogniu; lecz łuk, choć rozgrzany,
Nie dał się wcale napiąć, czem on rozgniewany,
Ciężko westchnąwszy, wołał: „O wy bogi w niebie!
Patrzcie na me cierpienia za drugich i siebie.
Nie przeto, że na niczem spełzło to wesele —
Przecież dziewic achajskich znajdzie się tu wiele
W ltace i po miastach — choć to przykre niemniej,
Lecz że obok Odyssa my tacy nikczemni,
Łuku jego naciągnąć żaden nie ma siły!

Dość, by o nas z pogardą prawnuki mówiły!“
Syn Eupejta, Antinoj, na to odpowiedział:
„Eurymachu źle mówisz, jak gdybyś nie wiedział,
Że boga Apollona lud dziś święci święto —
W taki dzień nie lza kuszę napinać przekłętą.
Na bok z nią! lecz topory w miejscu niech zostaną!
Niema przecie obawy, by je stąd zabrano;
Na zamku Odyссеja bezpiecznie dostoja.“

Hej wina! wy, cześnicy, pełńcie służbę swoją,
Bogów czcić nam obiata, a niechać strzelania.
Zato nam kozłarz Melant jutro do świtania
Dostawi co najlepszych kóz z całego stada,
Więc na cześć Apollona obiatę nielada
Wyprawim. Łuk zapewne łatwo napiąć da się;
A tak walkę o zakład skończym w krótkim czasie“.

Tę mowę Antinoja wszyscy podzielali.
Więc keryksi na ręce zdroj wody im lali,
A służebni kielichy po brzegi naleją
I od prawej każdemu obnoszą koleją;
Poczem część zlawszy bogom, spełnili gachowie.
Gdy wtem przebiegły Odys chytrze się ozowie:
„Wy, dostojnej królowej dziewostęby młodzi,
Słuchajcie! to, co powiem, z serca mi wychodzi.
Zaklinam Eurymacha razem z Antinojem,
Który rzeczy wyświecił trafne zdanie swoim,
Żeby łuku nie tykać, a z bogiem mieć sprawę.
A jutro Bóg da siłę i z wygranej sławę.
Tymczasem mnie pozwólcie spróbować kabłąku!
Chcę przed wami pokazać, czy siłę mam w ręku
Tę samą, co przed laty członki memi władła,
Czy też bieda z włóczęgą do szczętu ją zjadła?“

Na tę prośbę gachowie wpadli w straszne gniewy
Z obawy, by przypadkiem nie napiął cięciwy.

Ale gniewy daremne — Eumej wręcza łuk Odyссеusowi. Ten zaś

...nie mówił nic zgoła,
Ino kabłąk giął w ręku, oglądał dokładnie,
Jak ten, co na formidze umiejac grać ładnie,
Łacno brzęczącą strunę na gędziebnym drzewie
Napnie i w obu końcach wzmocni owcze trzewie.
Tak samo i on napiął wielki łuk bez męki;
Naciągniętą cięciwę musnął palcem ręki,
Aż odrzękła jaskółczym rozgłosnym świegotem.
Gachy strachem pobledli, oblali się potem....
Wtem zagrzmiąło: Zeus z nieba znak niemylny dawał.
Cud ten serce Odyssa radością napawał,
Niezgłębionego Zeusa zwiastując mu wolę.

Więc wziął pierzastą strzałę leżącą na stole,
Kiedy inne w zawartym leżały kołczanie,
Przeznaczone Achiwom wnet na skosztowanie.
Te wzięwszy, karbem przytknął do cięciwy szczerlnie,
I jak siedział na stołku, wymierzył łuk celnie,
Grot puścił, ten topory wszystkie trafił rzędem,
Przeszywszy pierwsze ucho, wyleciał tym pędem

Przez ostatnie. Więc mówił: „A cóż, Telemachu,
Czy twój gość wstyd ci zrobił w tym królewskim gmachu?
W cel trafiłem; z napięciem cięciwy też mało
Miałem trudu — snać dużo sił mi pozostało,
Chociaż mię tu gaszkowie mieli w poniewierze.
Lecz czasby tym Achiwom wyprawić wieczerzę
Za dnia.... a potem innej zażyć krotchwili —
Przy gęźbie i przy śpiewie godować najmilej“.

To rzekszy, mrugnął skrycie, i syn Odyssowy
Telemach miecz przez ramię przewiesił spiżowy,
Oszczepem dłoń uzbroił, ku ojcu krok chyży
Zrobił i przy nim obok stanął, wszystek w spiży.

(P. XXI).

Odys rozstał się w mgnieniu z żebraczym łachmanem.
Wskoczył na próg wysoki z łukiem i kołczanem,
W którym wiele strzał było nastrzępionych pióry;
Wysypawszy je u nóg, zagabł gachów z góry:
„A więc się już rozstrzygnie, mamy bój stanowczy!
Teraz cel mam, jakiego nie miał żaden łowczy;
Zobaczę, czy weń trafię, Febowi na chwałę“.

Rzekł — i w Antinoosa puścił gorzką strzałę,
Właśnie, gdy ten po czaszę złocistą, dwuuszną
Sięgał i już ją ręką chwycił posłuszną,
Chciał do ust podnieść; umrzeć, ani mu się śniło.
Któżby myślał przy godach, gdzie ich tyle było,
By się tam ktoś odważył, choćby jak waleczny,
Zgotować mu los czarny i wtrącić w cień wieczny?
Lecz Odys weń zmierzyszy, trafił w same gardło,
Że aż przez kark żeleźce na wskroś się przedarło,
Czasza z rąk się wyslizła, gdy padał ukosem;
I zaraz promień czarnej krwi buchnął mu nosem.
Precz od siebie kopnęły stół drgające nogi,
Że się wyrócił; misy zasłały podłogi;
Chleb i mięsiwo w kurzu brudnym się zwałało.
Widząc gachy, jak padał, krzykiem izbę całą
Napełnili, ze swoich zerwali się stołków,
I przebiegając izbę, od kołka do kołków,
Szukali po wszech ścianach w zajadłym ukropie —
Lecz ani jednej tarczy nie było, ni kopje ¹⁾.
Więc grożąc, Odyseja karali słowami:
„Na złość wyjdzie, włóczęgo, żeś śmiał zadrzeć z nami!
Ale sztuka do razu; pójdiesz wnet do ojców,
Za zabójstwo pierwszego z itackich mołojców!
Żywot twój policzony, sępy cię tu zjedzą“.

¹⁾ Kopje zam. kopji (staropolska forma dopełniacza).

Tak mu grozili w szale, bo iście nie wiedzą,
Czy zabił go umyślnie? Głupcy ani marzą,
Że skrzydła bliskiej śmierci nad nimi się wazą!

Na to Odys, przebiwszy żrenicą ich swoją:

„Psy jakieś! myśleliście, żem poległ pod Troją?
Że nie wrócę? Więc dalej rej wodzić po domu!...

I chociaż żyw, małżonkę moją bałamucić!

Jakby bogi nie mogły tych szaleństw ukrócić,

Jakby wam język ludzki mógł przepuścić płazem!

Lecz dosyć — wyrok śmierci padł na wszystkich razem“.

To rzekł, a blady przestach ogarnął zbytniki,

Ten i ów radby umknąć z tej zabijatyki.

Sam tylko Eurymachos zdobył się na słowo:

„Jeśliś itacki Odys, wracający zdrowo,

Słusznie karcisz za gwałty te nasze Achiwy,

Za te w zamku i włościach wyprawiane dziwy,

Lecz sprawca tych bezceństw przed tobą tu leży,

Antinoj — on nas ciągle kusił do grabieży.

Nietyle o żeniaczkę widać mu chodziło,

Jak o większe, co z wolą Kronjona nie było:

Oto chciał on sam królem zostać nad Itaką,

A syna twego sprzątnąć śmiercią lada jaką.

Ma już, na co zarobił! A więc zlitujże się

Nad nami; każdy chętnie, co porwał, odniesie;

Zato, cośmy najedli, napili z twych stołów,

Każdy ci przyprowadzi po dwadzieścia wołów,

A dla zgody dołożym, co chcesz: miedzi, złota,

Póki cię nie zjednamy — gniew twój nie dziwota!“

Dziko spojrzawszy, mądry Odysej mu nato:

„Nie, Eurymachu — nawet puściznę bogatą

Po ojcach mi tu znieście i więcej w dodatku,

To i tak dłoń nie spocznie, póki do ostatku

O każdą zbrodnię z każdym nie sprawię się gachem.

Teraz macie wóz przewóz; bo na śmierć lub z strachem

Ucieczka; a czej ¹⁾ który śmierci się wychwyci?

Lecz żaden, myślę — wszyscy będziecie zabici!“

Tak mówił, a po ciele przeszło ich aż mrowie.

Wtem jeszcze raz Eurymach do swych się ozowie:

„Bracia! u tego człeka nie zmacha się ręką!

Póki panią kołczana i gładkiego łęka,

Póty słać będzie strzały ze lśniącego proga,

Aż wszystkie wytnie. Nuże! weźmy się do wroga!

Dobyc mieczy! stołami pozostawiać piersi

Od strzał jego — i hurmem wypadniem najpierwsi.

Gdy go z progu i ze drzwi wypłoszyć się uda,

¹⁾ może, a nuż (z ruskiego).

Wpadniem wtedy do miasta, skrzyknem dużo luda,
On tymczasem za nami pośle strzał pośledny“.

Tak rzekł — i zaraz dobył obosieczny, miedny
Koncerz, i z podniesionym na Odysa bieżał
Z srogim krzykiem; a Odys właśnie co wymierzał
Łuk swój i w same piersi celował pociskiem,
Że aż w głębi wątroby uwiązał mu ze wszystkim.
Ręka miecz wypuściła — on sam runął krwawy
Przez stół i na podłogę pozrzucał potrawy
Z dwuuszną czaszą. Wił się, czołem tłukł po ziemi,
W bolach konania kopiąc nogami obiemi,
Zwalił stołek, i oczy nocą się powlekły.

Wnet też i Amfinomos wyskoczył jak wściekły
Przeciwko Odyssovi z wzniesionym brzeszczotem,
By go z drzwi wyparować, lecz Telemach lotem
Zabiegł mu: w same plecy, pomiędzy ramiona,
Wraził kopję, aż nawskróś pierś przedziurawiona.
Padł jak długi, o ziemię uderzył czerepem,
A Telemach uchodząc, rozstał się z oszczepem
Zostawionym w kadłubie; szło mu, aby który
Achiw, kiedy swój oszczep wydobywał, z góry
Nie płaćnął go, albo też nie przeszył w natłoku.
K'temu jednym poskokiem był przy ojca boku,
I uskrzydłone słowa posłało mu chłopię:
„Ojczcie! wnet ci dostawię pawęż i dwie kopje,
Toż szlem¹⁾, coby do czoła szczelnie ci przystawał;
Siebie całkiem uzbroję, a i zbroi kawał
Zniosę dla Eumeja i dla Filetjosa.

Daleko lepiej bić się, kiedy pierś nie bosa“.
Nato mu rzecze Odys, ćwik szczwany jak mało:
„Bież i przynoś, dopóki strzał jeszcze zostało,
Aby mnie nie wyparła z progów ta gromada“.

Jakoż Telemachowi przypadła ta rada,
Bo pobiegł do skarbczyka, gdzie stały oręży,
Tam wybrał osiem kopij i cztery pawęże,
Toż szlemów miednych cztery, zdobnych w końskie kity,
I zniósł prędko do ojca, młodzian wysmieniony.
Poczem w zbroję miedzianą sam się oblekł duchem,
A za jego przykładem i wolarz z pastuchem
W pełnej zbroi dokoła Odysa stanęli.
Bohater zaś, dopóki strzał starczy, co strzeli,
To powali jednego, tak, że w całym gmachu
Gdzie spojrzalesz, to leżał kupą gach na gachu,
Lecz gdy gniewnemu panu strzał brakło w kołczanie,
Odstawił łuk i oparł go u drzwi przy ścianie,

¹⁾ hełm.

Sam zaś nadział pawężę poczwórną na siebie
I szlem włożył na głowę, doświadczon w potrzebie,
Co groźnie ogonami powiewał końskimi,
Ręce uzbroił dwiema dzidy dwusiecznymi....

Lecz Femjos, syn Terpjosa, uszedł czarnej doli,
Bo gachom przyspiewywał zwykle poniewoli.
Stał on, w rękę trzymając swą forminę dźwięczną,
Tuż u drzwi tylnych, walką miotany wewnętrzzną:
Czy ma wymknąć się chyłkiem i usiąść w pokorze
Pod ołtarzem Zeusowym, stojącym na dworze,
Gdzie ongi Odys tyle żertwił¹⁾ wolicz ćwierci,
Czy też u nóg Odysa prosić się od śmierci?
Wątpiącemu ta rada mądrzejszą się wyda,
Żeby poprostu upaść do nóg Laertyda.
Więc forminę dlubaną postawił na ziemi
Między krucem a krzesłem z gwoźdźmi srebrzystymi,
Poczem, sam się rzucając do nóg gospodyna,
Przepraszał, przysięgając, że nie jego wina.

„Na klęczkach, rzekł, Odysie, proszę cię za sobą;
Nie zabijaj mię! Sambyś okrył się żałobą,
Gdybyś zabił pieśniarza, co ludzi i bogi
Opiewał. Jam samouk. Bóg wszczepił dar drogi
W moją duszę, więc będę i dla cię miał pieśnię,
Jak dla Boga, a ino nie gub mię tak wcześniej.
Zapewne już Telemach, twój syn, ci to mówił,
Żem tu nie wszedł do zamku, abym się obłowił,
Anim też z własnej chęci śpiewał do biesiady;
Moźniejsi przymusili i nie było rady!“

Słyszac to, Telemachos, świętą natchnion mocą,
Wobec groźnego ojca przybiegł mu z pomocą:
„Stój! rzecze, on nie winien, nie podnoś nań miecza!
I Medona keryksa ochroń! Jego piecza
Czuwała tu nade mną od latek dziecinnych.
Chybaby biedak zginał przypadkiem z rąk innych,
Może z rąk Filetjosa poległ, lub pastucha,
Lub twoich, gdyś tu w izbie wrzał, jak zawierucha“.

Usłyszał jego mowę Medon, co ukryty
Pod stołkiem, wraz z innymi nie został zabity.
Odziany w skórę wolu zarżniętego świeżo,
Wylał i to pokrycie zrzucił z siebie chyżo.
Poczem do Telemacha przyskoczył, za nogi
Objął go i o litość zaklina na bogi:

„Otóż jestem, prosz za mną, tyś dobra dziecina!
Niech mnie gniewny twój rodzic mieczem nie zarżyna!
Wiem ja, że się na gachy burzy jego serce,

¹⁾ ofiarował.

Bo go zdarli, a ciebie mieli w poniewierce“.

Nato mądry Odyszej uśmiechnął się zlekka:
„Nie troszcz się, on twój zbawca i twoja opieka;
Wiedźże o tem i ludziom opowiadaj innym,
Że złym być mniej pociechy, niżli dobroczynnym.
A teraz idźcie sobie, ty z gęślarzem oba
W przysionek, na dziedziniec, gdzie się wam podoba,
Póki po tej tu rzezi porządku nie zrobię“.

Skończył, a ci dwaj z izby zaraz poszli sobie,
I usiadłszy w dziedzińcu u stopni ołtarza,
Oglądali się trwożnie, czy im śmierć zagraża.

Odys tymczasem pilnie zamek przepatrował,
Czy się gdzie jaki żywy przed śmiercią nie schował.
Lecz wszystkich znalazł krwawem owalanych błotem,
Leżących na podłodze, jak ryby pokotem,
Kiedy to z morskich toni na strome wybrzeże
Rybacy wielookie wyciągną więcierze;
Porzucone na piasku ryby w morze rwą się,
A ty ich swym promieniem zabijasz, Heljosie.
Podobnie też i w izbie trup przy trupie leżał....

Po wymierzeniu tej strasznej kary Odysseus i Telemak,

Omywszy sobie ręce i nogi zjuszzone,
Szli na dworzec Odysów, bo dzieło skończone.
Właśnie Odyszej mówił Euryklei starej:

— Przynieś siarki, co klątwę odczynia i czary;
Toż ognia, bym wykadził komnaty, a razem
Powiedz Penelopei, za moim rozkazem
By się spieszyła tutaj z pannami dworskiemi,
A i drugie niewiasty niech się stawiają z niemi.

Nato mu Eurykleja, piastunka sędziwa:
— Dobrze, mój synu! Mądrość przez cię się odzywa,
Lecz wprzód trzebaby chleń i płaszczyć przynieść dla cię,
Byś się dłużej nie świecił w tym podartym gnacie,
Jeszcze tu na komnatach: zgorszenie nielada!

Nato jej Odysseusz mądry: Słuszna rada;
Lecz wprzód niech mi ogień rozpalą tu duży.

Rozkazał. Eurykleja pilnie panu służy:
Przyniosła ognia, siarki, i Odys dokoła
Kadził w izbie, w przysionku, w całym dworze zgoła.

Staruszka, pamiętając rozkaz Odysowy,
Szła na górę zwolywać wierne białogłowy,
Które się wysypały z pochodniami w rękę,
Obstępując Odysa wśród szłochu i jęku,
Powitań, dłoń ściskając, a po głowie, twarzy,
Każda go serdecznemi całunkami darzy,

Że aż mu z rozrzewnienia na płacz się zebrało.
Serce Odysseusa każdą z nich poznało.

(P. XXII).

Nadeszła też Penelopa, poznała wreszcie męża (Atena w „uroki
i wdzięki“ przyoblokła Odysseusa) i z płaczem rzuciła się w jego obję-
cia, mówiąc przez łzy:

...Bogów wyrok srogi

Padł na nas i rozdzielił: dni młodych wesele
Nie przeciągło się w starość dla nas w tym rozdziele!
Niechże cię gniew nie żżyma, ani rozżalenie,
Żem cię nie powitała na pierwsze wejście,
Bo nie mogłam obawy wybić sobie z głowy,
Że może przyjąć ktokolwiek i chytremi słowy
Zwieść mię. Tyle oszustów włóczy się po świecie!...

To rzekła, jemu w sercu wezbrały tęsknice.
Płacząc, w objęciach trzymał drogą połowicę.
A jak żeglarze ziemi cieszą się widokiem,
Których nawę Posejdon na morzu szerokiem
Burzą i bałwanami roztrząsał na szczęty,
Więc owi, co przez wzdęte przedrą się odmyły
Ku lądowi, słonawem obwalani błotem,
Jakże radośnie na brzeg wyskakują potem!
Z taką radością męża powitała żona,
Dwojgiem śnieżystych ramion garnąc go do łona...

(P. XXIII).

Nazajutrz Odysseus poszedł powitać swego ojca staruszka, Laer-
tesa. Zastał go sadzącego szczepy. Starzec również „nie poznał syna.
Odysseus przygotował ojca odpowiednio na przyjęcie nowiny, ale nie
mogąc wreszcie uczuć pohamować:

Skoczył don, wziął w ramiona i całował lica:

— Ojcze! jam to jest syn twój, mówił, syn zgubiony,
Który wraca po latach dwudziestu w te strony!
A więc łzom tym pofolguj, nie wzdychaj już więcej!
Krótco powiem, gdyż działać trzeba nam co prędzej,
Żem wszystkie zalotniki w pień wyciął w mym domu;
Nie uszli mi zuchwalce mściwego pogromu!

Odpowiedział mu na to ojciec Laert stary:

— Żeby mój Odys wrócił, rzecz trudna do wiary;
Pokaż znamię, a wtedy zaufam twej mowie.

Nato mu bystromyślny Odyszej odpowie:

— Ojcze mój: na tę bliźnę nasamprzód zwróć oko,
Którą odynieć kłami rozorał głęboko
Tam w Parnasie, gdym z woli twojej i mej matki

Do Antoliku jeździł odebrać te datki,
Które mi był obiecał na me urodziny.
Teraz wskażę ci wszystkie drzewa i krzewiny,
Darowane mi niegdyś gdym jeszcze dziecięciem
Za tobą wbiegł w te sady i słuchał z zajęciem,
Jak każde drzewo mianem nazywałeś innem;
Naparłem się był o nie z uporem dziecinny,
A tyś mi grusz trzymał, jabłoni dziesiątek,
Fig czterdzieści darował — tyle na początek —
Nadto pięćdziesiąt rzędów wina dostać miałem,
Rozpiętego na tykach pod słońca upałem,
Które się gromni jagód okrywa w swej porze,
Gdy Zeus błogosławieństwo z nieba ześle boże.

Starcowi biło serce, nogi pod nim drżały,
Skoro powziął z ust syna ten znak doskonały.
Rzucił mu się w objęcia i upadł w zemdleń
Na pierś syna i w jego zawisnął ramieniu.
A po chwili, gdy w niego duch wszedł i ocucił,
W uniesieniu radości takie słowo rzucił:
— O Zeusie! śnać bogowie w niebie jeszcze władną,
Jeśli starli rozpustę gachów bezprzykładną.
Li o to strach mię bierze, aby Itakanie
Hurmem nas nie napadli..

Tak się też stało. Mieszkańcy Itaki, pobudzeni przez ojca Antinoosa, zjawili się wnet tłumnie. Ale Odysseus natarł na nich śmiało:

Więc Odys z synem wpadli w nieprzyjaciół roty,
Siekli mieczem i bodli dwumiecznymi groty,
I jak raz by wycięli wszystkich co do nogi,
Gdyby nagle nie zagrział nad nimi głos srogi
I nie powstrzymał strony. Był to głos Pallady,
Córki Egidodzierzcy¹⁾: — Dosyć już tej zwady!
Przestańcie, Itakanie, we krwi własnej brodzić,
Rozchodźcie się do domu! natychmiast rozchodźcie!

Na ten głos potruclili wszyscy zbrojni męże,
Oślupiałym wypadły z garści ich oręż,
Wytracone na ziemię głosu tego siłą.
Ku miastu tłum się rzucił, pierzchało, co żyło.
A Odys z strasznym rykiem na tłum uchodzący
Nacierał, ni to orzeł w chmurach szybujący.

Wtem ze szczytu Olimpu, z Kronjona prawicy
Padł piorun przed stopami Ateny dziewicy,

¹⁾ egida — tarcza Zeusa.

A ona wnet Odysa wsparła dobrą radą:
— Bystroumny Odysse, zacny Laercjado!
Wstrzymaj się i zaniechaj bratobójczej wojny!
Mógłbyś Zeusa obrazić: on — w pioruny zbrojny.
Rzekła, a Odys woli poddał się swej pani.
Sojusz stanął: król z ludem byli pojednani
Za sprawą Atenei, córki Kronjonowej,
Podobnej do Mentora¹⁾ z wzrostu, kształtu, mowy.

Co stanowi trzon opowiadania w *Odyssei*? Które z przygód bohatera mieszczą w sobie żywioł dziwności, cudowności? — Które sceny poematu wzruszają nas? Czem? Czy może są i takie, które budzą odrazę? Jeśli tak, z jakiego powodu? — Jakich uczuć doznaje Odysseus kolejno podczas swych przygód? Jak objawiają się jego uczucia? A uczucia innych osób? Czy spotykamy się z rozległą skalą uczuć? — Spróbujmy nakreślić charakterystykę Odysseusa. — Co w czytelniku roznieca niechęć ku zalotnikom? Czy niechęć ta stopniowo nie wzrasta? Jeśli tak, dzięki czemu? — Które postacie, prócz Odysseusa i grupy zalotników, mają na tyle wybitne znamiona, że potrafilibyśmy je scharakteryzować? — Spróbujmy na podstawie poznanego wyboru nakreślić obraz życia domowego w *Odyssei*, obraz wierzeń i zwyczajów religijnych, urządzenia domostw i dworów. — Jaki wpływ na bieg wypadków wywierają w *Odyssei* bogowie? Czy można mówić o akcji i kontrakcji w poemacie? — Na czym polega zasadnicza różnica między przedmiotem *Iliady* i *Odyssei*? W którym poemacie panuje większa różnorodność treści? Porównać kompozycję obu eposów. Porównać środki artystyczne, dzięki którym w obu poematach powstają obrazy plastyczne. — Które postacie ze znanych nam utworów piśmiennictwa polskiego przywołują na pamięć Odysseus? Czem życie Achajów przypomina życie dzisiejsze? w czym się ujawnia różnica? (rozpatrzyć wszystkie objawy, na które przy lekturze zwrócono uwagę).

3. Z Pamiętników Paska.

P o j e d y n e k

(1660).

Przyszły do ruszenia uniwersały, żeby się chorągwie ścigały pod Kozierady; bo też już i o Moskalach były wiadomości, że się kupili. Stanęliśmy tedy pod Kozierady na trzy niedziele przed świętami. Wojsko piękne i dobre, tylko że, jak

Jan Pasek, ur. około 1630, walczył w szeregach Czarnieckiego, brał udział w wyprawie wojennej przeciw Rakoczemu, w wyprawie do Danji i w wojnie moskiewskiej. Podczas rokoszu Lubomirskiego opowiedział się po stronie królewskiej. Osiadłszy po latach wojowania na roli, gospodarzył skrzętnie, polował, wadził się z sąsiadami, niemniej jednak umiał sobie zjednywać serca braci szlachty dowcipem swym i fantazją. Umarł w roku 1701. Pamiętniki swe spisywał prawdopodobnie w wieku podeszłym. Wydano je po raz pierwszy dopiero w XIX stuleciu.

²⁾ w postaci Mentora, przyjaciela Odysseusa, towarzyszyła Atena Telemachowi w podróży.

Lutrzy mówią, *pusillus grex*¹⁾, bo nas tylko 6000 było w dywizji pana Czarnieckiego.

To cudowna, że kiedy mi zbudowano chłodnik przed namiotem z brzoźowego chróstu, zaraz w ten dzień począł sobie robić gniazdo trznadel u samych drzwi mego namiotu, w płocie owego chłodnika... W owym chłodniku był stół z tarcic na soszkach²⁾ zrobiony; u tego stołu jadano, pijano, karty grywano, strzelano czasem, wołano; a ptak siedział, nie bał się najmniejszej rzeczy.... Gdy mu się jeść chciało, to przed rumakiem zbierał owies. Wysiedział nawet swoje potomstwo, wychował i sprowadził. Wszyscy mówili, że to znak jakiegoś znamenitego szczęścia. Było szczęście, lecz ptakowi, co się spokojnie wylągł, ale nie mnie; bo mnie takie ogarnęły ktopoty, z których ledwie wybrnął...

Towarzystwo regimentarskie, panowie Nuczyńscy, pili u brata swego ciotecznego, u pana Marcina Jasińskiego, towarzysza naszego; mnie też był zaprosił na tę ucztę p. Jasiński. Bodajby jej nie było! Dopiewszy³⁾ tedy bowiem mocno, począł mi Nuczyński wielkie dawać okazje. Ja lubom był tak pijany jak i oni, rzekę do Jasińskiego: „Panie Marcinie, nie miałeś mię tu Waszeć poco prosić, kiedy przyczynę dają i miodem oblewają“. I wyszedłem z szałas, chcąc ująć licha, to tylko wymówiwszy: „Kto ma do mnie pretensją jaką, wolno mi powiedzieć jutro, a nie po pijanu“. Jużem tedy wpół drogi, dogonił mnie Nuczyński: „Bij się ze mną“. Odpowiedziałem: „Panie bracie, nie bardzobyś mię Waszeć leniwego uznał, ale dwa są *impedimenta*⁴⁾: jeden, że tu obóz, drugi, że tu szable nie mam, bom poszedł do towarzysza na posiedzenie, nie na żadną wojnę; ale tak, jeżeliby to nie mogło być inaczej, jutro rano, a za obozem, nie w obozie“. Idę tedy do swego szałas, onego zaś jego wyrostek hamuje i przytrzymał; dawszy on wyrostkowi pięścią w głowę, wydarł mu się i, przyszedł za mną. Musiałem wynieść szablę. Wziąwszy się, co na mnie przytnie, to mówię: „Zginiesz!“ Ja zaś mówię: „Pan Bóg tem rządzi“. Za drugim czy za trzecim ścięciem dosięgnęłam mu palców i mówię: „Widzisz, żeś znalazł, czegoś szukał“. Rozumiałem, że się tem bę-

¹⁾ mała gromadka, ²⁾ soszka, socha: drzewo rosochate, widlaste, do podparcia, ³⁾ podpiwszy, ⁴⁾ przeszkody.

dzie kontentował; on, czy tego nie czuł, jako pijany, czyli też chciał się zemścić, skoczy znowu do mnie, machnie raz i drugi, a już mu krew na głowę pluska; jak go tnę przez puls, wyrócił się. A wtem dano znać do pijanych... Leci młodszy brat, pocznie gęsto i często przycinać. (Pan Bóg zaś patrzył na niewinność). Zetrzemy się z sobą — i ręka i szabla upadła. Kompanja też powypadali już po harapie.

Przyjdzie Jasiński, gospodarz tej ochoty i rzecze mi: „A zdrajco, pokąsałeś mi braci, pódźno ze mną!“ Rzekę: „Czego szukali, znaleźli“. Począł wołać szable, bo nie miał jej przy sobie, a za rękę mię prowadzi. Kompanja perswaduują: „Tyś gospodarz, powinienbyś był te rzeczy medjować¹⁾; nie czyni tego“. Żadnym sposobem perswadować sobie nie da, prowadzi mię. A tymczasem przyniósł mi chłopiec szablę. Poprostu bałem się go, bo w oczach całej chorągwi przed kilką niedziel Pawła Kossowskiego, towarzysza naszego, posiekł. Wyszarpnę mu tedy rękę, stanę osobno i mówię: „Com ci winien? zaniechaj mnie“. Towarzystwo go trzymają; jak pchnie Drozdowskiego, puścili go: „Idźże, aż cię zabiją“. Była tedy rzeczka wąska, przez którą trzeba było przechodzić; i kładki przez nią wąskie położone. „Tam przejdzie sobie aż pod on las; kto kogo położy, żeby się już nie wracał do obozu“. Popchnie mię na owe kładki: Idźże ty wprzód! Tylko wstąpię na ową ławkę, tnie mię z tyłu w łeb; tylko że aksamit wenecki przedni był, Pan Bóg zachował, że nie przeciął; tylko trochę w jednym miejscu aksamit puścił, a dalej pręga tylko, jak biczem ciął. Zamroczył mię tak, że spadł z owej ławki w wodę. Umknę się tedy z owego miejsca, bojąc się, żeby mi nie poprawił, i na tamtą stronę dobywam się, mówiąc: „Boże! widzisz moją niewinność!“ Jeno co wyjdę z wody, a on też już ławki przeszedł. I mówię: „A milczkiem to kąsas, pogański synu?“ Idzie do mnie. „Wnet cię tu lepiej będę kąsał“. A tu z obozu powychodzili, patrzą, bo wszystkie chorągwie do owej rzeczki stały. Przytnie na mnie potężnie, aż mi zadrżała szabla w garści; wytrzymałem zakład. Ścieliśmy się z dziesięć razy; nic ani temu ani temu. Mówię: „Dosyć tego, panie Marcinie!“ — On rzecze: „O! taki synu, nie uczyniłeś mi nic, a mówisz: dosyć!“ — Tak

¹⁾ powinienbyś był pośredniczyć.

Pan Bóg dał, że po owem wymówieniu samym końcem szable dosięgnę go przez jagodę i odskoczyłem od niego. Temże bardziej dopiero na mnie natrze; — jak też urwę go w łeb, jakby nie był na nogach! Dopiero go płazem poczną walić na ziemi, wzięwszy w obie ręce szablę. A tu dopiero kompanja leci z pod naszych i z pod inszych chorągwi, mówiąc: „Stój! nie zabijaj!“ Dałem mu z pięćdziesiąt razy płaza, niżeli przybiegli, za owę zdradę, co mnie ztyłu rąbnął w głowę.

Mnie Pan Bóg w ten dzień w oczywistej swojej miał protekcji, kiedy mnie zachował od szwanku, z trzema mężami pojedynkując. A nie z żadnego to stało się męstwa, ale tylko z tego, że Bóg na niewinność moję respektował.

Wiele takich pamiętam przykładów, że zawsze „ten prze-graje, kto przyczynę daje“. Kto będzie po mnie sukcesorem tej książki, przestrzegam i napominam, żeby się tym moim i wielu inszemi temu podobnemi przykładami budował, żeby nigdy i najlichszego lekce nie považał; żeby, choćby był mężem najdoświadczeńszym, ufając siłom i męstwu swemu, nigdy okazy nie dawał i z pysznem sercem nie chodził na pojedynek, bo niech wie o tem, że się go lada kto nabije...

Jasińskiego surowie osądzono: „Żeś ty, gospodarzem bywszy, i gościom dopuściłeś bić się, nie rozważając ich, i sam jeszcze do tego wyzwałeś na pojedynek, zato daj do Brześcia Bernardynom złotych 600 i w pancerzu stać przez trzy msze w święto, szablę trzymając“.

Bitwa z Moskalami

pod Lachowiczami (1660).

Było na 40.000 Moskwy, naszego i z Litwą tylko 15.000. Bardzo to mały kawałek, ale przecie nadzieja nas cieszyła... Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk¹⁾ kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wzięwszy na pomoc, wcześniej tę zaczęli igraszkę. Idąc tedy, każdy swoje odprawował nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszedłszy tedy

¹⁾ munsztuk : otwór narzędzia dętego, który się do ust przykładają.

o pół mile od Połonki, stanęło wojsko do szyku. Szykował swoje Czarniecki, Sapieha też swoje. Prawe skrzydło dano Wojniłowiczowi z królewskim pułkiem, lewe skrzydło Połubińskiemu, armatę i piechotę.

Szliśmy tedy szykiem, i, dopiero *in prospectu*¹⁾ nieprzyjaciela stanąwszy, chcieli tego wodzowie, żeby był nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę; aleć jak poszło do nich nasze trzy regimenty, zaraz ich wystrzelali z tej strony i wyparowali za rzekę. Poczęto tedy bić z armat z tamtej strony i rażono naszych; towarzysza jednego podle mnie stojącego, jak uderzyła kula w łeb konia, aże ogonem wyleciała, towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżej, niżli na trzy łokcie, a nic mu. Gdzie tedy szło lewe skrzydło i korpus, to tam mieli ciężką przeprawę, gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota, jak przez siedmioro stają i lepiej, że miejscem koń zapadał po tebinki²⁾, miejscem uszedł po wierzchu, tylko się tak owe chwasty zrosłe zaginały, jako pierzyna. Prawie wpół było takich, którzy piechotę za sobą konie prowadzili.

My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewem skrzydle. Był tedy *directe*³⁾ przeciwko naszej przeprawie folwark oparkaniony; spodziewając się Moskwa, że to tam nasi będą szczęścia probowali, zasadzili tam kilkaset piechoty i cztery działka. Nie pokazowali się nam wtenczas, aż kiedy my się wybijali z tego błota do twardego lądu, wysunęła się piechota. Kiedy poczną ognia dawać, kiedy poczną parzyć z dział: jak grad, kule lecą; padło naszych dużo, drudzy postrzelani. Ale przecie wszystkim impetem poszliśmy na nich, bośmy wiedzieli, że trzeba było ledwie nie wszystkim ginąć, gdybyśmy mieli tył podać, ale jużemy tak oślepieni w ogień leżli, żeśmy się tak z nimi mieszały, jako ziarno z sieczką, bo już trudno było inaczej. Okrutna tedy stała się rzeźba⁴⁾ w owej gęstwinie, a najgorsze były berdysze⁵⁾. Kwadrans jednak nie wyszedł od owego mieszania, wycieliśmy ich, że i jeden nie uszedł, bo w szczerem polu; powiadano, że ich było stu. Z naszych też kto legł, kto co otrzymał, musiał cierpieć; pode mną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolano... Przesiadłem się tedy natenczas na mego

¹⁾ w obliczu, ²⁾ tebinki: sznury skórzane przy siodle (dla ozdoby), ³⁾ wprost, ⁴⁾ rzeź, ⁵⁾ berdysz: kij z siekierką.

myszke¹⁾), kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę, aleć mnie niezdługo dogonił na lepszym koniu, niżeli ja siedział, zdobyczym.

Docinamy tedy owę piechotę, a Trubecki leci, ordynowany owym na sukurs z dziesięcią chorągwi bojarów dumnych i z trzema tysięcy rajtarji. Stanęliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby zjeść; wytrzymaliśmy, bośmy musieli. Kiedy widzimy, że nas gnietą w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie. Rajtarja wydali ogień do nas gęsto, nasi zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzelali na owę piechotę, a nabić znowu było niepodobna, bo czas nie pozwolił... Tak tylko tedy szablami ten tego, ten też tego w bożą godzinę, bo i owym jużemy też przygrzewali mocno, żeby nie nabijali strzelby. A postaremu rzeczy już nam nie tak twardo szły, choć to na nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie, kiedy owo dwaj w zapasy chodzą, ten tego, ten też tego nachylając. Trubecki, jako cygan uwija się na szpakowatym kałmuku. Leci trupów gęsto, aż kiedy ich chorągwi na ziemi leżało ze sześć, Trubeckiego towarzysz starosty dobrzyńskiego jak ciął w łeb, aż mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hosudarowie w nogi do szyków, my też po nich! Wparowaliśmy ich, siekąc, aż między samo wojsko. Padło ich tedy na placu z połowa.

A tu, jako w garcu, już się samo *corpus*²⁾ potyka. Litwa na lewem skrzydle także nie próżnują, ale przecie nie tak na nich, jako na nas, najlepsze siły obracają, bo ich już lekceważyli. Obróciły się tedy niektóre pułki świeże i to na odwrot znowu poszły. A wtem wojewoda, zobaczywszy nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy: dla Boga, żeby wszystkimi siłami natrzeć i rozrywać Moskwę, bo pułk królewski zgubiemy! A tu też już Moskwa miesza się, kręcą się, właśnie kiedy owo źle komu za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. Ci też, co ich na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas; a wtem natrze na nich *corpus* potężnie. Husarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzymy na nich. Jużemy trochę

mieli czasu i do nabicia strzelby, a wtem Moskwa w nogi! Wszystko wojsko wtedy na nas uciekało; bijże teraz, który się podoba! wybieraj: to piękny, to jeszcze piękniejszy!

Napadł na mnie jakiś patriarcha z żółtą brodą, srogi chłop. Zajadę go; złoży do mnie pistolet, szabla złocista na tym-blaku. Jam rozumiał, że wystrzelony miał, a straszy nim; przytnę śmieie, strzelił. A ja też tymże impetem ciąłem go w ramię; czuję się, że mi nic od owego strzelania. Po nim! Domogłem się¹⁾ go, znowu w oko zajadę, bo jakoś ciężko uciekał, choć na dobrym koniu, czy też miał jaki szwank, czy też był ociężały jakiś. Tnę go przez czoło. Dopieroż zawoła: *Pożatuj!* Szablę mi podaje, a z konia leci. Jeno co szablę odbiorę, aż ucieka na płowym bachmacie w rządziu złocistym jakiś młokos w atłasowym papużym żupanie; prochownicza na nim na srebrnym łańcuszku. Sunę do niego, przejadę mu. Młodziesieńki chłopiec, gładki, a *chrest*²⁾ oprawny trzyma w rękę, a płacze: *Pożatuj dla Chrysta Spasą, dla Preczystoj Bohorodicy, dla Mikoły Cudotworca.* Żał mi się go uczyniło, a widziałem, że wielkie kupy Moskwy i z tej strony i z tej biegały prosto na mnie; obawiałem się, żeby mię nie ogarnęły; nie chciałem się bawić koło niego, zabijać mi też żał go było, na owę jego gorącą rozpamiętywając modlitwę. Wziąłem mu tylko ów *chrest* z rękę, a wyciąłem go płąz przez plecy; *Utikaj, ditczy synu!* Kiedy to chłopię skoczy, podniósłszy ręce do góry, z oczu zginął w lot!... *Chrest* wziąłem mu piękny bardzo; było na oprawie ze dwadzieścia czerwonych złotych. Nie zabawiłem się koło owego smarkacza i pacierza jednego. Skoczę do owego brodofiasza³⁾, aż on już nago leży, a konia prowadzi towarzysz; mówię do niego: „Jam nieprzyjaciela z konia zwalił, a ty go bierzesz? dawaj go sam, bo tego nabicia na ciebie odżałuję, com go na nieprzyjaciela nagotował“. Niebardzo się też i sprzeczał Wołoszyn, bo widział, że do mnie ten Moskał strzelił i jam go zwalił z konia. Oddał mi tedy owego konia ślicznego, który był nie moskiewski, ale z tych ruskich koni, czerwono-gniady, rosły; żał mi go było rzucać. Czeladnika żadnego nie masz, nie było go komu oddać; aż napadłem na znajomego pachołka: „Weźmij ode mnie tego konia, a dam ci dziesięć talerów, jak mi go wypro-

¹⁾ myszka : koń myszaty, ²⁾ korpus (środek wojska).

¹⁾ domódz (się) : dogonić, ²⁾ krzyż, ³⁾ brodofiasz : brodac.

wadzisz; albo, jak się zjedziesz z którym z mojej czeladzi, oddaj go!“ Wziął tedy, a jam skoczył, gdzie się okrutnie zwarli Moskwa z naszymi...

Przerzedziło się już znacznie lewe moskiewskie skrzydło i samo *corpus*, a tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszym potykało lewem, dopiero poczyną uciekać. Znowu także gęstwa uczyniła się; dosyć na tem: tu jednego gonisz, a drugi tudzież nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi, jak zając, pod smycz leci; trzeba było mieć głowę, jako na śrubach, i przed się i za się oglądać się, bo, kiedy się nieostrożnie zabawił koło jednego, to zaś owi *fugientes*¹⁾ ztyłu siekli naszych...

Ucieka jeden na ślicznym koniu, rząd bogaty, złocisty, husarską modą, suknie jedwabne, kołpak haftowany, bogaty; przebiega go co żywo, z tej i z tej strony, ja go najbliżej. Rozumiejąc, że sam Chowański, wołam: Stój, nie bój się! Będziesz miał *pożałowanie*!“ Już trochę począł wstrzymować koniowi, spojrzy na mnie z boku: nie zdałem mu się do tej konfidencji, żem był w szarym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że jaki pacholek - hołota, których się oni najbardziej boją, mówiąc, że u takich żadnej nie znajdzie dyskrekcji. Ale obaczył daleko towarzysza naszego, tylko że w czerwonej sukni, w karmazynowym wytartym kontuszu i na takiej szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale *supponebat*²⁾, że ktoś znaczny, prosto do niego bieżał. Z tych, co mu przebiegali, strzelił do niego towarzysz; chybił. Postaremu on, jako oczy wybrał, leci do niego; skonfundował się, kręci się na szkapie, aż kiedy obaczył, że mi oddaje szablę i pistolety, hebanem i srebrem oprawne, woła „*Pożałuj!*“ Wziąłem go żywcem.

Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w łeb cięty, uszedł; piechota zaś wszystka mało co naruszona, oprócz owych kilkuset na razie wyciętych, została żywcem, a było ich 18.000. Poszli tedy do bliskiej brzeziny i zasiecz uczynili. Otoczono ich tedy dokoła armatą i piechotą, bo obrzednia³⁾ była owa brzezina. Dawano do nich ogień z dział, że na wylot kule przechodziły i na tę i na tę stronę, a potem, jak ich to zdebillitowano⁴⁾

¹⁾ uciekający, ²⁾ przypuszczał, ³⁾ obrzedni: rzadkawy, ⁴⁾ zdebillitować: osłabić.

z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzano na nich, w pień wycięto. Trudno też krwie ludzkiej w kupie widzieć, jako tam było, bo lud gęsto bardzo stał i tak ginął, że trup na trupie padł, a do tego ową brzezina na pagórku była, to tak krew lała się strumieniem, właśnie jak owo po walnym deszczu woda... Nabrano wtedy tego jak bydła.

O ś w i a d c z y n y

(1667).

Pan Jędrzej Remiszowski, mając za sobą Paskównę, siostrę moję stryjeczną, jako zwyczajnie swój swemu, począł mi rać rodzoną swoją, Remiszowską z domu, Stanisława Remiszowskiego córkę, i namawiał mię, żeby jechać w Krakowskie poznać się *tantummodo*¹⁾, a potem dopiero, jeżeli się będzie zdała ta okazja, o dalszych terminach *consulere*²⁾... Przyjechaliśmy tedy do Olszówki *ipso die festi Beatissimae Mariae Virginis*³⁾, zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego N. Panny. Przyjechaliśmy tedy bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w komendy⁴⁾; aleć, uznawszy szczerą inklinacją⁵⁾, i strona gospodarza poczęła się przymawiać o muzykę; posłałem dopiero do Wodzisławia, wnet ich przyprowadzono. Dopieroż w taniec.

Pyta mię wuj: „Cóż ci się podobała ta wdowa?“ Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jej serce chwyciło; gdyby można mówić z nią dziś i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem!“ Odpowie wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda, bo to pierwszy dzień; ale, co o przyjaźń, już ja zrozumiał, że-ć jest przyjacielem, bo ja białogłową zaraz rozumiem, kogo upodoba, choćby do niego i słowa nie mówiła; możesz tu nie powątpiewać w tej okazji; jeżeli-ć się samemu podoba, pewnie cię, widzę, nie minie. Jakoż i gardzić nie masz czem: białogłowa pocziwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, coto trzyma, prawda jest, że to jest arenda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzowie dożywocie. Luboć to tam uwięzili w rękach rodzzonego stryja, u pana Jana Łackiego, człowieka z głową niespokojną, aleć ja o ciebie się nie frasuję, będziesz umiał sobie z nim postąpić. Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, Jego to jest święta w tem wola, a ja jutro, da Pan Bóg traktować o tem będę“.

¹⁾ tylko, ²⁾ pomyśleć, ³⁾ w sam dzień święta N.P.M., ⁴⁾ w zaloty, w konkury, ⁵⁾ skłonność.

Po tych rozmowach poszedłem do tańca z nią, a prze-
tańczywszy, usiadłem też z nią zaraz obok. Już mi się przecie
podobała była i, że to z młodu bywała gładka, mnie się też
i natenczas widziała młoda; nigdybym nie rzekł, żeby miała te
lata, czegom potem doszedł: w czterdziestu sześć za mnie szła,
a ja *supponebam*¹⁾, że nie ma nad trzydzieści lat... Mówię do
niej te słowa: „Moja Mościa Pani!... tak mi się tu upodobała
pasza, żebym za jedną strawę przyjął służbę do gód²⁾, a za
dobrem ukontentowaniem i na dalsze nie wymówiłbym się czasy.
Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja WMM. Pani,
sam się dobrowolnie z tą odzywam ochotą. Bo, krwawemi
Marsa nasyciwszy się zabawami, już też potrzebniejszą ku sta-
rości radbym odmienił szarżą, to jest uczyć się ekonomiki³⁾ przy
dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka, albo, jako tu
zowią, poganiacza. WMM. Pani! Jeżeli nie masz kompletu sług
sobie potrzebnych..., jeżeli moją do swojej usługi gardzić nie
będziesz ochotą czyli akceptować⁴⁾, racz się rekoligować⁵⁾;
o zasługach zaś w żadną nie wchodzę kontrowersją...“⁶⁾

Odpowiada mi tedy tak: „Mój Mości Panie! Prawdać to,
że tu u nas, w tym kraju, sług od gód tylko przyjmują, a kto
zaś po św. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może
wziąć zupełnych, tylko co każe dyskrecja⁷⁾. Ale to ma się ro-
zumieć o podlejszych tylko sługach; poważniejszy zaś sługa
kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego
czasu, o którym przystaje. Jednak ja z WMM. Panem w ten
kontrakt nie chcę się wdawać, wiedząc, że WMM. Pan, jako
człowiek rycerski, wielkim nauczył się żyć żołdem. Ja zaś,
uboga szlachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę.
Ale tak radabym ja wiedziała WMM. wolą, czembyś się konten-
tował, a ja zaś, obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mo-
gła, deklaruje WMM. Panu, i jutra nie czekając“.

Ja znowu mówię: „Moja Mościa Pani! Wielka mię tu od
WMM. Pani potkała przymówka, ale nietylko mnie, ale i cały
stan rycerski, kiedy WMM. Pani mizerny żołd nasz, za który
trzeba krwie i życia każdej godziny nie żałować, to jest czter-
dzieści, a najwięcej sześćdziesiąt złotych, wielkim mianować ra-
czysz żołdem. To WMM. Pani racz wiedzieć, że gdyby żołnierze

¹⁾ przypuszczałem, ²⁾ do św. Jana. ³⁾ ekonomika: nauka gospodar-
stwa, ⁴⁾ przyjmując, ⁵⁾ namyślić się, ⁶⁾ spór, ⁷⁾ wzgląd, delikatność, łaska.

z tego kontenci byli żołdu, każdy i sam do zgrzybiałej starości
pewniebym go nie odstępował; ale ponieważ tamtę rzucam dla
teraźniejszej szarżą, WMM. Pani życzliwie ofiarując usługi, to
snadź, że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z WMM.
Panią w targ wchodzić nie chcę, ale puszczam się na respekt¹⁾
i tę, w której nie powątpiewam, dyskrecją, czekając łaskawej
od WMM. Pani deklaracji...“

Mówi ona nato: „Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą
przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym w tem
mieć sumnienia skrupułów, gdybym, widząc WMM. Pana afekt
szczerzy, nie miała go podobnym oddawać afektem. I, jeżeli w tem
jest dobrego sługi stateczna wola i umysł, znajdzie tu pana
i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecji dane, dlategoż oso-
bliwszego mogą spodziewać się respektu“.

Dopiero ja podziękowałem. Wypisować, co się przy afek-
tach mówiło, siłaby. A potem — miałem wyrostka Dziegielow-
skiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie — kazałem mu
zaśpiewać:

„Niech komu nadzieja ściele
Różnych fortun na myśl wiele;
Ja już będę triumfował,
Kiedym szczęśliwie stargował“.

Domyślili się, co się dzieje, po tej pieśni. Przyszedł do
nas brat jej rodzony: „Wierę²⁾, siostrzyczko, a godziłoż się to,
nie radząc się nas? Ale dobrze i tak, chwała Bogu!“ Ona się
omawia³⁾, że tu nic nie masz, tylko że pieśń śpiewają taką,
jaki ma w sobie tekst, a oni już wmawiają gwałtem, że „jużś
deklarowała“, piją za zdrowie: *vivat!* Pierścień jej obaczywszy
u mnie na palcu, temże bardziej potem tańcować, podpijać, jak
to bywa! Już tedy bez wszelkiej ceremonji poczęliśmy z sobą
mówić de *tempore*⁴⁾. Ona powiedziała: „Choćby i jutro, gdyby
nie piątek“. Ja jednak, podziękowawszy za deklaracją skutku
prędkiego, mówię: „Moja Mościa Pani! Ja mam rodziców, bez
których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie
mam od nich przykazanie...“

¹⁾ tu: względy. ²⁾ zaprawdę, ³⁾ omawiać się: wymawiać się, ⁴⁾ o cza-
sie (o terminie ślubu).

Już tedy i pan brat Jerzy *accessit*¹⁾ do tej rady, namawia prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecuje wielkie uczynności, zapisy. Jak mi tedy poczęli oboje głowę mozolić wraz z siostrą: „Jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było, dalej nie odwłóczyć; po-błogosławią tobie rodzice i potem, a jeszcze to ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą“, — już mi też i żal było owej kobiety, widząc jej wielki afekt, i mówię: „Życzysz WMM. Pani, żeby tak było?“ Odpowie: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce“. Dopiero deklarowałem: „Niechże tak będzie, jak jest wola boska i wola wasza!“

W niedzielę.... poszliśmy tedy do ołtarza, zagrano *Veni Creator*, wzięliśmy potem ślub.

Zwierzyńiec.

(1680).

Zacząłem ten rok — daj Boże szczęście! — w Olszówce....

Bywało u mnie myśliwstwo z podziwieniem ludzkim. Począwszy od ptaków, zawsze miewałem bardzo dobre sokoły, jastrzębie, drzemliki²⁾, kobuzy³⁾, kruki, co do berła⁴⁾ chodziły, i kuropatwy pod niemi ulegały⁵⁾; zające zalaływały, jako raróg; wszystko to ptastwo praktykowało swoją powinność. Jastrzębia raz miałem takiego, który był zbyt rośły, a tak rączy, że każdego ptaka uganiał i do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okraczywszy ją owemi srogimi szponami, i zawszem żywusięńskiego odebrał. Rzuciłeś go też do największego ptaka, i tego się nie wstydział; gęsi, kurki, czaple, kanie, kruki uganiał tak, jako przepiórki, bo ich na dzień i kilka ugonił. Tak był mocny, że z zającem starym, związawszy się i udusiwszy, to czasem poprawił się i, na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosił go od ziemi jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł. Do myśliwstwa zaś z charty mówiąc, rozmnożyłem był sobie gniazdo chartów od brata mego, pana Stanisława Paska z ziemie sochaczewskiej; które charty były i piękne i rosłe, a przytem tak rączy, że nie trzeba było nigdy zmykać do zająca i do lizki, tylko jedno którekolwiek alternatą⁶⁾, jednak do każdego zająca insze, a nigdy zając nie uciekł; do wilka zaś to już pospolitem

¹⁾ przyłączył się, ²⁾ gatunek sokoła, ³⁾ również gatunek sokoła, ⁴⁾ drążek pod ptaka, ⁵⁾ ulegały: nie zdołały się oprzeć (krukom), ⁶⁾ naprzemian.

ruszeniem i takieto bywało przysłowie u myśliwych sąsiadów moich, że to nieszczęśliwy zwierz, który się z panem Paskiem spotka, bo mu się już nie dostanie uciec.

W tem zaś osobliwie miałem komplacencją¹⁾, żem zawsze dzikich zwierzów tak ćwiczył, że to i łaskawe było i ze psy przystawało i równo ze psy swego dzikiego brata goniło. Przyjechał kto do mnie, to lizka po podwórzu z chartami igra; wnijdzie do izby, to szpyc pod stołem leży, a zając nad nim siedzi. Potkał li mię też kto nieznajomy, na polowanie jadącego obaczył, a tu idzie kilkoro chartów pięknych, wyżłów kilka, a tu lizka między niemi, kuna, jaźwiec, wydra, zając też ze dzwonkami za koniem podskakuje, jastrząb u myśliwca na ręce, kruk nade psy lata, czasem też padnie na charcie i tak się powozi; to się ów tylko żegnał: „Dla Boga! czarnoksiężnik to, zwierz wszelaki między psy chodzi; czego szuka, czemu tych nie szczuje, co za nim chodzi?“ Porwałci się też zając, to wszyscy za nim, nawet i ten chowany; kiedy widział, że psy skoczyły, to też i on za niemi poskoczył; ale jak się tam już zając począł modlić, to wychowaniec uciekał nazad do konia, jakby mu oczy wybrał. To ludzie rozstawili to moje myśliwstwo na całą Polskę, jeszcze i więcej rzeczy przykładając.

Choroba i ozdrowienie.

(1685).

Począłem się gotować do Gdańska i bardzo tęskniłem za zbożem, które mi się w śpichlerzach bardzo grzało i ustawicznie było trzeba koło przeróbki pracować; ale że wody nie było, musiałem czekać i wszyscy ad Septembrem²⁾. Kiedy następował czas pożądaney naszej ekspektatywy³⁾, zachorowałem bardzo 30 Augusti⁴⁾, w dzień czwartkowy. A przypadła mi ta choróbka z przepicia dla nieszczęśliwej kompanji, która mię zawsze do tego przywodziła, bo z swojej dobrej woli nie pamiętam, żebym się kiedy upił, jako znam takich niektórych; ale kiedy albo mnie kto rad szczerze, albo ja też komu, a osobliwie kochanemu jakiemu konfidentowi⁵⁾, to wtenczas naszej mody polskiej nie

¹⁾ upodobanie, ²⁾ do września, ³⁾ kiedy zbliżał się czas, któregośmy z pożądaniem wyczekiwali, ⁴⁾ sierpnia, ⁵⁾ konfident, powiernik.

podobna nie obserwować. Zapadłem tedy tak periculose ¹⁾, żem zaraz i ludzi nie znał, bo gorączka mię taka wzięła. Co tam ze mną robili medycy, nie wiem, sufficit ²⁾, że zdesperowali i rozgłosili, że bardzo źle i niepodobna konwalescencja ³⁾. Tymczasem woda zaczęła przybierać, przybiega stróż spichlerzowy, dając znać, żeby posyłać do ładowania, a ja o świecie nie wiem... Żadnego nie było podobieństwa, aby Bóg miał ze mną takie dziwy uczynić w momencie prawie, jakie uczynił. Tak się rzecz ma:z czwartku na piątek przededniem septima Septembris ⁴⁾, t. j. w wigilją Narodzenia N. Panny jak we śnie w gorączce leżącego trzasnęło mię coś w ramię, mówiąc te słowa: „Owo Antoni nad tobą stoi!“ Obróć się do ściany, aż stoi zakonnik in habitu Minorum Sancti Francisci ⁵⁾. Patrząc, nie mówię nic. On też nic. Świeca się tam w kącie świeci; ludzie, poturbowani koło mojej usługi, już też posnęli. Lecz już ku dniowi owo trząśnie mię; było mi, jak we śnie, ale od trząśnienia zaraz jużem się czuł, żem na jawie. Jużem był przy dobrej pamięci.... I tak sobie myślę, że to jakiegoś do mnie zakonnika przysłałi, jako zwyczajnie do chorego. Aż owa osoba rzecze: „Pilnowałem ci szczerze od przeszłego czwartku; nie bójże się już, a wstań!“ Jakaś mi radość ogarnęła i wpadło mi na myśl, że to już nie prosty ksiądz, ale musi być osoba święta. Porwę się, chcąc mu do nóg upaść, zawoławszy wielkim głosem: „Święty ojczel!“ Stoczyłem się z łóżka. Usłyszeli wszyscy owo zawołanie, przypadli z świecą, aż ja pytam: „Gdzie poszedł?“ Rozumieją, że to w gorączce czynię; mówią do mnie: „O kogo pytasz?“ Nie byłci tu nikt u ciebie“. Ja mówię: „Był. Czy oczu nie macie?“ A wtem usiadłem już nie na łóżku, ale na stołku. Rzecze moja pani: „Wołaj Kazimierza! Przyjdzie cyrulik, pomaca pulsów, gorączki nie masz i jakoby nigdy nie było“. Ja też dopiero, obaczywszy się i odpocząwszy trochę, pokłęknałem, pierwszej dzięki czyniąc Panu Bogu i św. Antoniemu, a potem wstawszy począłem im to powieść; cum stupore ⁶⁾ dziwowali się wszyscy, jedni wierzyli, że tak się stało, drudzy też nie dowierzali; nawet sam cyrulik supponebat ⁷⁾, lubo widział, że już gorączka totaliter ⁸⁾ ustąpiła, że przecie jeszcze jakąś debilitatem mentis ⁹⁾ zostawiła...

¹⁾ niebezpiecznie, ²⁾ wystarczy, dość, ³⁾ ozdrowienie, ⁴⁾ 7 września, ⁵⁾ w habitach braci mniejszych św. Franciszka (Bernardynów), ⁶⁾ ze zdumieniem, ⁷⁾ sądził, ⁸⁾ całkowicie, ⁹⁾ osłabienie umysłu.

Ugotowali mi jakieś gramatki ¹⁾ garnuszek mały; na ząb mi to nie padło; kazałem w większym garnku gotować i korzenia dużo nasypać; gotowano tedy, a ja tymczasem ubrałem się tak, jako należy, i kazałem iść do sadzu ²⁾ z cancerzem ³⁾, wzięć szczupaka i kwaśno szaro ugotować go. Jak tedy obaczyli, że jem smaczno i piję, dopiero uwierzyli, żem sanus mente et corpore ⁴⁾, o czym cyrulik osobiście bardzo dubitował ⁵⁾. Przy owem jedzeniu mojem mówi mi żona: „Pragnął Waść flisu ⁶⁾, a teraz choróbka przeszkodziła“. Pytam: „Albo co?“ Powiedziała, że dawano znać, iż woda wielka przybrała, p. Rupniowski pojechał, p. Jaroszewski pojechał, na głowę chłopów powyganiali do ładowania. Odpowiem: „To i ja pojedę“. Rozśmiali się wszyscy, rozumieli, że żartuję, a ja czuję w sobie wigor ⁷⁾. Najadłszy się, przejdę się po izbie, kazałem włodarza ⁸⁾ wołać i rozkazuję mu, żeby chłopci zaraz wychodzili do ładowania, a tymczasem konie gotować.... Mówią mi: „Nie czyni tego dla Boga, chodzi o to: droższe jest zdrowie“. Ja mówię: „Dajcie mi pokój, ja lepiej czuję, co się ze mną dzieje, i Temu ufam, co mi dał zdrowie, że mię przy niem konserwuje i zaprowadzi szczęśliwie tam, gdzie intendo...“ ⁹⁾ W dzień Najświętszej Panny tedy raniusieńko pojechałem do Franciszkanów, najałem Mszę przed św. Antonim i słuchałem jej. A tymczasem tam ostatek koło skut pogotowano; wróciłem się, wsiadłem i kazałem od południa odłożyć? ¹⁰⁾.

O ile powyższe wyjątki z Pamiętników Paska rozszerzają naszą znajomość obyczajowego życia szlachty polskiej w dawnych wiekach, jej wierzeń? — Dzięki czemu, czytając Pojedynek, Bitwę z Moskalami, zdaje nam się, że niemal jesteśmy uczestnikami opisywanych scen? — Spróbujmy nakreślić jak najzwięźlej przebieg bitwy pod Lachowiczami. Czy plan bitwy poznajemy dokładnie? Czemby się różnił opis bitwy, gdyby pochodził nie od zwykłego współuczestnika lecz wodza? Jaka zachodzi różnica między sposobem kreślenia obrazu bitew u Sienkiewicza a u Paska? Kiedy, podczas czytania powyższego wyboru z Pamiętników Paska, przypominały nam się powieści Sienkiewicza? — Jakie właściwości temperamentu i jakie rysy charakteru Paska poznajemy z odczytanych kart? — Kiedy bawiliśmy się, czytając opowieści pana Paska? Co wzbudziło w nas wesołość? — Spróbujmy opowiedzieć jakieś zdarzenie, w którym braliśmy udział, na sposób Paska.

¹⁾ gramatka, polewka z wody i tartego chleba, lub z piwa, żółtka i chleba, ²⁾ sadz, miejsce, gdzie ryby chowają, ³⁾ cancerz, przyrząd do chwytania ryb, ⁴⁾ zdrow na duszy i ciele, ⁵⁾ wątpił, ⁶⁾ flis, tu: żegluga, ⁷⁾ krzepkość, moc, ⁸⁾ włodarz: rządca, karbowy, gumieny, ⁹⁾ zamierzam, ¹⁰⁾ odbić od łądu.

4. Z życia towarzyskiego w dawnej Polsce

przez Władysława Łozińskiego.

Mówiąc o towarzyskich stosunkach w dawnej Polsce, nie można pominąć reguł grzeczności. Miała ona swoje całkiem rodzime formułki, swój styl nawskrós odrębny i — rzecz można — nie wzięła nic albo bardzo mało z cudzoziemskiego obyczaju. Tłumaczy się to naturalną i ciągle żywą relacją¹⁾, jaka zachodziła między kodeksem²⁾ grzeczności, a tym właśnie społecznym porządkiem rzeczy, przy którym szlachta najkonserwatywniej trwała, w którym nie znała mody i nie cierpiała nowatorstwa. Repulikański ustrój państwa, wprawdzie z królem i z dworem, ale ten król *primus inter pares*³⁾, bez władzy absolutnej, a ten dwór jego bez czołobitnej etykiety, do udzielności niemal posunięta niezawisłość jednostki i co za nią poszło: fikcyjna⁴⁾ równość z tytułu urodzenia, a rzeczywista wobec prawa — wszystko to wpływało na formy towarzyskie i grzecznościowe. Już to samo, że grzeczność nie była dyktowana poczuciem stanowej i prawnej niższości lub innemi zniewalającymi względami, jakich tyle było zagranicą, już to samo sprawiało, że nie potrzebowała się liczyć z tak wielkimi dystansami⁵⁾ osób i stanowisk, jak np. w Niemczech, i zachować mogła łatwiej cechę szczerzego obyczaju, dobrego wychowania i wrodzonej uprzejmości serca.

Było też tak istotnie wśród najlepszej części szlacheckiego świata. Z biegiem czasu, a zwłaszcza w XVII wieku, wielka szlachta przybiera uroszczenia dynastów, mniejsza przywyka do serwilizmu; z drugiej zaś strony anarchiczne stosunki wytwarzają pewne zdziczenie obyczajów, wśród których obłudna pokora idzie w parze z grubym zuchwalstwem. Mimo to wszystko nie ginie przecież dobra tradycja grzeczności polskiego stylu. Uderza ona odrazu cudzoziemców podróżujących po Polsce, którzy oddają szczerze pochwały jej powadze i godności i pod-

Władysław Łoziński żył we Lwowie, obdarzył miasto cennymi zbiorami, um. 1912 r. Znany z powieści (Skarb watażki, Oko proroka i i.), tudzież z bardzo zajmująco pisanych dzieł, w których kreślił stosunki obyczajowe w dawnej Polsce (np. Życie polskie w dawnych wiekach).

¹⁾ relacja: stosunek, ²⁾ kodeks: układ praw, przepisów, ³⁾ pierwszy między równymi, ⁴⁾ fikcja: wymysł, urojenie; fikcyjny: urojony, ⁵⁾ dystans: odległość.

noszą jej całkiem odrębną „sarmacką grację“.... Jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku uderzał cudzoziemców malowniczy i poważny ukłon polski. Niektórym wprawdzie wydawał się on zbyt niskim i czołobitnym, ale spostrzeżenie to polega na nieznamomości obyczaju, który nakazywał młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwości wieku. Syn zginał przed matką jedno kolano, córka oboje. Ukłon polski był niski, a towarzyszył mu gest prawej ręki — lewa ręka na sercu, prawa ku dołowi — niejako markujący pochylenie się ku kolanom, ale w kodeksie dobrego wychowania była to tylko figura grzeczności, dalekiej od tego, co dziś nazywamy serwilizmem. To samo da się powiedzieć o formułkach powitania, używanych między szlachtą, jak np. „czołem!“ albo „służba!“...

Nie dość było posiadać polor umysłowy, trzeba było posiadać także koniecznie manjery polskiej grzeczności, inaczej było się, jak mawiano: „po łacinie mądrym a po polsku błaznem“. Czuli to także wielcy panowie i to nawet jeszcze w połowie XVII wieku; młodzi Sobiescy dla europejskiego poloru wyjeżdżają zagranicę, ale jak się mają zachować ze starszymi i znacniejszymi, jak się mają kłaniać i tańcować, tego uczą się w Krakowie. Ojciec ich, wojewoda bełski, Jakób, szczególniejszą do tego przywiązuje wagę, aby „po polsku byli grzecznymi“. Mają się strzec pychy, ale trzeba także, aby miejsce swoje wiedzieli i „posiadać się nie dawali nigdzie....“ Nie dać się „posiadać“ znaczyło nie dać się traktować z góry i z lekceważeniem w towarzyskich stosunkach, nie uchybiać nikomu, ale nie dać też uchybić sobie.

Jednego wszakże brakło w życiu towarzyskiem, choć go zapewne nie brakło w kodeksie grzeczności, a to panowania nad sobą. Cnoty tej mało było w życiu starszlacheckim. Obok całej „ludzkości“, „uprzejmości i gościnności“, obok hojnie rozwiniętych ceremonialnych form w obyczaju i języku towarzyskim, spotykamy niepohamowaną porywczosć, nagłe folgowanie pierwszemu uniesieniu, grubą rubasznosć słowa. Krótka droga od komplementu do przymówki, jeszcze krótsza od przymówki do szabli.... Skoro przyszło do medjacji¹⁾ przyjaciół, strona uznana winną musiała albo deprekować²⁾ publicznie, zazwyczaj w kościele,

¹⁾ pośredniczenia, ²⁾ przepraszać.

odczytując przeproszenie z karty, zredagowanej przez taki sąd polubowny, albo zasiąść dobrowolnie więź z jego wyroku.

Poczucie równości szlacheckiej, jak już nadmieniliśmy, wpływało w znacznej mierze na obyczaj towarzyski i na formuły grzeczności. Równość ta, bezwzględnie pojmowana, była fikcją, wierzyli w nią tylko bardzo dobronasi i naiwni.... Chociaż jednak nie mogło być mowy o równości towarzyskiej, której nigdzie nie było i nie masz, nawet w najbardziej demokratycznych społeczeństwach, to przecież ta fikcyjna równość przebiegała zawsze w formułkach grzeczności, istniała przynajmniej w słowie, w symbolu. Takim symbolem był np. tytuł brata, który się należał każdemu szlachcicowi. Szlachcic był zawsze „panem bratem“ w tytulaturze listowej; „przyjacielem“ pisać się godziło tylko w korespondencji z nieszlachcicem np. z mieszczaninem, kupcem.

Ta pretensja do braterskiej równości, a tem samem do udziału we wszelkiej władzy, dostojności i świetności Rzeczypospolitej doskonale się maluje w tytulaturach polskich i ich historii. Skoro król był tylko „primus inter pares“, skoro państwo było rzeczą wspólną, pospolitą, a cała szlachta rodzoną bracią, tedy każdemu z niej zachciewało się części z tego wszystkiego, nawet z majestatu, i każdy też miał część bodaj w tytule. Bardzo ciekawa rzecz śledzić, jak tytuły i formuły polskie biorą swój początek od majestatu, a dogasają gdzieś nisko pod słomianą strzechą szlachecką, jak formalnie złażą na dół po szczeblach społecznej drabiny, schodzą od tronu do zagonu, od szczytu do samego dna. Pierwotnie król tylko „raczył być zdrowym“, następnie „raczył“ żyć już także senator, wkrótce raczył każdy szlachcic, a dziś my wszyscy raczymy i tak ten nieśmiertelny Raczył stał się pospolitym liczmanem¹⁾ grzeczności. Wielmożność jako tytuł jeszcze w XV wieku miała poniekąd majestatyczne znaczenie, w XVI wieku już zmalała, ale zawsze należała się tylko senatorom t. j. kasztelanom i wojewodom, szlachcic na urzędzie był „urodzonym“, szlachcic bez urzędu tylko „szlachetnym“; w XVII wieku wielmożnym już jest co drugi, urodzonym każdy posesjonat, szlachetnym tylko napół schłopiały szlachcic zagonowy. „Wasza Miłość“ i „Jego Miłość“ były tytułem królewskim, „Wasza Miłość Pan“ było szczytowym wyrazem dostojności — z biegiem czasu zmarniały, spo-

¹⁾ liczman, blaszka w kształcie monety, służąca do liczenia.

niewierały się i zniekształciły te tytuły: z Waszej Miłości stała się Waszmość, Wasze i Waszeć; Wasza Miłość Pan zeszedł na Waszmość Pana, na Waćpana, a wkońcu na pogardliwego Aspana, Asana i Acana, który się dostawał chudopachołkowi tak samo jak zdarte buty pańskie.... W takiej to formie i jakości dostawała się ogółowi część majestatu Rzeczypospolitej, zlatywał promyczek korony na czapkę szlachecką....

Kwiatem ale i walną próbą cnót towarzyskich była gościnność. „Gość w dom, Bóg w dom“ — cóż lepiej niż to przysłowie oddać może całą szerokość, serdeczność, powiedzieliśmy, entuzjastyczność staropolskiej gościnności! Gość każdy, chociażby daleki a nawet obcy domowi, pewien był najżyczliwszego przyjęcia — cóż dopiero gość, któremu gospodarz szczególnie był rad, gość sprzyjawniony, wesoły, a więc podwójnie utęskniony! Taki gość był bożyszczem w szlacheckim domu, Dwór cały, piwnica, spichlerz, spiżarnia, apteczka, skarbiec, kieszeń i — dusza gospodarza otwierały się przed nim szeroko. Niebezpiecznie mu było pochwalić coś bardzo w domu: chart, kubek, szabla, rządzik, konik nawet, który mu się szczególnie spodobał, dostawał mu się zaraz darem, a przyjąć musiał, koniecznie musiał, bo gospodarz gotów był wziąć odmowę za pychę, za obrazę, za wzgardę przyjaźni, gotów był pogniewać się, powadzić, a wkońcu nawet i porąbać.... „Byłem w Cisowie — opowiada wojewoda miński Zawisza — u Jegomości pana Paska, człowieka haniebnie pocziwego, który jako mi rad był, niepodobna wypisać. Przez trzy dni nie znaleźmy, co dzień, co noc; piliśmy i hulali.... Darował mi szkatułę kieleckiej roboty, mosiądzem nabijaną, piękną, darował gotowalnię tejże roboty, darował stół marmurowy, nakładany, darował puzdro szlifowane et caetera et caetera“....

Bawiono się po domach tem samem, choć nie tak samo jak dzisiaj: rozmowa, taniec, muzyka, gra i bankiet składały się na program towarzyski. O tańcach nie posiadamy tylu szczegółów, aby mieć o nich malownicze wyobrażenie. Jak przy ubiorach mamy tylko gołe nazwy bez informacji o rzeczy. „Tam trefne płasy z ukłony, tam cenar, tam i goniony“ — czytamy u Kochanowskiego¹⁾. O galardzie dowiadujemy się od Opaliń-

¹⁾ w poemacie: „Pieśń świętojańska o Sobótce“.

skiego¹⁾, o „wyrwanym“ i „wielkim“ od Paska, o starodawnym lipku, o ulubionym przez żołnierzy hajduku, o świeczkowym i o młynku od Hieronima Morsztyna²⁾, a Miaskowski³⁾ rymuje:

W tym to po parze panienki wszedłszy się ukłonią
I wiodą rej, wzięwszy jedna drugą dłoń,
Aż wywabią wesołe z za stołu młodzieńce,
A ci z niemi tańczą chędogo o wieńce.

Miaskowski ma tu zapewne ten sam taniec na myśli, który opisał Labourer, historjograf podróży poślubionej Władysławowi IV Marji Ludwiki: „Tańcowali w okrąg; zwykle dwie kobiety były razem, potem dwaj mężczyźni i tak dalej. Pierwsza część polegała na pokłonach, potem na kroczeniu do miary i taktu muzyki. Czasem dwie damy, które były na czele, nagle i zniecka środkiem spieszniej się wracały, niby chcąc wymknąć się dwom kawalerom postępującym za niemi“. Jest to jedna z figur do dzisiaj używanych w polonezie, tańcu par excellence⁴⁾ polskim, który nabył prawa obywatelstwa w całej Europie, a którym zachwyca się jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku Liwończyk Schultz, przyznając, że wdziękowi i powadze tego tańca żaden inny europejski taniec nie dorówna, tak jak żaden cudzoziemiec nie zdoła przyswoić sobie tej gracji, jaką rozwijają w nim Polacy. Pod koniec XVIII wieku dotarł polonez już i do salonów paryskich, nawet na dworze królewskim pozyskał sobie prawo obywatelstwa.... Najstarszą oryginalną nutą poloneza, według poświadczonej przez Niemcewicz tradycji, miała być śpiewana do dziś dnia kolenda „W żłobie leży“. Według tej nuty, na miarę polskiego tańca ułożonej, lubił podobno tańcować król Władysław IV. — Skocznych i wirowych tańców nie lubiono, a może i nie znano po domach szlacheckich. Wspomniane powyżej cenar (niemiecki Zeuner) i galarda (francuska gaillarde) są obcego pochodzenia, a jak wcześniej — bo już w średniowieczu — przyswajano sobie w Polsce cudzoziemskie tańce, tego zachowało się świadectwo w języku, tem najstarszym źródle obyczajowej historii — że tu przytoczymy owe „reje“ (staroniemieckie Reie, Reige) i „firleje“ (francuskie virlet,

¹⁾ Krzysztof Opaliński, autor Satyr, żył w XVII wieku, ²⁾ Hieronim Morsztyn, autor powieści wierszowanych, żył w XVII wieku, ³⁾ Kasper Miaskowski, poeta (†1622), ⁴⁾ co się zowie, najistotniej, najszczerzej.

niemieckie virlei), z których pierwsze żyją dotąd w wyrażeniu: „wodził rej“¹⁾, drugie w przysłowiu: „stoi baba firleje“....

Z innych szlachetniejszych źródeł towarzyskiej ochoty najczęściej spotykamy muzykę. Nie mówiąc już o wielkopańskich zamkach, w których utrzymywano liczne orkiestry, w każdym niemal zamożnym domu szlacheckim było po kilku grajków, skrzypków, śpiewaków; w dostatniejszych inwentarzach ruchomości znajdujemy regały²⁾, lutnie, klawikordy i inne instrumenty; ubogi szlachetka gościł przyjaciół przy dudach.... Słysły niektóre panie polskie z mistrzowskiej gry na lutni, jak np. Jadwiga Tarłówna, późniejsza wojewodzina ruska Sieniawska, o której śpiewa Sęp Szarzyński³⁾:

I zdumiewa się Helikon uczony,
Gdy lilijaną ręką bijesz w strony.

Z gier były w używaniu obok szachów, warcab, młynka głównie kości i karty; grywano w turmę, tryszaka, pasza, zęza, rusza, prymjera, trynka..., a w znacznie późniejszych czasach w niewinnego družbartę, marjasza, w chapankę lub kupca, ale też i w niebezpiecznie hazardowego kwindecza, w trysetę i faraona.

Nadzwyczajne zdarzenia lub uroczyste okazje w życiu rodzinnem, czy to wesołe czy żałobne, obchód święta patrona gospodarza, chrzciny, wesela i pogrzeby, połączone bywały z bardzo licznymi zjazdami. Jeżeli to były dni radosne, urządzano t. zw. dobre myśli, festyny, triumfy i bankiety. Wesela trwały tygodniami, a były jednym szeregiem ceremonij i hucznych owacyj. Od dziewosłębów i zrękwów począwszy aż do uroczystego aktu ślubnego i następujących po nim poprawin i przenosin, wszystko odbywało się z odpowiednią stanowi i fortunie pompą i prozopopeją⁴⁾ przy zachowaniu tradycyjnego obyczaju, przy wychylaniu „pełnych“ t. j. dzisiejszych naszych toastów, przy oddawaniu wieńca, panny, marcypanów i upominków ślubnych, między którymi jedno z pierwszych miejsc zajmował dwoisty roztruchanik t. zw. „kubek w kubek“, wygłaszano mowy pełne panegiryczno-oratorskiego kunsztu⁵⁾.

Gody weselne łączone bywały z t. zw. triumfami na wzór włoski, z teatralnymi widowiskami, z pochodami maskowanych

¹⁾ porównaj wyżej u Miaskowskiego, ²⁾ regał: gatunek mniejszych organów, ³⁾ poeta XVI wieku, ⁴⁾ prozopopeja: uosobienie, personifikacja ⁵⁾ panegiryczny: przesadnie pochwalny.

orszaków i symbolicznymi rydwanami, które wyobrażać miały alegorię wszystkich możliwych cnót chrześcijańskich i wszystkich bóstw pogańskich, począwszy od Wenery i Kupidyna, a skończywszy na Fortunie z pełnorogiem ziemskiego szczęścia....

Zjazdy publiczne i prywatne, nie wyjmując pogrzebów, nie odbywały się bez bankietów: biesiada była koroną każdej uroczystości, głównym punktem towarzyskiego programu. Polacy nie odznaczeni się cnotą umiarkowania w jadłach i napoju, a kuchnia niedaremnie zasłużyła sobie na utarte miano „szkopuła szlacheckiej substancji“.... W liście ks. Piotrowskiego do marszałka koronnego Opalińskiego z roku 1582 zachowało się nam całe menu bankietu weselnego w „trzech dawaniach“. Na pierwsze dawanie składały się kapłony w całku ¹⁾, pawie pieczone z sapor²⁾, polędwice jelenie, ciasto formiane i t. d., na drugie dawanie zwierzyna słona, potrząsiona cukrem mialkim i migdałami, baranki angielskie w czarnej jusze, rosiata ³⁾, pasztety, czosnek, kapłon do małmazji ⁴⁾; na trzecie kapłon z zieloną juchą cukrowaną, raki z masłem i pieprzem, ciasto i sapory.

Uderzającą właściwością starożytnej kuchni polskiej było używanie korzeni do wszystkiego i w wielkich ilościach. Na bankiecie u Denhofs, wydany na cześć przybywającej do Polski Marji Ludwiki, poparzyli sobie Francuzi języki i jeść nie mogli, tak pieprzne i korzenne były przyprawy.... Cukier długo był wielce drogim artykułem aptecznym i do końca XV wieku jeszcze wcale był nieznanym nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech.

Dalszą cechą staropolskiej sztuki kucharskiej było wysilanie się na zewnętrzne dekoracje potraw i półmisek, na dowcipne maskowanie ich w ten sposób, że domyślać się było trudno, co się w nich kryje. Zdawałoby się, jakoby potrawy, podawane na uroczystych bankietach, świetnością i pompą swojej zewnętrznej formy dostrajać się musiały do aksamitów, altembasów ⁵⁾, złota i klejnotów na kostjumach biesiadników.

Istniały pewne ceremonje i zwyczaje specjalnie polskie, które zachowywano przy ucztach. Stoły ustawiano w podkowę. Pokrywano je cienkimi, kosztownymi obrusami; półmisek nie stawiano bezpośrednio na obrusie ale na t. zw. „prawdach“,

¹⁾ w całości, ²⁾ sapor: sos, podlewa, przyprawa, ³⁾ mleko z jajami, ⁴⁾ małmazja: słodkie wino greckie i wogóle połudnowe, ⁵⁾ altembas: tkanina o osnowie jedwabnej a wątku złotym.

czyli tacach metalowych; przed każdym gościem kładziono talerz z małą serwetką, przykrywającą chleb i łyżkę. Nożów i widelców nie dawano; każdy gość przynosił je z sobą.... Przed rozpoczęciem uczy przystępowało do każdego gościa po kolei czterech rękodajnych dworzan gospodarza, a mianowicie najpierw dwaj, z których jeden niósł nalewkę ¹⁾ srebrną z wodą, drugi zaś miednicę srebrną wielkich rozmiarów; jeden nalewał wodę na ręce, drugi podtrzymywał miednicę. Dwaj dalsi trzymali za końce ręcznik długości kilku łokci, którym goście obcierali dłonie. Każdy gość przyprowadzał z sobą na ucztę co najmniej jednego sługę, czasem nawet kilku, i ci stali za jego krzesłem. Kilku krajczych odbierało od służby misy z potrawami i obdziało nimi gości. Do stołu zasiadano zazwyczaj z nakrytą głową, a odkrywano ją tylko wtedy, kiedy gospodarz lub jaki dostojny współbiesiadnik odkrywał ją dla rewerencji ²⁾ przy toaście lub dla ochłody. Kobiety, jeśli brały udział w wielkim bankiecie, zasiadały przy osobnym stole, albo też rzędem obok siebie po jednej stronie wspólnego. Zwyczaj ten obowiązywał także na bankietach dworskich; na uczcie weselnej Władysława IV i Cecylii Renaty zastawione były cztery stoły: królewski, senatorski, ministrów i niewiast.

Bankiet polski trwał bardzo długo, niekiedy 5—6 godzin, bo między jednym a drugim daniem upływało pół godziny, naco się bardzo użalali cudzoziemcy. Szereg „pełnych“ t. j. toastów rozpoczynał gospodarz zwykle w połowie bankietu, a wzniesiony i wychylony przez niego puhar przechodził następnie z rąk do rąk, czyli raczej z ust do ust, i wracał do niego. Przed każdym gościem stała flaszka wina, w miarę potrzeby napełniana przez uważną służbę, i z tej to flaszki nalewał każdy wina do podanego sobie od sąsiada wiwatowego puhara. Był zwyczaj, że każde zdrowie spełniało się z innego kielicha — miał też gospodarz przed sobą całą kolekcję puharów, kubków szklanych i roztruchanów.... Grzeczny gospodarz pił za zdrowie nie tylko najdosłowniejszego współbiesiadnika, ale, o ile to było możliwą rzeczą, za zdrowie każdego z swoich gości; tak samo i gospodyni, która jednakże nie wychylała wina, ale, dotknąwszy tylko ustami brzegów puhara, podawała go gościowi, którego

¹⁾ naczynie do nalewania płynów, ²⁾ uszanowania.

uczcić chciała; tak samo też robiła, gdy podawano jej kielich, wzniesiony na jej uczczenie.

Zdarzało się, że gość, uczczony kielichem z dostojnej ręki, rzucał po wychyleniu wina szklanice o ziemię, aby się strzaskała, jakoby na znak, że już nikt nie godzien pić z niej w przyszości; czasem tłuczono taki kielich nawet o własną głowę.... Zwyczaj ten utrzymywał się do późnych czasów.

(Życie polskie w dawnych wiekach).

Czy Pamiętniki Paska (w poznanym wyborze) nie dozwoliłyby dodać do powyższego obrazu życia towarzyskiego pewnych szczegółów? W jakiej mierze zwyczaje, tu przedstawione, uległy zmianom w dobie, w której odbywa się akcja Pana Tadeusza? (Uwzględnić poznane dotychczas księgi poematu). Czy nie dostarczyła nam lektura Pana Tadeusza materiału do rozszerzenia ram obrazu życia towarzyskiego w Polsce przed rozbiorami?

5. Albośmy to jacy, jacy...

Albośmy to jacy, jacy,	I do pochewki włożony,	
Jacy, jacy,	I fajeka i krzesiwko,	25
Chłopcy krakowiacy!	Na to dobre przyodziewko,	
Czerwona capecka,	Kochajże mnie, moja dziewczko,	
Na cał podkówcecka,	5 Do kolusinecka,	
I biała sukmana,	Moja kochanecka.	
Dana moja dana.		
Karazyja wysywana,	I koszulka z kołnierzykiem,	30
Haftowana,	Z faworkami ¹⁾ , z fałdeckami,	
Pętlckami, snureckami,	20 Do kolusinecka,	
Kóteckami, hańteckami,	Moja kochanecka.	
Złocistemi kłapeckami		
Do kolusinecka,	I porteck na snurecku	35
Moja kochanecka.	Do ściągania,	
	Z kiesionkami, z wypustkami,	
I pasicek z białej skóry	15 Lamowane snureckami,	
Wysywany,	Do kolusinecka,	
Przeplatany rzemyckami,	Moja kochanecka.	40
Wybijany goździckami,		
Złocistemi sprzążeckami	I buciki wywracane,	
Do kolusinecka,	20 Podkówekki nitowane	
Moja kochanecka.	I w krojicku przesywane,	
	Z useckami, podwiązkami	
I kozicek a stalowy,	Do kolusinecka,	45
Wyostrzony	Moja kochanecka.	

¹⁾ fawor, wstążka u szyi, tasiemka u koszuli.

I obrąbek do kosuli,
Com go dostał od Orsuli
Na faworek do kosuli,
Moja kochanecka.

A która mnie będzie chciała,
To, to wszystko będzie miała,
I krakowski wianek, 55
50 Złocisty pierścionek.

I pieniądze za obsiewki,
Kochajciez mnie, moje dziewczki,

O. Kolberg (Krakowskie).



Oskar Kolberg (um. 1890), zastępowy etnograf polski, niesłychanej wprost pracowitości. Zbierał pieśni i podania ludowe, badał sposób życia ludu. Owocem jego pracy jest m. i. wydawnictwo „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce“ w wielu tomach. Mieszczą się tam także ryciny zabudowań wiejskich i strojów ludowych.

6. Podkóweczki niestalone...

Podkóweczki niestalone	Podkóweczki już stalone,	5
Krzesać nie mogą, nie mogą.	Toć krzesają jak szalone.	
Dziewczę mi się rozgniewało,	Podkóweczki z samej stali,	
Poszło mi do dom, da do dom.	Do Marysi dalej, dalej.	

Podkóweczki, dajcie ognia,
Bo Marysia tego godna. 10
A czy godna, czy nie godna,
Podkóweczki dajcie ognia.

O. Kolberg (Poznańskie).

7. Zagrajże mi, ty graczyku...

Zagrajże mi, ty graczyku,	Ty graczyku będziesz w niebie,
Cztery godziny, godziny,	Basanista obok ciebie.
A bo mi też z tą jedyną	Basanisto, dobrze basuj,
Taneczek miły, da miły.	A pannom się nie przypatruj.

O. Kolberg (Poznańskie).

Co łączy te trzy pieśni? Co mówią nam one o temperamencie naszego ludu? Czy nie dostrzeżemy w tych pieśniach pewnych odcieni uczuć? Poczem poznać, że są to ludowe pieśni?

8. Do mojego grajka

przez Teofila Lenartowicza.



Teofil Lenartowicz, zwany liri-
kiem mazowieckim, autor wielu utworów,
nastrojonych na nutę ludową, stracił ojca
wczesnie. Matka, wyszedłszy powtórnie za mąż,
przeniosła się z Warszawy na wieś, i wówczas
to mały chłopczyzna zaznajomił się dobrze
z ludem wiejskim, poznał jego życie, uczucia
i myśli. Lata moje od dzieciństwa do trzyna-
stego roku — pisał sam później — przeszły mi
na wsi wśród nędzy i to są lata mojej poety-
cznej szkoły. W polu u pastuchów u bydła

uczyłem się estetyki polskiej... (estetyka — nauka o pięknie). Umarł Le-
nartowicz w r. 1893 w 71 r. życia, pochowany w „grobie zasłużonych”
na Skałce.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzej;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

10 Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaj, u,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianozęci...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

20 Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę;
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo,
Zabłąkane nuty chwytą;

5 Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty... 30
Grajże, grajku, będziesz w niebi e
A basista koło ciebie.

35 A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchnu ano wkoło,
Potem rażno na odsiebkę,
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie. 40

15 Rażno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby wkoło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem 45
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

25 W okólniku skaczą żrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce; 50
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednym okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.

55 Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci: 60
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!

Jakie dwie części można wyróżnić w tym utworze? Która piosnka
ludowa dostarczyła poecie motywu do jego pieśni? Jak poeta ten motyw
rozwinął? Z czego wolno wnosić, że jego Janek to artysta z bożej łaski?
Czy w zobrazowaniu powszechnej radości dostrzeżemy stopniowania? Jeśli
tak, na czym ono polega? Czy poznajemy z tej pieśni uczucia autora?
Jakie stanowisko uczuciowe zajmuje on wobec rozbawionej gromady? Po-
czem możnaby poznać, że „Do mojego grajka” to nie pieśń ludowa?

9. Wesele chłopskie

przez Władysława Reymonta.



Władysław Stanisław Reymont
(ur. 1868), znakomity powieściopisarz współcze-
sny. Powieść jego pod tyt. „Chłopi” znana jest
nie tylko w Polsce. Wzruszające obrazy miesz-
czą się w jego opowiadaniu pod tyt. Z ziemi
chełmskiej.

W Lipcach huczało, jakby na jar-
marku. Jak tylko przedzwonili na nie-
szpory, muzyka wywaliła się od wójta
na drogę. Najpierwsze szły [skrzypki
w parze z fletem, za niemi warczał
bębenek z brzękadłami, a basy, przystrojone we wstęgi, wesoło
podrygiwały. [Za muzyką szły oba dziewczostęby i druźbowie —
sześciu ich było.

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny, śmigłe,
w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, py-
skacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe — same ro-
dowe, gospodarskie syny. Walili środkiem drogi, kupą całą, ra-
mię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni,
weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste
portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszków i rozpusz-
czone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siar-
czyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wi-
churą leciał.

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników, gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli, a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druchen:

— Wychodź, druchenko, wychodź Kasieńko,

Na wesele czas —

Będa tam grały, będa śpiewały

Skrzypice i bas —

A kto się nie naje, kto się nie napije...

Pójdzie do dom wczas!

Oj ta dana, dana, oj ta dana, da!...

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki. Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny, przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać, że nim doszli, już się prawie cała wieś stłoczyła i okrażała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem przodem biegły.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

A Witek, który ze wstęgami u spencerkarza hardo był wspólnie z drużbami chodził, skoczył teraz naprzód.

— Gospodarzu, a to muzyka z druźbami wali! — krzyknął w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali do ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozścież wywarł, witał się, a do środka zapraszał; ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie — urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i postawę już miał zdala widną i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami, pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał. Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli o izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jaguś nie było, przysstrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo na rodu się zważyło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie. Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie, to i z dalszych wsiów zjechali. Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu, co po wyrobkach chodził i zawždy ze starym Kłębem trzymał. Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód!

Dopiero w dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiodły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między niemi najśmigsza i kieby ta róża najśliczniejsza stała w pośrodku, a cała w białościach, w aksami-
tach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie, że się widziało niby ten obraz, co go noszą na procesjach; aż przycichło zna-
gła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie.

Hej! jak mazury mazurami, nie było śliczniejszej. Wnet
drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaaj —

Rozgłaszaj, flecie, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknął, a matka obrazem ich przeżegnała i jeła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi.

Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Zosia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniła.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należyтым i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staję.

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie — szła bujno, uśmiechnięta przez łąki, co jej jeszcze u rzęs wisiały, weselna, niby ten kierz kwiatny i, kiej słońce, ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią i furkotały, kieby ta tęcza; spódnica biała, rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego, jak niebo, aksamitu, wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy, obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury koralu i bursztynów aż do pól piersi opadały.

Za nią druchny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Naostatek zaś całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łąkach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych, jakoby ten zagon rozkwitłymi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał — a pośpiewywał, bo druchny raz wraz zawodziły cieniutkiemi głosami:

A jada, jada, wozy kołaczą —

A moja Jaguś, po tobie płaczą,

Hej!

A da śpiewają, śpiewają sobie —

A da na smutek, Jagusiu, tobie

Hej!

Dominikowa całą drogę popłakiwała i jak w obraz wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali. W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystji wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektoś tylko co nie huknął piosenką; dobrze, iż się wczas pomiarkował! Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu było do upodoby, a rozgłośnie, bo drużbowie z druchenkami zawodzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli — już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem, nuż się ze wszystkimi z nowa witać a ścisnąć i do izby zapraszać! Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwycił wpół pierwszą z brzoza kobietę i puszczał się posuwistym krokiem „chodzonego“, a już tam, niby ten wąż, farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okrażały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się para za parą, głowa przy głowie, niby ten rozkołysany zagon dostatego żyta, gęsto przekwieciony bławatem z makami... a na przedzie w pierwszej parze Jagusia z Boryną.

Aż światła, ustawione na okapie, dygotały, dom się chwiało, zdawało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy, jaka biła od taneczników...

Pochodzili z dobrym pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przegrywać pierwszy taniec dla młodej, jak to we zwyczaju zdawien dawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło, w którym Jagusia zaczęła tańczyć! Tańczyła niezmqczenie, coraz zmieniając taneczników, bo choć raz wokoło z każdym przetańczyć musiała. Muzykanci grali ostro, aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, wywijając tak zapamiętałe — aż jej wstęgi z furkotem za nią latały, chlastając po twarzach. A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Dopiero naostatek wybrała Młodego. Czekał nato Boryna, bo skoczył do niej kieby ryś, ujął wpół i wichrem zakręcił w miejscu, a muzykantom rzucił: „Z mazurska chłopcy a krzepko!“ Krzyknęli w instrumenty z całej mocy, aż w izbie się zakotłowało. Boryna zaś ino mocniej Jagnę ujął, poły na rękę za-

rzucił, poprawił kapelusza, trzasnął obcasami i z miejsca jak wicher się potoczył.

Muzyka rznąła siarczyście, zapamiętałe, z mazowiecka. Hej! tańczył też, tańczył, a okręcał w miejscu, a zawracał, a hołubce bił, aż wiory leciały z podłogi, a pokrzykiwał, a Jagusią zawijał, że się jak to pełne wrzeczono po izbie wili, że ino wicher szedł od nich i moc. Zbili się wszyscy we drzwiach, to po kątach, przycichli i ze zdumieniem poglądali, a on hulał niez mordowanie i coraz siarczyściej. Już się niejedni wstrzymać nie mogli, bo same nogi niesły, więc ino do taktu przytupywali, a co gorętszy dziewczynę brał i puszczał się w tany, na nic już nie bacząc.

Jagusia, choć mocna była, rychło jęła mu przez ręce lecieć; dopiero wtedy przestał i odprowadził ją do komory...

Muzyka zaraz umilkła i zaczął się poczęstunek.

Dominikowa, synowie, kował, Jagustynka, zwijali się rażno z pełnymi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego zosobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo każdy swoje głośno powiadał, a wszyscy chętnie się do kieliszków brali, by wesela rzetelnie zażyć. Na ławach pod oknem przysiadł młynarz z Boryną, wójt, organista i co pierwsi gospodarze. I na izbie dosyć stało narodu; pozbijali się w kupy i poredzali¹⁾ głośno. A w komorze, oświetlonej lampą, pożyczoną od organistów, zebrały się gospodynie z organiściwą i młynarzową na czele, po skrzyniach, po ławach, przyrzuconych wełniakami, godnie się rozsiadły, miód przez zęby cedziły i słodki placek delikatnie palcami poskubywały, a zrzadka jeśli która rzuciła słowo jakie: słuchały uważnie, co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach swoich. A młodzież wysypała się przed dom, w opłotki i na przyzby. Noc była zimna, cięha i gwiazdzista, to się przechadzali i bawili wesoło, aż się trzęsło od śmiechów i wrzasków...

...Młynarz, wójt, organista, Boryna i gospodarze podnieśli się z ław, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły i ustawiać... Wtem wszedł Jambroży

¹⁾ radzili, rozprawiali.

i prosto do nich przystał. Spóźnił się, z dobrodziejem do chorożego jeździł aż na trzecią wieś, do Krosnowy; to teraz ostro wziął się do picia, aby dogonić... Nie zdążył jednak, bo już starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła, družbeczkowie dokoła,
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!...

A na to, rumor czyniąc ławkami, odkrzykli družbowie:

A dyc my już poprosili, już siedzą,
Dajcie ino co dobrego, to zjedzą!

I zwolna wszyscy zaczęli za stoły iść a usadzać się na ławach. Juści, że na pierwszym miejscu państwo Młodzi, a wpodłe nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie, aż do druchen i dzieci, a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian. Tylko družbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę, jeno kował powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po kieliszczyku na zdrowie i dobrego smak.

Kucharki wraz z družbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem,
A w nim kurę z pierzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone flaki,
Jedźże siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała zcicha piosneczki różne, by się smaczniej jadło. Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie i skrzybot łyżek zapełniały izbę; a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy zasycili, kował znowu flaszkę puścił w kolejkę, przyczem już i poczynali prawić zcicha i przemawiać do się przez stoły.

Kucharki znowu zaśpiewały:

Niesiem miski tłustej jagły,
By se chudziaki podjadły.

Mówić już wszyscy zaczęli, śmiać się, trącać kieliszkami, a coraz wolniej pojadać, aby się do syta najeść; niejeden już i pasa popuszczał, przeciągał się, by więcej zmieścić.

Kucharki znowu z miskami nowymi szły i śpiewały:

Chrzakała, kwiczała, w ogródeczku ryła:
Będzie teraz gazdom za szkodę płaciła!

— Wysadzili się, no, no! — dziwili się ludzie.

— Jakże! z tysiąc złotych kosztuje wesele...

Muzyka przycichła, grajkowie jeść poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła. Cicho się nagle uczyniło; po chwili jednak gwar buchnął jeszcze mocniejszy, aż się zakotłowało; wszyscy naraz mówili, krzyczeli, a dowodzili sobie przez stoły, że już jeden drugiego nie słyszał.

Podali naostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i koreniami zaprawiony, a reszcie szczerze stawiali piwo. Ale mało kto zważał, co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej i kontentność rozbierała... Więc pogwarzali sobie, gęsto przepijając, a każdy wypowiadał, co miał na sercu i co mu dawno ością stało w grdyce¹⁾. A najwięcej i najgłośniej gadał Jambroży; juści, że go niewielu słuchali, bo kuźden mówił i swojego chciał dowieść, mało bacząc na drugich...

W izbie wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew. Muzykant któryś szedł za nimi i przygrywał na skrzypkach, a one śpiewały:

Da powoli, powoli,
Da od stołu wstawajcie!
Po trzy grosze za potrawę,
Po dziesiątku za przyprawę
Da kuchareczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrem jadem i napitkiem częstym, to niektórzy i srebrne pieniądze rzucali na warząchew.

¹⁾ gardło (krtan).

Wraz też dźwigać się jęli z za stołów i zwolna rozchodzili, którzy na powietrze wychnąć, którzy w sieniach albo na izbie przystawali i dalej dyskursa ciągnęli... Młódź zaś wysypała się w opłotki, to, trzymając się wpół, na drogę wylegali gwarzyć i gonić się, aż dudniło od przegonów i wrzawy. Noc była jasna, księżyc wisiał nad stawem tak mocno błyszczącym, że i najsłabsze kręgi, co się roztaczały jakby od uderzeń światła, widne były niby węże, półkulisto sunące w cichości; przymrozek brał niezgorszy, gruda się łamała pod nogami i szron pobielił dachy i już przetrząsnął se bielizną ziemię.

Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi. A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców. I skoro muzykanci podjedli i nieco wypoczeni¹⁾, jęli zcicha przygrywać, by się weselnicy pościgali do kupy.

Jagnę uprowadziły kobiety do komory. Boryna na przyzbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i porędzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i przyśmiewały się między sobą. Ale że im się to zmierziło rychło, zarządziły zabawę w gry różne, by prędzej chłopaków rozruchać.

Najpierw zabawiali się w „chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi“. Na lisa przybrali w kozuch do góry wełną Jaśka, z przezwiska Przewrotny; zajączkim zaś była Józia Borynianka. Śmieli się też, śmieli, mój Jezu! Co krok, to Jasiek się rozczapierzał i bęc jak ta kłoda na ziemię, że mu to i nogi podstawiali — a Józia tak kicała²⁾, stawała słupka i wargami ruchała, niczem żywy zając.

A potem w „Przepiórkę“. Nastka Gołębianka prowadziła, a tak się zwijała, tak rażno śmigła po izbie, że nijak jej chyć nie mogli, aż sama im włożyła w ręce, by ino obtańcować koło.

I w „Świnkę“ się zabawiali. A naostatku któryś z družbów, widzi mi się, że Tomek Wachnik, „bociana“ pokazywał: w płachtę na głowę się przyokrył, z pod niej za dziób długi kij wypuścił i klekotał tak zmyślnie, kiej bociek prawdziwy, aż Józka, Witek i co młodsze zaczęły za nim gonić i krzyczeć:

¹⁾ w ludowej gwarze zamiast wypoczęli, ¹⁾ kicać, hycać (o zającu), biec powoli, biec skacząc.

Kle, kle, kle!
Twoja matka w piekle!
Co ona tam robi?
Dzieciom kluski drobi.
Co złego zrobiła?
Dzieci pomorzyła.

I rozbiegały się z wrzaskiem i kryły po kątach, jak kuropatki, bo gonił, dziobał i bił skrzydłami. Izba aż się trzęsła od tych śmiechów, krzykań i przegonów.

Z dobrą godzinę trwała zabawa, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli. Kobiety wyprowadziły z komory Jagusię, nakrytą białą płachtą, i usadziły ją pośrodku na dzieży; druchny zbiły się naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach zaśpiewały:

A już ci to, już!
Po wianeczku tuż!
Kornet wity, czepec szyty,
To la ciebie przyzwoity,
To na główkę włóż!...

Odsłoniли ją wtedy. Czepec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale się jeszcze urodniejszą wydała w tem przebraniu, bo i roześmiana była i wesołemi oczyma wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała ze wszystkiej mocy — i naród w tany szedł. Zadudniało znagła, jakby sto cepów biło w boisko i nierozplątana gęstwa zarośla się w izbie, bo jedni za drugimi szli, para za parą, głowa przy głowie, a pędu nabierali, więc kapoty puścili na wiatr, kołysali się szeroko, przybijali obcasami, kapeluszami potrzásali, a czasem któryś piosneczkę huknął, to dziewczuchy zawiedły „da dana!“ I wili się coraz prędzej, kolebali do taktu i szli w taki tan chybką, zadzierzysty, kołujący, zapamiętały, że już i nie rozeznał nikogo w ciżbie. A co skrzypki huknęły nutą drygliwą, to sto hołubców biło w podłogę, sto głosów krzykało z mocą i sto narodu zawracało w miejscu, jak kieby wicher zakłębił, że ino furkot szedł od kapot, wełniaków, chustek wiewających po izbie, niby te ptaki barwiste. Przeszedł pacierz, dwa i trzy, a oni ciągiem tańczyli bez wytchnienia, bez przestanku podłoga dudniła, ściany się trzęsły

i izba wrzała hukiem, a ochota jeszcze rosła, jak te wody po ulewie...

Boryna muzykantom pieniądze rzucił, by smyków nie żalowali... To i znagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości. Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał i dalej hulał siarczyście. I wiódł tan zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrwać i przytupywać śpiewać, tańcować i co największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniała się i wiała coraz prędzej, wścieklej, zapamiętałej. Aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpięchłą świetlistą smugą i skrzyła się wrzajem srebrem wskrós ciemności i wskrós wirującej gęstwy ludzkiej...

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym bez przerwy, bez przestanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił znagła, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy jak huragan; trzask hołubców rozlegał się jak bicie piorunów, krzyk ochotny trząsł całym domem i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój na śmierć i życie.

I tańczyli... Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące — ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwemi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli, pełne weselnej gędzby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów ucieszonych, przegonów i waru krwi młodej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne, godne a zabijackie i nieustępliwe, jako te chłopcy, co zwarci w kupę niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić

i na obcasach roznieść i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubca bić i ostro, po mazursku pokrzykiwać: „da dana!”

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekłe, oszalałe, zawadjackie a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwi ognistej tętniące a dobrości pełne, jako chmura gradowa zagnała spadające a pełne głosów serdecznych, pełne wiośnianych tchnień, woniejących poszumów, okwietnych sadów, jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie i serce śpiewa radością i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca — i „oj da dana!” przyśpiewuje...

Takięto tany nieopowiedziane szły za tanami. Bo tak chłopski naród się weseli w przygodny czas. Takoż się i zabawiali na weselu Jagusinem z Boryną.

Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznym zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbiegały noc. Gwiazdy poblady, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa i coraz niżej chyliły ślepe, oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańczył!

Jakby łąki i pola i sady zeszyły się na gody i porwane wichurą poszły społem w długi, zawrotny, ognisty korowód! Wywarli drzwi na rozścież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jakoby te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty i ten dom stary i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłęb, splątało i pijane, ośleple, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni kołowało, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało...

(„Chłopi”: Jesień).

Na jakie części podzieliłibyśmy „Wesele chłopskie”? O ile ustęp ten ma wartość etnograficzną? Czy ma także wartość inną? Do której ze znanych pieśni ludowych „Wesele chłopskie” najbardziej zbliża się ogólnym nastrojem? W jaki sposób poeta odtwarza tłum? (czy w taki sam jak Mickiewicz w Panu Tadeuszu?) Dzięki czemu styl w „Weselu” jest obrazowy? Dzięki czemu energiczny? Czy energicznym nazwalibyśmy go zawsze? Kiedy się zmienia? o ile w związku z przedmiotem? Czy stanowisko Reymonta wobec „Wesela” jest takie same, jak Lenartowicza wobec tanów zobrazowanych w wierszu „Do mojego grajka”?

10. Siadajże, siadaj....¹⁾

Siadajże, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płkanie,
Nic płkanie nie pomoże,
Stoją konie w ślubnym wozie,
Wszyscy czekają.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z matulą nie pożegnała.
Ostaj z Bogiem miła matko.
Wychowałeś ci mnie gładko,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z tatulem nie pożegnała.
Ostaj z Bogiem, miły ojczy,
Bolały cię na mnie oczy,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się i z siostrą nie pożegnała,
Ostaj z Bogiem, miła siostró,
Bywałaś ci na mnie ostro,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z ciotkami nie pożegnała.

¹⁾ Pieśń tę śpiewają „swachy” przy wsiadaniu na wozy, które mają młodych i gości powieść do kościoła.

Ostajta mi z Bogiem, ciotki,
Robiłaśta na mnie plotki,
Ostajta z Bogiem.

O. Kolberg (Kujawy).

Uczucie, panujące w tej pieśni ludowej? Co wpływa na wywołanie tego uczucia? Co je osłabia? Czy możnaby powiedzieć, że pieśń ta ma charakter naiwny? Jeśli tak, dlaczego?

11. Kołaczce

przez Szymona Szymonowicza.

Panny. Pań sześć par

Panny

Srocčka krzekce na płocie — będą goście nowi;
Srocčka czasem omyli, czasem prawdę powie.
Gdzie gościom w domu rado ¹⁾, srocčke zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Srocčko! umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała, 5
Z którejeś strony goście jadące widziała?
Srocčka krzekce na płocie — pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje ²⁾.
Jedzie z swoją drużyną panic ³⁾ urodziwy,
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy ⁴⁾, 10
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać — już wjeżdża we wrota.
Już z koni pościadali: wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze ⁵⁾.
Witamy cię, panicze, dawno pożądaną, 15
Czeka cię upominek tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego.
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego ⁶⁾,
A ty się gdzieś zabawiasz. Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię. Winienesz niemało 20
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny ⁷⁾!
Cobyś rzekł, gdyby to ⁸⁾ był otrzymał kto inny?

Szymon Szymonowicz, rodem Lwówianin, z rodziny mieszczańskiej. Pomagał Zamojskiemu w urządzeniu akademii w Zamościu. Jako poeta zasłynął utworami łacińskimi, ale nade wszystko po polsku napisanymi Sielankami. Ogłosił je Szymonowicz w roku 1614.

¹⁾ Rado jest, nieosob. zam. osob. radzi są, ²⁾ przeczuwa (że jedzie),
³⁾ dawna forma jak: starościc, wojewodzie, ⁴⁾ dobry do chodu, chyży, rączy,
⁵⁾ dawny 2. przyp., ⁶⁾ Roz. konia; co obiecano, trzeba chwycić zaraz, bo
obietnice często z wiatrem ulatują. ⁷⁾ czasu upłynionego już nie dogonisz,
bo czas się nie wraca, ⁸⁾ to, co ci obiecano t. j. pannę.

Bardzo się ubezpieczył ¹⁾. Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa największej pogodzie,
Deszcz go zlewa. Nie trzeba spać ²⁾ i w pewnej rzeczy; 25
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści ³⁾ siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć ⁴⁾: niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce, przedsię ona nie traci nadzieje. 30
Kędyś się nam zabawiał, mój panicze drogi?
Serce przez ciebie mdlało i te piękne progi
Pustkami się widziały. Czyliś na jelenie
Z myśliwstwem jeździł? Wami, wami, leśne cienie!
Świadczy my, jakośmy wam częstokroć łąjały, 35
Jako często zabawy wasze przeklinały...
Czyli cię krotofile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały
Ani słońeczko jasne. Komuż do wesela
Przyjść może, gdzie miłego niemasz przyjaciela? 40
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy,
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła, 45
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.
Młodość przestroń ⁵⁾ patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet ⁶⁾ każdego oddziela ⁷⁾
Własną częścią. Kto na niej przestawa spokojnie,
Wszystkiego ma dostatek, wszystkiego ma hojnie. 50
I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryską ⁸⁾, we wrota wchodząc; znać, żeśmy tu radzi.
Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.
Już i matka i panna witać cię wychodzi, 55
Poprzedź ich ręką ⁹⁾, tobie poprzedzić się godzi;
I czołem nisko uderz: jest dla czego czołem
Uderzyć, a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz, co pragniesz. Wszystko z czasem płynie —
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie. 60
I ty matko! nie zwłaczaj; czyń, coś umyśliła:
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmyśłów siła.
Panno! czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty takiej sprawie przyzwoite,

¹⁾ zbyt jesteś bezpieczny, siebie pewny, ²⁾ zasypiać, zaniedbywać się,
³⁾ wiadomości, wieści, ⁴⁾ stałej, silnej wiary wzruszyć, zachwiać, ⁵⁾ daleko,
⁶⁾ na koniec, naostatek, ⁷⁾ oddzielać syna lub córkę — znaczy: dać im wyprawę, ⁸⁾ parską, ⁹⁾ wyprzedź ich, witając je ręką zdaleka.

Strójcie pannę do ślubu, sąsiady życzliwe!
 Ślub święty jest i wasze prace świętobliwe.
 Wszak też wam tę postugę przedtem oddawano,
 Toż i za matek waszych w obyczaju miano.
 Kapłanie! gotuj stulę. Zbladłeś nam, panicze!
 Ba! i pannie łąza za łązą płynie przez oblicze.
 Przelekłeś się panicze! Bojaźń to od Boga;
 Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
 Nie płacz, panno! bo rzeką, że płaczesz z radości.
 Pomyśli ktoś i gorzej, bo siła zazdrości!
 Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki!
 Aboś chciała na łonie jej mieszkać na wieki?
 I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
 I tyś się nie dlatego tak tu wychowała.
 Jużecie w stadle świętem! Wszyscy wam dajemy
 Na szczęście¹⁾ i miłego szczęścia winszujemy:
 Bodajecie długi wiek z sobą pomieszkali:
 Bodajecie wszelakich pociech doczekali!
 Potrawy postawiono: do stołu siadajcie,
 Wpośrodku miejsce pannie z panem młodym dajcie!
 Imci z sobą być; tak więc dwa szczepy zielone
 Stoją w nadobnym sadu²⁾ pospołu sadzone...
 Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
 Niechaj win rozmaitych hojno nalewają —
 Kołaczce grunt wszystkiemu, a może rzec śmieie,
 Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
 Laską w próg uderzono. Już kołaczce dają,
 A przed kołaczmi panie nadobnie śpiewają
 I taniec prędko wiodą i kleszczą rękami:
 Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami!

(Następuje sześć zwrotek, każda przez inną parę Pań śpiewana).

Sroczo! z dobrą nowiną do nas przyleciała:
 Bodajes i u sąsiad także zakrzeczała!

12. „Kołaczce“ Szymonowicza

przez Bronisława Chlebowskiego.

W nielicznej grupie zabytków dawniejszej poezji, unieśmiertelnionych artyzmem formy, jedno z najwydatniejszych miejsc,

Bronisław Chlebowski, wybitny badacz piśmiennictwa ojczystego. Umarł podczas wielkiej wojny jako profesor wszechnicy warszawskiej.

¹⁾ składamy podarunki z życzeniami, ²⁾ zam. w sadzie, jak w boru, w domu, w panu.

ze względu na mistrzowskie wykończenie, zajmuje drobnych rozmiarów obrazek rodzajowy, znana powszechnie sielanka: „Kołaczce“.

Ten minjaturowy obrazek odtwarza moment, wprost z życia współczesnego pochwycony i ujęty w ramy szczęśliwie obmyślonej i wytwornie wykończonej kompozycji.

Pomysł prosty bardzo. W zamożnym dworze szlacheckim odbyć się ma ślub córki dziedziczki z bogatym paniczem z dalszych okolic. Zebrani na ten obchód goście przechadzają się po obszernym podwórzu, wypatrując niecierpliwie oczekiwanego pana młodego, który opóźnia swój przyjazd. Nudę i niepokój rwącej się do zabawy młodzieży tłumi chwilowo głos sroczi, uważany za dobrą wróżbę. Upragniony panicz ukazuje się nareszcie ze swą drużyną w bramie podwórza. Oczekujący witają go okrzykami radości i obsypują gradem zapytań i docinków. Dobry humor usposabia do żartów, przebyte nudy oczekiwania pobudzają lekką złośliwość. Wszędzie i zawsze zresztą narzeczeni, zwłaszcza w dzień ślubu, służą za przedmiot obserwacji i cel żartów otoczenia. To też „panicz“ nie może nadążyć z odpowiedziami na rzucone mu z licznych ust pytania, docinki, uwagi żartobliwe, przyjasne oświadczenia i pouczające przestrogi. Tymczasem na ganku dworu ukazuje się przy boku matki panna młoda. Goście, chcąc być świadkami spotkania się narzeczonych, prowadzą „panicza“ ku dworowi, gdzie starodawnym obyczajem na powitanie pochyla czoło i ręce do kolan przyszłej teści.

Niecierpliwość zebranych, pragnących rozpocząć zabawę, wybucha w natarczywych upomnieniach o przyśpieszenie ślubu, zwracanych z kolei do pana młodego, matki, panny młodej i obecnego wśród gości księdza. Ślub odbywa się zapewne w miejscowej kaplicy, z której orszak przechodzi wprost do sali jadalnej, Państwo młodzi po drodze odbierają życzenia i dary „na szczęście“. Obfitość dań i napojów przeciąga długo ucztę weselną. Wreszcie na ostatnie danie wnoszą w uroczystym pochodzie strojne „kołaczce“, których ukazanie się daje hasło do rozpoczęcia zabawy śpiewami i tańcami.

Opowieść całą wygłaszają „Panny“. Poeta przedstawia nam cały przebieg drobnych zapewne, ale ważnych dla uczestników zebrania momentów, z punktu widzenia towarzyszek panny młodej i umie wybornie odtworzyć zarówno myśli, jak

i uczucia, ożywiające całe zgromadzenie, a zwłaszcza grono młodzieży.

Tło krajobrazowe, zaledwie lekko zaznaczone (podwórze, płot, wrota, ganek, sala jadalna); charakterystyki zewnętrznej zebranych gości ani przybyłej z paniczem drużyny nie daje poeta. Naszkicował wierzchowca pana młodego i lśniąca od złota uprząż, przytem zazначył niektóre ruchy (jedzie z swoją drużyną, zajeżdża we wrota, koń parska, z koni pościadali, matka z panną wychodzi na ganek), całą zato staranność zwrócił ku subtelnemu odtworzeniu drobnej gamy uczuć zebranego grona i młodej pary.

Jaka prawda, wdzięk i smak cechują pierwszy ustęp „Kołaczów“! Jak wybornie poeta pochwycił stan duszy dziewcząt, oczekujących niecierpliwie zapowiedzianej zabawy! Nie są one tak naiwne, by wierzyły, że „krzektanie“ sroczi sprowadzi gości, ale rade zawsze odwiedzinom, gotowe są na podstawie tak błahej wskazówki ociągać wieczerzę w domu rodzicielskim.

Srocza czasem omyli, czasem prawdę powie.
Gdzie gościom w domu rado, srocze zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.

Jedzie wreszcie oczekiwany ze swą drużyną. Widok grona strojnej i dorodnej młodzieży rozjaśnia oblicza oczekujących.

...Wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze.

Radość ta wylewa się w chóralnem, serdecznem powitaniu przybyłego. Dopytywania o przyczynę opóźnienia i czynione przytem wymówki, jakkolwiek tchnące serdecznością, a po części w tonie żartobliwym wypowiedziane, nie są wolne od delikatnych ukłuc, podejrzeń i poważnych upomnień.

Tę ujmującą wdziękiem, prawdą, prostotą i pięknoscą gamę delikatnych odcieni uczuciowych rozpoczyna grzecznie karzącą, pół serjo, pół żartobliwie wygłoszona apostrofa:

Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego.
A ty się gdzieś zabawiasz. Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię. Winienesz niemało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny.
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto inny?

Bardzo się ubezpieczył! Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa. Nie trzeba spać i w pewnej rzeczy:
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.

Chcąc załagodzić ukłucia, zawarte w tych wymówkach i naukach, stają się obecni z kolei tłómaczami uczuć panny młodej i malują wymownie jej miłość i niepokój.

...mój panicze drogi,
Serce przez ciebie mdlało i te piękne progi
Pustkami się widziały...
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały
Ani słoneczko jasne: komuż do wesela
Przyjść może, gdzie miłego nie masz przyjaciela?

Za niepokój, sprawiony pannie młodej, odpłacają towarzyski delikatnymi docinkami, poddającymi w podejrzenie stałość uczuć „panicza“.

Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne...

Od starszych niewątpliwie pochodzą rady, zalecające poskromienie burzliwych popędów temperamentu młodzieńczego, połączone z zapewnieniem serdecznej życzliwości ze strony całego grona zebranych.

I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryską, we wrota wchodząc: znać, żeśmyć tu radzi.

Ci sami zapewne starsi krewni, czy sąsiedzi, zwracają uwagę panicza, iż panna młoda w towarzystwie matki ukazała się na ganku, by go powitać, radzą przytem, by nie zasiadał do stołu, póki nie pozyska tego, czego pragnie. Z tychsamych ust wychodzą przypomnienia i dyspozycje, mające na celu przyspieszenie opóźnionego z winy pana młodego obrzędu. Wzruszenie naturalne bardzo u kochającej matki na myśl, iż nadeszła chwila rozstania się z córką, którą mąż ma zawieźć w „dalekie strony“, nie pozwala jej zająć się energicznie przygotowaniami ślubnymi. Wobec tego starsi krewni obejmują kierownictwo

sprawy. Przypomniałszy matce, że „żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła“, a więc dalsza zwłoka na nic się nie przyda, wzywają pannę, by szła ubierać się, nawołują sąsiadki „życzliwe“, by zajęły się strojem panny młodej, zalecają obecnemu na miejscu księdzu, by gotował stulę. Dyspozycje te, zapowiadające zbliżenie się stanowczej chwili, wywołały w młodej parze nieuniknione wzruszenie, jakiego doznajemy w momentach przełomowych życia.

Starsi z zadowoleniem śledzą objawy tego wzruszenia i starają się uspokoić łzy panny zwykłymi w takich razach uwagami:

...zbladłeś nam, panicze!
Ba! i pannie łza za łzą płynie przez oblicze;
Przeląkłeś się, panicze. Bojaźń to od Boga,
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.

Obrządku ślubnego poeta nie przedstawia, raz, że nie czuje się zdolnym do narysowania szczegółów materialnych tego aktu, a powtórę, że odmalowanie nastroju duszy uczestników wymagałoby podniosłości tonu, niezgodnej ze skalą, jakiej trzyma się w całym obrazku.

Wyprowadza więc odrazu — nie zaznaczywszy ni słowem samego aktu — orszak weselny z kaplicy, czy kościoła i wśród życzeń, składanych wraz z darami młodej parze, wiedzie do sali jadalnej. Charakterystykę ucztę weselną zbywa ogólnikami, a nawet o „kołaczach“, prócz wzmianki o uroczystym ich wniesieniu:

Laską w próg uderzono. Już kołacze dają,
A przed kołaczmi panie nadobnie śpiewają;

nic więcej powiedzieć nie chce.

Pieśni śpiewane pokolei przez sześć par mężatek, tworzących pochód przy wnoszeniu kołaczy, stanowią zakończenie obrazka.

Ostatnia zwrotka wzywa pannę młodą, by gotowała się do tańca, a muzyce nakazuje zagrać „coś rzeźkiego“. Na tem mianowicie kończy swą opowieść poeta. By związać koniec z początkiem, wkłada na zamknięcie całości w usta opowiadających figlarny zwrot do skrzydlatej wróżbiarki:

Sroczo, z dobrą nowiną do nas przyleciała:
Bodajęś i u sąsiad także zakrzeczała.

Na niepospolitą piękność tego tworu złożyły się, obok doskonałej obserwacji i trafnej charakterystyki duszy dziewczęcej, zalety kompozycji, polegające na zręcznym wyborze i odpowiednim rozmieszczeniu szczegółów, proporcjonalności części, a nadewszystko na wybornem stopniowaniu wprowadzonych w grę uczuć i czynności. Najświetniej jednak artyzm poety uwydatnił styl, najdoskonalszy z pewnością, jaki do czasów Trembeckiego wypłynął z pod pióra pisarza polskiego. Cała żywość, naiwność, żartobliwość z odcieniem złośliwości, uprzejmość i dobroć dziewczęcia polskiego odbijają się, jak w zwierciadle, w żywym, giętkim, prostym a tak malowniczym języku poety. Przymiotników spotykamy tu niewiele, bo określenia przedmiotów wymagają pewnej refleksji, niezgodnej z temperamentem dziewcząt opowiadających, ale za to język ich błyszczący od bogactwa czasowników i zwrotów zaczerpniętych zarówno z mowy potocznej (sroczo krzeczce, koń pryska, kleszczą rękami, taniec prędko wiodą, łza za łzą płynie przez oblicze, serduszek takie, strzela myślami i t. p.), jak i z urobionego już przez poprzedników poety języka literackiego.

Jako obraz, odtwarzający nie tyle zewnętrzne cechy postaci, ile subtelne odcienie stanów uczuciowych duszy ludzkiej wogóle, a dziewczęcej w szczególności — „Kołacze“ wytrzymują porównanie z najlepszymi w tym rodzaju kreacjami naszej poezji. Zosia z „Pana Tadeusza“, Klara i Aniela ze „Ślubów“ mogą śmiało uznać za swe siostry „Panny“ z Kołaczów“.

13. Mohort

Rapsod rycerski z podania

(w skróceniu — przez Wincentego Pola.)

Osobą opowiadającą uczynił poeta p. Ksawerego Krasickiego. Ojciec śle pana Ksawerego na kresy do strażnicy pana porucznika Mohorta — na naukę rzemiosła rycerskiego. Mohort to już starzec sędziwy. W scenie poniższej pan Ksawery ogląda go po raz pierwszy zdumionymi oczyma.

Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad półki kaganek oświecał,
A od tej półki wisały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał¹⁾.
Dymek błękitny płonącego włókna
5 Wąskim się pasem po izbie rozścielił;
W wielkim kominie płomień czasem strzelił
I zbiegł wężykiem po szybach od okna.
A izba była pusta jak stodoła:
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
10 I prócz proporca — nic więcej nie było.

Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
15 Taki mnie widok uderzył potężny,
Taki mąż siedział przede mną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury;
Na koźle z drzewa uciosanym siedział
Niby na koniu, a choć sobie drzymał,
20 Czuwał jak żoraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał.
Biały włos lekko osrebrał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,



Wincenty Pol, syn urzędnika austriackiego, Niemca, i matki pochodzącej z rodziny francuskiej, nie tylko spolszczył się zupełnie, ale ukochał Polskę sercem gorącym, walczył w powstaniu listopadowym, zyskał krzyż wirtuti militari, wyśpiewał pełne serdecznego uczucia „Pieśni Janusza” i ulubioną przez ogół polski „Pieśń o ziemi naszej”. Zawarł przyjaźń z majorem kościuszkowskim, Ksawerym Krasickim, który roztaczał przed nim obrazy życia kresowego i walk na Ukrainie i w ten

sposób dostarczył tworzywa do „Mohorta”. Przez kilka lat był Pol profesorem geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Umarł w roku 1872, pochowany w „grobie zasłużonych” na Skałce.

¹⁾ Wielka prostota cechowała wszelkie urządzenia na ukraińskich kresach. Dla regularnej zmiany straży potrzebny był zegar; ale że zegara nie było, robiono t. zw. knotki t. j. sznurki jednostajnej grubości, które były w tyle węzłów związane, ile godzin noc miewała. Knotki te były prochem przetarte w sposobie lontów; wszak, gdy się zdarzyło, że jeden lont, w ten sposób w węzły związany, mógł zgasnąć, stąd, by liczby godzin nie stracić, zapalano dla bezpieczeństwa naraz trzy lonty, podług których po węzłach wypalonych godziny nocne liczono. (Przypisek autora).

Że więcej prawie podobien zdaleka
Był do posagu niżli do człowieka.
Był to Pan Mohort. A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dlaczego ojciec mówił: „Czołem! czołem!”
30 I nie zapomnij waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana porucznika!“
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czułny jak żoraw, całe życie zbrojny,
35 Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.

Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie budzić? — Trudna była rada!
Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
Wtem brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
40 A pan porucznik rozwarł zwolna oczy —
— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
— Na wieki wieków! — zcicha odpowiada
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potem trochę kagańca poprawił,
45 A potem rzucił na mnie wzrok surowy
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy
I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
— Jak się dzień robi, to i list wyczytam,
50 A teraz syna pana Antoniego¹⁾

Jako krew bratnią z pocziwością witam!
Dziś już za późno i jestem na służbie,
Lecz jutro waści na kresach podrubnię:
Już tu niejedną pierwsze żołdy czynił,
55 Więc po staremu będę gospodynił...
Podszedł ku półce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów za zegar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących
I rzekł: Nie zaraz jeszcze będzie ranek!
60 Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,
Czekam tu waści! — Potem krzyknął: „Służba!”
Starszy towarzysz, człowiek już niemłody,
Wstąpił do izby. — „No, przybył nam družba!”
65 Dajcie mu nocleg, a koniom wygody!“
Rzekł pan porucznik i zlecił nas Bogu
I przeprowadził oczyma do progu.

²⁾ Antoni Krasicki był rodzonym bratem biskupa warmińskiego, ks. Ignacego Krasickiego, autora znanych satyr i bajek.

Kiedy oświłem¹⁾, dopiero ujrzałem,
 Żem był w okopie, który zamykała
 Brama, na piętro otoczona wałem. 70
 Była to sobie taka twierdza mała
 Nad brzegiem Dniepru. Okop był sklepiony,
 W nim stały konie na bramie strażnicy,
 Nad bramą obraz był Bogarodzicy, 75
 A pod nim napis: „Pod Twoje obrony“.
 Ledwom się trochę ogarnął z noclegu
 I ledwom sprzątnął po sobie me łożę,
 Przybył towarzysz: że czas do szeregu,
 Bo już zatrąbią na poranne zorze. 80

Baczność! — i Mohort stanął przed szeregiem;
 W górze nad bramą był ganeczek mały,
 Z niego się trąby po rosie ozwały,
 I głos ich skonał nad Dnieprowym brzegiem.
 Hajna!²⁾ krakowski odgrali trębacz... 85
 A potem męskie podniosły się głosy,
 I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
 Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
 Bo cudny urok miał ten śpiew poranny 90
 Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
 Który po wiekach i po bojowiskach
 Od pokolenia starej Polski płynął
 I tu dopiero w dneprowych urwiskach
 Na krańcach Polski w Ukrainie ginął! 95

Po tej modlitwie chórem odśpiewanej
 Rozjazdy nocne raporty złożyli,
 Potem szła kolej i służby i zmiany,
 A chwilę później gdyśmy odstąpili,
 Dopiero wówczas znów mnie Mohort witał 100
 I rzekł, że listy od ojca odczytał
 I życzy sobie opatrzyć me konie.

Z nocy stał jeszcze mój tabor na stronie,
 Ludzie przy bryce, konie posiadłane 105
 I do poręcza rzędem powiązane.
 — Coś mi, waść, dworno! a wyglądasz przecie,
 Jakbyś sam jeden mógł jeździć po świecie!

Potem obejrzał cały tabor wkoło,
 Konie i ludzi, i ztyłu i zprzodu, 110
 I rzekł mi wkońcu, pomusnąwszy czoło:
 — No, konie dobre! i nie miały głodu!

²⁾ oświtnąć, tu: doczekać się świtu, ³⁾ hejnał.

A co do ludzi, to zobaczmy jeszcze...
 Pisze mi ojciec, że się rwiesz do świata,
 I że krew żwawo po żyłach się sączy,
 Więc próbuję tutaj pana brata... 115
 Ot dzisiaj właśnie na kresy wyruszę,
 Pojedziesz ze mną od szlaku do szlaku,
 Kędy rycerskie rosły animusze...

Kiedy to mówił, zwolna sobie kroczył
 I wstąpił ze mną na okop wspaniały; 120
 A stąd dorazu kraj się rozkrył cały:
 Dniepr u przepaści wstęgę swą roztoczył,
 A jak najdalej ciągnęło tylko oko,
 Świat się rozłożył za Dnieprem szeroko,
 A nawzdłuż rzeki pomiędzy skałami 125
 Mgła się poranna zwiwała kłębamii.
 I w tejże chwili pierwszy blask promienny
 Ocknięte stopy zukosa zadrasnął,
 I świat się budził — ale Dniepr był senny
 I spać się zdawał — jak pod mgłami zasnął... 130

Trąba z nad bramy dała znak pochodu.
 — No, weź żywności, byś nie doznał głodu,
 Bo różnie bywa, a nabij waść broń;
 Mnie czas opatrzyć i ludzi i konie.

Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny, 135
 Przecież na kresach rzadki dzień spokojny.
 Humanńskiej rzezi pamięć była świeża,
 A bojaźń dżumy trzymała żołnierza
 I dniem i nocą na czacie granicznej:
 Bo potrzeb wielka, a człek był nieliczny. 140
 A że porucznik sobie nie folgował,
 Więc i podwładnych w służbie nie żałował,
 To i o plaster nie było tam trudno
 I trzeba było stawać nieobłudno.

Tam na dwór jakiś Tatarzy napadli 145
 Na pograniczu i cerkiew złupili,
 To znów kozacy tabun nam okradli,
 Czeladź uwiedli lub wioskę spalili;
 Czasem i łotry od multańskiej dziczey
 Wtargnęli, siłą dostawszy języka, 150
 Czasem też nasi, tak na ochotnika,
 Ruszyli sobie naodwet ku Siczy,
 To też, gdy Mohort objeżdżał granicę,
 Zawsze wyruszał najmniej we sto koni,
 Gotów do boju; i w takiej pogoni 155
 I tym też razem opuszczał stannicę.

Poczt był prześliczny, gdy ruszył po błoni;u;
 Na przodzie jechał na srokatym koniu

Najstarszy trębacz, sławny nasz Kafarek,
A za nim siedział na kuli Zegarek.
Tak zwał koguta, co go woził z sobą,
Bo był jak sokół nato unoszony,
Aby znać dawał, kiedy nocną dobą
Czas zmieniać strażę — jakoż ustrojony
Był czarny kogut w porządny kapturek
We dnie na głowie, a nocą na sznurek
Wzięty do nogi budził obóz cały,
I podług niego czaty się zmieniały...

Od ujścia Rosi — aż tam, gdzie Siniucha
Na pograniczu już do Bohu wpada,
Szła linja kresów i ziemia tak głucha,
Że tylko czasem pod koniem zagada.

Sześć tam chorągwi pogranicza strzegło,
Daleko było od luki do luki,
I kilka rzędów mogił stepem biegło,
A czort stepowy wyprawiał swe sztuki.

Pan Mohort zdawna miał obyczaj taki,
Że gdy poczt sprawiał i wywiódł na szlaki,
Opodał środka sam jechał na boku,
Aby miał ciągle cały poczt na oku
I, gdzie potrzeba, stanął w jednym skoku;
Tutaj poczynął o zorzy porannej
Śpiewać godzinki do Najświętszej Panny,
A wszystka wiara powtarzała za nim,
I pieśń płynęła po rosie zaraniem,
Konie parskały, a jakaś otucha
W górę ku niebu podnosiła ducha...

Jako nowicjusz ja na lewem skrzydle
Jechałem zrazu, i koń mi się zrywał.
Spostrzegł to Mohort. — Jak tam koń w wędzidle?
Czy waść na przedzie zawsze tylko bywał?
Poskoczno ku mnie! — A więc w jednym skoku,
Zebrawszy konia, byłem mu u boku.
— Basta! — zawołał. — Śmiało jeździsz wasze;
Jeśli tak samo zetniesz się w pałasze,
To nieźle będzie, boś równo osadził;
Byleś mi konia spokojniej prowadził.
Jakże się waści w tych polach podoba?
Tu już potrzeba z konikiem od złoba!
Pierwsze to, pierwsze pole na sokołę,
Toć poznać trzeba tę rycerską rolę.
Kto w boju legnie, narodowi miły,
Bóg sieje ludzi — człek sypie mogiły...

160

165

170

175

180

185

190

195

200

Kto Boga w sercu, a kord ma przy boku,
Ten znać powinien, że oko puklerzem,
Że cała dusza ma być wiecznie w oku;
Kto nie ma oka, nie będzie rycerzem;
A kto rycerzem, ten już po zakonie¹⁾
Znać to powinien, czego bronić trzeba:
Więc naprzód stawać ma w wiary obronie
I Marji Panny, tej Królowej Nieba,
Potem w obronie granicy — i basta!
Bo reszta z tego już człeku wyrasta.
A kto się takim puklerzem uzbroi,
Kto przy kościele i granicy stoi,
Ten się prócz Boga niczego nie boi.
Tyle słów wszystkich — i pasuję niemi
W wielkiej ojczyźnie ciebie na rycerza:
Pilnuj zakonu! dotrzymaj przymierza,
A wszystko składaj w Bogu albo w ziemi...
Tyle słów wszystkich.

205

210

215

220

I jakoż ni słowa
Nie rzekł już więcej do końca samego,
Ani następnie ani dnia owego,
Tej treści do mnie. Lecz mądrość surowa
Przyłgnęła mocno na zawsze do duszy,
I nic jej z serca więcej nie wyruszy.
Boć to zaprawdę niezła była szkoła,
Gdzie oprócz nieba i stepu dokoła
Tylko mogiły świadczyły przeszłości
I poprzedników pobielełe kości...

225

230

Kiedyśmy weszli na hetmańskie szlaki,
Kazał Pan Mohort narodowe znaki
Odkryć — i z pierwszej stepowej strażnicy
Kazał otrąbić pieśń Boga-rodzicy...

I odtąd wszystkie mogiły już liczył
I wszystkie wały i graniczne kopce,
W których okopach gdzie kto stawał kiedy,
I kto dowodził, kto zwyciężył wtedy,
Wszystko to, wszystko nie było mu obce.
Nieraz to zjechał ze szlaku na miłę,
Bo obóz stawał zawsze przy mogile,
Znał każdy futor, każdy młyn stepowy,
Każdą pasiekę pomiędzy parowy,
Każdą krynice, każdy krzyż przy drodze —
I kiedy nocą pofolgował wodze,
Sam koń już wiedział, kędy mu potrzeba,

235

240

245

¹⁾ z przepisów zakonu (rycerskiego).

A ty patrz tylko gwiazdzistego nieba...
I gdy ta ziemia dla nas wszystkich była
Zaklętą księgą, gdzie tajemnic siła,
O które każdy tylko serca pytał,
To on w tej kslędzie tylko jeden czytał... (Pieśń I). 250

Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty jak gołąb do ostatniej nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli ni kitki¹⁾,
Lecz, jak się zdało, był bardzo wiekowy.
Miarkując z tego, co sam opowiadał, 5
Już dobrze zgórą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał.
A już zpółnocks wszystkie kury²⁾ liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem 10
I pięciu królów pamiętał na tronie;
Nie było człeka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rówieśnikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali... 15

...
Z Litwy był rodem; choć na kresach służył,
Choć stan rycerski nad wszystko mu płużył³⁾,
Lubił i rolę i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko, prócz domu;
Ogrodu swego też orać nie dawał 20
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz sam go orał. — Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknać do domu!⁴⁾
Tak to zazwyczaj do nas, młodych, mawiał.
Co wiosnę zorał choć zagonów parę 25
Koło futoru, lecz domu nie stawiał.
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!

Ogląda czytelnik w dalszym ciągu życie Mohorta na kresach,
a dowiaduje się także, jak pan porucznik przed laty uczył w Warszawie
sztuki wojkowej księcia Józefa Poniatowskiego, jak się do księcia przy-
wiązał (P. II); czyta o zabawach i festynach na stepie, urządzanych
później przez księcia, gdy ten przybył na Ukrainę i odwiedził Mohorta.
(P. III).

¹⁾ kita, kitka — u szyszaka, u hełmu, u czapki, ²⁾ pianie kurów,
³⁾ płużyć: sprzyjać, służyć.

Tyle to zdrowia, ach i szczęścia tyle,
Co dadzą człeku ranne życia chwile!
I takie były te ostatnie czasy
Na Ukrainie mej wojskowej służby,
Zanim na niebie znaki lichej wróżby 5
Zapowiedziały ostatnie zapasy...¹⁾

Rzecz niepojęta — lecz wielkie wypadki
Poprzedza zawsze grodu przecucie.
Jak wśród tysiąca rozeznasz głos matki,
Jako treść pieśni poznasz po jej nucie, 10
Tak po przecuciu poznasz, co cię czeka
I że stanowcza chwila niedaleka.

Głuche powieści obiegały w tłumie,
Które pojмоваć rozum ledwo umie,
A gdy je zwolna niejeden duch badał, 15
Dziwny niepokój umysły owładał:
Bo straszne jakieś dochodziły słuchy,
Że się w mogiłach niepokoją duchy,
Że w węglach domów coś strzela i brzęczy,
Że nawet ziemia w czystym stepie jęczy, 20
Że krew w krynicznej wodzie nawet bywa,
Że się w kościołach zapadają groby,
Że chodzą zdawna umarłe osoby,
A pies się w nocy jak szalony zrywa...

Ot krótko mówiąc: coś strasznie się plotło, 25
I nocą groził kometa swą miotłą,
A kiedy zmyły rozpędziło słońce,
Lecieli drogą do obozu gońce,
I to rozkazy nowe ze stolicy,
To nowe wieści biegly z okolicy... 30

Każdy to widział, że przyjdzie do wojny,
Z której niełatwo będzie nam wyjść cało;
Lecz czem na większą burzę się zbierało,
Tem więcej bywał Pan Mohort spokojny.

Pozór wojenny przybrał obóz cały, 35
I młody żołnierz nabierał postawy,
Bo codziennie nowe wieści obiegały,
Że całe wojsko ruszy do Warszawy.
Kresy ściągnięto — piechotne komendy
I artylerja stała pod Bracławiem, 40
A więc się znaczył i nam marsz tamtędy,
I każdy wiedział, że krótko zabawiem
I że z Bracławia ruszym prosto w pole...

Dni już ostatnich przed naszym pochodem
Wstał był Pan Mohort swym zwyczajem rano, 45

¹⁾ mowa o wojnie w r. 1792.

Ale miał wielce twarz zafrasowaną;
 A gdym o powód spytał mimochodem,
 Rzekł mi: — Pan Hetman śnił mi się nad ranem.
 Hetman — śmierć pewna rycerskiemu człeku;
 Ha, czas ze świata, bo też już i z wieku. 50
 A jak na jawie mówiłem z Hetmanem...,
 Uczułem zimno, gdy mnie tknął buławą,
 Gdy mi pokłonił i dał rękę prawą...
 Hetman — śmierć pewna — i nie ujdzie płazem;
 Więc czas się przybrać i pojednać z Bogiem, 55
 Bo sen poranny, to śmierć już za progiem,
 Do monasteru ¹⁾ pojedziem dziś razem...

Istotnie podąży sędziwy rycerz z towarzyszem do klasztoru, odbywa spowiedź, a po mszy leży długo krzyżem na posadzce kościelnej. Nadaremno rektor zakonu zaklina go, by nie brał udziału w wyprawie wojennej — wiek go przecie od niej uwalnia — on ani słuchać o tem nie chce. Wyjeżdża. (P. IV).

W drodze wieczór księżycowy przypomina Mohortowi chwile jego młodości, kiedy to tak samo księżyc świecił, a on jechał do swojej „niebogi“. Ale Bóg nie dał mu połączyć się z tą, którą ukochał: pozostał samotnym. Nim starzec opowieść ukończył, niebo powłóknęło blask zorzy. (P. V).

Ileż to razy uderzał o uszy
 Odgłos komendy i — szedł mimo uszy.
 Lecz jak inaczej, jak wcale inaczej
 Głos ten przenika aż do serca głębi
 I dreszczem przejmie i aż w krwi zakłębi, 5
 Gdy się marsz wojska już do bojuaczy...
 Na koń! odezwał się naprzód Oboźny,
 Na koń! — obiega dokoła głos groźny,
 Na koń! — zawrzało i zamęt wśród wrzawy,
 Na koń! — i jezdnych połowa już w biegu, 10
 Na koń! — i wszystkie skończone już sprawy;
 Baczność! — i wszyscy stali już w szeregu...
 I słońce błysło złocisto u wschodu,
 I książę ²⁾ dosiadł bachmata wesoło, 15
 Przejrzał szeregi i pomknął na czoło,
 A jedna trąbka dała znak pochodu.
 „Marsz!“

I blask słońca zaigrał po stali.

¹⁾ monaster: kościół i klasztor, zwłaszcza wyznania wschodniego,
²⁾ książę Józef Poniatowski (pod jego wodzą armia polska wyruszyła w r. 1792 na Ukrainę stawiać opór nieprzyjacielowi).

„Marsz!“

I jak rzeka całe wojsko wali!...
 Wesoło płyną narodowe znaki!
 Szeroka droga na rozstajne szlaki, 20
 I koń i serce ochocze do lotu...
 Lecz gdzie się oprzem? gdzie położym kości?
 I czy nam stanie drogi do powrotu?
 I czy nie zmarni się tyle miłości?...¹⁾

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa, 25
 Grobla szeroka i niby bezpieczna;
 Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
 A na niej stoi mogiła odwieczna.
 Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
 Bo nieprzyjaciół szedł krok w krok za nami, 30
 A parł na korpus trzema kolumnami...
 Zrzadka już strzały padały od rania,
 I pan Kościuszko przednią straż prowadził
 I był się znacznie przodem już odsadził. 35
 Głównym korpusem sam książę dowodził,
 A w tylnej straży komendę generał
 Wielhorski miał i zlekka odpierał
 Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały. Pod wieczór się miało, 40
 I boryszkowską groblę wypadło
 Przebyć przed nocą, most za sobą spalić
 I przez marsz nocny znacznie się oddalić
 Od nieprzyjaciół; jakoż po dwa razy
 Przysyłał książę z takimi rozkazy. 45
 Rzec była dobrze zgóry obmyślana,
 Bo staw z błotami i z tą groblą długą
 Oddzielał korpus nieprzebytą smugą;
 A nim most stanie aż nazajutrz zrana
 I nieprzyjaciół przez most się przeprawi,
 Nim się po takiej przeprawie znów zładzi — 50
 To i niemały czas w miejscu zabawi,
 A nasz się korpus tymczasem odsadzi;
 Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy nad groblę weszli boryszkowską, 55
 Już się zdawało, że z pomocą boską
 Ujdziem szczęśliwie... Poczęło się mroczyć,
 Śpieszno nam było — więc trochę w nieładzie
 Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć.
 Generał przeszedł po moście na czele,
 A Mohort jechał ostatni na zadzie 60

¹⁾ miłości, jaką żołnierz żywi dla świętej sprawy.

I wołał: „Stępo!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.

Wtem straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi wzbity się w niebiosy.
— Co tam?! Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciół w tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Ztyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił —
I na trzech liniach czysto jak po miotle,
A koło mostu zawrzało jak w kotle;
Z ludzi i koni niby kra się sparła.
Gdy most się zwałił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzeką całą
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało
I wpływ do stawu i z grobli na błota.
A i ranionych było już bezliku.

Po trupie Mohorta przedarł się na siłę
I do rotmistrza, który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał, rzekł: „A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile
I powiódł wkoło oczyma przez chwilę
I krzyknął: „Bacność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę;
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz też w pędy idź z drugim oddziałem“ —
Rzekł do rotmistrza i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknawszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara — mówi Paweł święty!“

Z dział uderzono — i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: „Teraz na nas praca!
Marsz!“ — i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy, patrzym — a działa w odwrocie
I kanoniery leżą już pod koniem.
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem stajem, kędy stały działa;
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Również z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

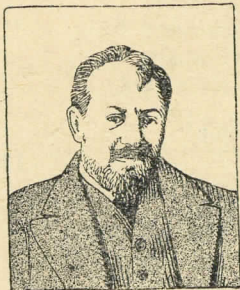
Koło północy stanął już most nowy;
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi... Wtem rozruch na przedzie
I głos podają: „Książę! książę jedzie!“
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały... Rzekł: „Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął?“ — „Jak giną rycerze!“ —
Rzekł Ostaszewski. — Jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“
A książę nato: „Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.“
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami
I na mogile ogień nałożono.
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie
I kazał na nim złożyć towarzysza.
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie,
Aż gdy grób cały wkońcu był zasuty,
Rzekł książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szabłą w ręku — niech leży w mogile!“
A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żalosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał:
Czas do domu, czas!
Zabawili nas!
A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła wkońcu nawet straż ostatnia;
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żalność bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żalności tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy wśród nocy się palił... (P. VI).

Czy można Mohorta nazwać bohaterem? Jeśli tak, dlaczego? Co nazwalibyśmy w poemacie tłem? O ile tło harmonizuje z wizerunkiem rycerskiej postaci Mohorta? Które sceny w poemacie sprawiają wrażenie pośpne? Dzięki czemu? Ile razy zjawiają się zapowiedzi czegoś, co w czytelniku budzi obawę, troskę? Na czym zapowiedzi te polegają? Którą chwilę w rapsodzie uznalibyśmy za najpiękniejszą? Zestawić obrazy nastro-

jowe, kreślące step ukraiński w „Mohorcie“, z takimiż obrazami w „Ogniem i mieczem“. Czy w nastroju, jaki w nas budzą te obrazy, nie dostrzeżemy pewnej różnicy? Które ze scen poematu mogłyby pobudzić twórczość malarza, które rzeźbiarza? Jakie postacie „niezłomne“ poznaliśmy dotychczas z lektury? Która z tych postaci przejęła nas największym podziwem? (dzięki czemu?)

14. Wiatr halny

przez Jana Kasprowicza.



Jan Kasprowicz przyszedł na świat pod strzechą wiejską na Kujawach w Poznańskim w r. 1860. Rodzina była liczna, dola chłopięcia twarda. Wszystko przemogła dobra wola rodziców i wczesnie rozbudzona w dziecku żądza wiedzy i wytrwałość. Ukończywszy gimnazjum, odbył K. studia wyższe, ale wnet za pracę patriotyczną dostał się do więzienia pruskiego. Po opuszczeniu murów więziennych przeniósł się do Lwowa, gdzie oddał się wyczerpującej sile pracy dziennikarskiej. Trud życia nie złamał jednak poety, przeciwnie pobudził do tem wydatniejszych wysiłków. Obecnie przebywa K. stale we Lwowie, jest profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza. Znakomitego twórcę otacza powszechna cześć.

Huczy nademną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Odrzuć kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach, jak żdźbła lichej słomy:
Tak igra z niemi głuchy, niewidomy
Gość, co od halnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie wyrwane z ziemi,
Ten szal, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza: Radbym z siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

Co nam obrazuje wzmagającą się siłę wichru? W jakim stosunku pozostają dwie pierwsze zwrotki „Wiatru halnego“ do dwu ostatnich? Czego znacznikiem staje się wiatr halny w tym utworze?

15. Śpiący rycerze

Opowieść ludowa

przez Kazimierza Tetmajera.



Kazimierz Tetmajer (ur. 1865), poeta współczesny, rodem z Podhala, które ukochał gorąco, znany z wielu bardzo pięknych utworów lirycznych, powieści i nowel („Ksiądz Piotr“), tudzież z opowiadań, osnutych na tle życia górali tatrzańskich. Opowiadania te mieszczą się w kilku tomikach, zatytułowanych „Na Skalnem Podhalu“.

...O zaśpionyk rycérzak opowiada-
jom, ze majom być kajsi ¹⁾ zaśpioni w Gie-
wońcie. Konie hań ²⁾ stojom przy złobak,
bo ig ³⁾ hań widział kowal Fakla, co ig

kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi w Kościeliska hodził kilka
razy za jego zywoybicia.

Jest hań grota niezmierna, ciémna, ino sie kaganki świcom
po ścianak. Ci rycérze spiom, a co dziesień lat to nostarsy
pomiendzy niemi podźwiguje głowe i pyto sie janioła, co ig
pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytk rycérze podźwigujom głowy w hełmak zelaznyk,
ale janioł odpowiadło:

— Nie. Śpijcie.

I śpiom dalej.

Nad niemi jest skała wielga i głęboko do ziemie trza iść
ku nim. Ino ze hań nie trefi ino ten, co go janioł pilnujący
powiedzie.

Jo se to nieroz myślał o tém i medetujem se, a i Faklek
znał ⁴⁾ i słyszałek, jako opowiadał.

Jo se to nieroz myślę i myślę se: może to i być. Mo-
zom być zaśpioni rycérze w Giewońcie, bo sytko w boskiej
mocy.

Ale se i to myślę kie niekie ⁵⁾, że wto wié, jako to? Cy
som nie jest w naskik ⁶⁾ hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rý-
cérze i cy to pote ⁷⁾ ta skała, kany ⁸⁾ śpiom, to nie my?...

(Na skalnem Podhalu).

¹⁾ gdzieś, ²⁾ tam, ³⁾ ich, ⁴⁾ i Faklę znałem, ⁵⁾ kiedy niekiedy, ⁶⁾ na-
szych, ⁷⁾ potem, ⁸⁾ gdzie.

Jak łączy się w tej opowieści z Podhala naiwność z refleksją, która jest przeciwieństwem naiwności? W których z poznanych dotychczas utworów (w roku zeszłym, w lekturze pozaszkolnej) obraz, roztopczony przez poetę posłużył mu do wysnucia refleksji? Czy refleksja jest i tu dla opowiadającego rzeczą główną? — Wskazać na podstawie „Śpiących rycerzy“ najbardziej charakterystyczne znamiona gwary podhalańskiej.

16. N o c

przez Marię Markowską.

...oto mi się ozwały
Zaczarowanej świątnicy
Srebrem odziane podwoje.
Przedemną świat umarły...
U proga stoje,
Sercem wierząca w cud...

Przedemną w skalnej zbroicy
Pomarłe woje,
Olbrzymów ród...
Przedemną drzew kolisko
Hufem zstępuje w dół,
A na nich jasność drga,
A na nich śnieżne gźła¹⁾
A od ich hardych czół
Świetliste biją skry!
A ku ich stopom nisko
Poziomy kierz przypada.
Ówdzie — by ołtarz — gromada
Głazów. Ofiarne źródłisko...
Lodowe roni łzy

I szeptem się spowiada,
Jako mu tęskno...
Z dalekich idzie gwiazd
Noc, w błękit roztopiona
W świetlistej ciszy czar...
I ściąga swe ramiona
Ku mrokom skalnych gniazd
I budzi Pieśń...

Grają z promieni struny.
— — — — —
Oto w głaźnej zbroicy
Dźwigli się woje z truny.
— — — — —
Miesięczna wiedzie droga
W głębie świątnicy,
W zaczarowany gród...
— — — — —
Stoję u proga,
Sercem wierząca w cud.

Maria Markowska (ur. w r. 1878), poetka współczesna.

Co poetka osiąga archaizowaniem? Co łączy „Śpiących rycerzy“ i „Noc“, a co nadaje utworom tym piętno odrębne? Jaka jest rola wyobraźni (poetki, górala) tu i tam?

¹⁾ gźło: obszerna szata (liniana).

17. L u b o r

przez Józefa Bohdana Zaleskiego.



Józef Bohdan Zaleski, rodem z Ukrainy, z którą żył się i którą ukochał (jako dziecko po stracie matki, pozostawał pod opieką znachora naddnieprzańskiego), znany jest przede wszystkim z dum kozackich i dumek. Ale pisał także utwory większe. Na emigracji zaznajomił się i zaprzyjaźnił z Mickiewiczem. Łączyła poetów czystość i szlachetność uczuć, a także tułacza tęsknota za ojczyzną. Dożył Z. wieku sędziwego, lat ośmdziesięciu czterech (um. w r. 1886).

Dawszy czas wytchnąć hufcom znużonym,
Lubor, wódz stary, waleczny,
Sam w ciemnej nocy, na koniu wronym,
Wjeżdża w bór czarny, odwieczny.

Zdała chorągwie, w bojach zdobyte,
Utkwione świszczą z mogiły;
Wojennych pieśni echa rozbite
Przełękłe zwierza płoszyły. 5

Jadąc, wódz dumał, jak wiek mu młody
Zbiegł na rycerskich zabawach;
Rachował blizny, liczył przygody,
Marzył o nowych wyprawach. 10

Umilkło... Jedzie, jedzie — nie słyszy,
Jak tuż coś pierzcha w gęstwinie:
Przy starym dębie, wśród głuchej ciszy
Zeszły się boru boginie. 15

Było to grono srogich Rusalek¹⁾.
Jedna z nich groźnie zawoła:
„I kiedyż Lubor, kiedyż ten śmiałek
Poniechać krwawych walk zdoła? 20

¹⁾ Rusalki, u starożytnych Słowian zapewne jakowe bóstwa, podług przechowywanego się dotąd mniemania między pospółstwem w Małorusi są krwi chciwe czarownice, nienawidzące powszechnie ludzi. Prawie zawsze przeznaczają im na mieszkanie stare bory, strumienie itp. Liczne przykłady przebiegłości Rusalek w podejściu niebacznych słyszeć można w powieściach tego ludu. (Objaśnienie poety).

„Tyle rycerzy w rannych lat dobie
Śmierć uprzątnęła ze szranków;
Matki, kochanki płaczą w żalobie
Poległych synów, kochanków.

„On od pół wieku prowadzi boje,
Pławi się we krwi nieczuły...
Czyliż to bogi w niezłomną zbroję
Lubora piersi zakuły?

Dość ci już chwały! — czas spocząć, starcze!
Czas zmrużyć czujne powieki;
Wkrótce porzucisz włócznie i tarcze,
Zaśniesz — lecz zaśniesz na wieki“.

Rzekła i znikły w mroku omglonym.
Szumi bór czarny, odwieczny;
Nic nie wie — jedzie na koniu wronym
Lubor, wódz stary, waleczny.

Wtem słyszy potok, szumiący w dali.
Drze się przez zimną gęstwinę;
Niezbyste jakieś pragnienie pali;
Wjechał do zdroju — w dolinę.

I gdy się napił, zmienił się wcale,
Sen począł kleić powieki;
Puścił rumaka — usnął na skale —
Usnął — lecz usnął na wieki.

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory;
Tętent uśpionych przestrasza;
Między walecznych wpada tabory,
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

W całym obozie wrzawa się wszczyną,
Strach miesza mężne szeregi;
Rozpierzchła wodza szuka drużyna;
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciagną na pole znów chwały;
Zabrzmiały w okrag wojenne dумы,
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Wódz zaś od wieków w jednej postawie
Skamieniał, leżąc w ustroni:

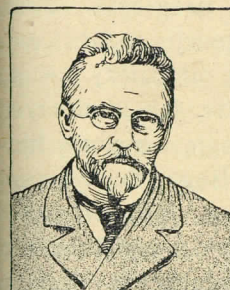
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Nawpół dobyty miecz w dłoni.

A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny, odwieczny;
Ockniony, rdzawy oręż dobywa
Lubor, wódz stary, waleczny.

Co się dzieje kolejno w tym utworze? Co zasługiwałoby w nim na miano dziwności? Czy ta dziwność niepokoi nas? może każe patrzeć na utwór, jak na bajkę dla dzieci? Jeśli nie, czemu to przypiszemy? Co wytwarza w utworze nastrój poważny, posępny? Czem postać Lubora przypomina postać Mohorta? A czy można powiedzieć, że obydwa utwory są podobne do siebie? Na czym polega różnica między obu poematami? (wziąć pod uwagę rozmiary, większą lub mniejszą koncentrację, przedmiot naszych zainteresowań, większe lub mniejsze zbliżenie do rzeczywistości, do mowy zwyczajnej, sprawę jednolitości nastroju, muzyczności wiersza). — W których z poznanych dotychczas utworów spotkaliśmy się z pierwiastkiem dziwności?

18. Z młodości Bolesława Prusa

według Piotra Chmielowskiego.



Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) należał do pisarzy, którzy w puste frazesy bawić się nie lubią. Na dnie wszystkich niemal jego utworów leży jakaś myśl głębsza, dotycząca ważnych spraw społecznych, lub też tajemniczych stron duszy człowieka. Umysł jego lubiący i umiejący obserwować, zasilony nauką dobrze przetrawioną, a mający żyłkę satyryczną, potężnie rozwiniętą; serce pełne współczucia dla wszelkiej niedoli i cierpienia, lecz z powodu owej satyrycznej żyłki chętnie przywdziewające maskę humoru; fantazja prawdziwie poetyczna, — składa a się na wytworzenie fizjognomji duchowej, nadzwyczaj ciekawej, pociągającej i sympatycznej.

Piotr Chmielowski, to jeden z najbardziej nieustrudzonych badaczy piśmiennictwa ojczyzstego. Gdy rząd rosyjski ofiarował mu katedrę literatury polskiej na Uniwersytecie warszawskim, ale żądał odbywania wykładów po rosyjsku, katedry nie przyjął. Umarł w roku 1904 jako profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. O Prusie pisał w dziele dwutomowym pod tyt. Nasi powieściopisarze.

Otoczenie najbliższe w latach dziecinnych, stosunki rodzinne Aleksandra Głowackiego nie są nam dobrze znane; dopiero okres szkolny, przypadający na czasy zmian bardzo doniosłych, odmalował dosadnymi rysy on sam w „Kurjerze Codziennym”. „Głowacki — czytamy — uczęszczał do szkół lubelskich od r. 1856 do 1866, co już wskazuje, że należał do tej interesującej grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się próżniakami i urwisami. Takim było prawie całe ówczesne pokolenie... Uczyli się lekcji niezbyt chętnie, dokazywali okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Palant, łyżwy, kąpiele, bitwy, wrzaski, strzelanie, fechtunek na kije więcej zajmowały tych chłopców, aniżeli szkoła... Miłe te chłopaczki tylko w czasie pauzy znajdowali się na środku klasy, przy tablicy; lecz podczas lekcji cała gromada tak dokładnie kryła się gdzieś w ostatnich ławkach, że trzeba ich było szukać, jak szpilkę w stogu. Dodajmy jednak, że nadmiar sił, na który chorowała ówczesna młodzież, manifestował się także prędkim uczeniem się lekcji, łatwym przygotowywaniem się do egzaminów i pracą wybiegającą poza ramy programu szkolnego... Trudno opowiedzieć, ile energii, inteligencji, zapału i najszlachetniejszych uczuć płynęło w tej dzielnej młodzieży. A ile tam było wiedzy i pracy! Czytano nie romanse, jak w niższych klasach, ale ekonomję¹⁾, statystykę, psychologię, historję filozofji, dzieła Śniadeckich...²⁾ Rozprawiano o Bogu, duszy, czasie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu żydów itd. Godnemi uwagi były potężnie rozwinięte wśród tych chłopców instynkty społeczne... Naturalnie, że chciano bryłę świata nowemi pchnąć tory, że każdy myślał o jakimś stanowisku w przyszłości, lecz przytem chodziło mu nietyle o karierę osobistą, ile o oddanie największych usług społeczeństwu.

Wśród tej młodzieży, kipiącej życiem, Głowacki był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. A ponieważ każdy z nich miał jakąś oryginalną cechę umysłową, więc i on ją miał. Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykładał na prawo i lewo, że wszystko

¹⁾ nauka o gospodarstwie, ²⁾ Jan Śniadecki, matematyk, astronom i filozof, od r. 1807—1815 rektor Akademii wileńskiej; Jędrzej Śniadecki, brat Jana, profesor chemii w Akademii wileńskiej.

jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć, a przynajmniej zaobserwować... Z upodobaniem uczył się on statystyki, bo w niej były cyfry, czytał ekonomję Milla¹⁾, gdzie znowu były cyfry, z wielkim zaś zapałem studjował logikę...”

W charakterystyce tej usposobienia swego odśłania Prus istotnie dwa zasadnicze czynniki swojej umysłowości: fantazję i skłonność do ścisłości. Fantazja w latach szkolnych przejawiała się u Prusa w wesołości szczerej i wrzawliwej, oraz w figlach do spółki z kolegami dokonywanych; skłonność zaś do ścisłego myślenia w zamięłowaniu wszystkiego, co w cyfry ująć się dawało. Oba usposobienia nie łączyły się jeszcze z sobą, można powiedzieć, szły równolegle. Gdy przybył do Warszawy w r. 1866, jako „fanatyk matematyki”, zapisał się na wydział fizyczno-matematyczny w Szkole głównej i przez dwa lata poświęcał się gorliwie tym studjom; wesołości zaś swojej dawał ujście na zebraniach koleżeńskich.

Jeden z kolegów i przyjaciół Głowackiego, Julian Ochowicz²⁾, już od roku 1867 był współpracownikiem „Przeglądu tygodniowego”, więc rzecz naturalna, że czasopismo to nie mogło pozostać obcem Głowackiemu, tem bardziej, że wśród młodych cieszyło się ono uznaniem i poczytnością. Zajęty wtedy naukami ścisłemi, a z filozoficznych zajmujący się logiką, Głowacki pomieszczał w „Przeglądzie” sprawozdania z ruchu naukowego. Literacka jego produkcja była zrazu niewielka. Autor nie zakładał sobie jeszcze bynajmniej poświęcić się wyłącznie piśmiennictwu, owszem działalność w tym kierunku poczytywał za coś przygodnego, pobocznego, zamyślał nawet oddać się pracy na polu techniki; wstąpił jako robotnik do warsztatów Lilpopa i Raua i kilka miesięcy w nich pracował. Dopiero od roku 1873 coraz bardziej się przychylił ku literaturze. Myśli, które zrazu ukazywały się odosobnione w jego pismach, ułożyły się do pewnej równowagi i wytworzyły szereg artykułów, ściśle się z sobą łączących, zebranych następnie w książeczce pod tyt. „Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa”. Rozpatrzył tu Prus wszystkie siły i środki

¹⁾ John Stuart Mill, znakomity angielski filozof i ekonomista († 1873),
²⁾ znany z licznych prac filozoficznych i przyrodniczych.

materjalne i umysłowe naszego kraju, nakreślił drogi, na których powinny być wyzyskane i zastosowane, wskazał cel, ku któremu dążyć trzeba. W ostatecznym wyniku sądził, że „wartość społeczeństwa nie zależy od obszerności jego terytoriów, ale od ilości przerobionych wytworów natury, nie zależy też od bezwzględnej liczby mieszkańców, ale od stosunkowej ilości jednostek produkcyjnych i od sił, jakie jednostka wkłada w pracę“. Wielkość narodu nie zasadza się na „wymiarach, sławie, narzucaniu się innym, ale na wynalezieniu i utrzymaniu takiego stanu równowagi społecznej, w którymby istniało najwięcej pracy, szczęścia, doskonałości, wymiany usług, a najmniej próżniactwa, cierpienia, ułomności i walk“. Wszystkie inne cele — dodaje Głowacki — „są złudzeniami“. Z tych słów atoli nie należy wysnuwać zbyt pośpiesznie wniosku, że autor ma na myśli błogość życia kosmopolityczną. Przeciwnie, akcentuje on bardzo silnie odrębności narodowe.

W twórczości Prusa najpierw objawił się dowcip, a łączyła się z nim często karykatura. Polega ona na takim wydłużaniu, rozszerzaniu, powiększaniu lub przeciwnie kurczeniu i zmniejszaniu rysów, żeby stąd powstały kształty dziwaczne wprawdzie, lecz mimoto odtwarzające rzeczywistość. Przykłady takich przemian można widzieć w zwierciadłach wklęsłych lub wypukłych. Ponieważ znajduje się to w naturze, ma więc swoje uprawnienie i w sztuce. Są przecie karykatury genialne zarówno w malarstwie, jak w poezji.

W początkowej twórczości Prusa znajdujemy mnóstwo karykatur.

Oto przykład, obrazek, któremu moglibyśmy dać tytuł „Filozof i poeta:“¹⁾

„Pan Diogenes Fajtaszko, w nielicznym, lecz wyborowym kółku zaufanych przyjaciół zwany pospolicie Dynciem lub Fajtusem, cały raneek spędził na melancholicznym rozpatrywaniu swoich długich i cienkich kończyn dolnych. Na gorycz dzisiejszego usposobienia wpłynął niepomniernie sen. Śniło mu się bowiem, że skutkiem wczorajszej kolacji dostał trychin, że skutkiem trychin, z przepisu pewnego młodego lekarza — imieniem Kocia, musiał wypić cały gąsior nieoczyszczonej nafty, i że wreszcie, skutkiem obu powyżej zacytowanych przyczyn, on, pan Diogenes Fajtaszko, chluba powiatu i najdzielniejsza z prowincjonalnych podpór literatury krajowej, musiał się przenieść, a raczej był przeniesiony, z wygniecionych wprawdzie, lecz dość jeszcze miękkich materaców, na twardy i brudny stół sekcyjny miejscowego lekarskiego urzędu.

¹⁾ z „Doktora filozofii na prowincji“.

Brrr!... co za myśl!...

Ponure, od kilku godzin trwające rozmyślenia Diogenesa przerwało niecierpliwe lecz pełne uszanowania pukanie do drzwi, które na okrzyk Dyncia: Entrez!¹⁾ otworzyły się, odsłaniając drobną, lecz od stóp do głowy elegancką postać pana Kajetana Dryndulskiego.

— Pozdrowienie, uszanowanie, powitanie! — paplał przybyły. — Ach! och! jaki śpioch!... (od wschodu słońca jestem w poetycznym usposobieniu). Jedenasta bieży, a on jeszcze leży... (zawsze mam pełne usta wierszy!) Pewnie wczoraj długo pracowaliśmy, a dziś zaspaliśmy. (Ta łatwość wierszowania niekiedy mnie samego kłopotce). Ja tymczasem od rana, zbieram nowiny dla pana i takie ich mnóstwo mam, że ledwie oddycham... (Tygodnik mówi, że nie jestem poetą... cha!...)

Mówiąc to, przybyły szastał się po całym pokoju, jakby podłoga była najeżona szpilkami, i kręcił tułowiem tak, jakby mu kto za aksamiłną marynarkę nasypał rozpalonych węgli. Tymczasem poważny Diogenes, trzymając się obu rękoma za poręcz łóżka, na wytartym dywaniku oparł piętę lewej nogi i bezmyślnie przypatrywał się jej wyschlým palcom.

Frygowaty Dryndulski wciąż paplał.

— Jak ptaszek dziś zerwałem się, zimną wodą oblałem się, i niezwłocznie na miasto się wybrałem, bo dziwne jakieś przecucie miałem...

— Tak samo i ja!... — przerwał półgłosem Fajtuś.

— A co?... — wykrzyknął zachwycony gość. — Piękne umysły się stykają, podobne przecucia mają (jak mówi francuskie przysłowie). Istotnie wspaniałe są nowiny!... Zgadnij jakie?... mój filozofie jedyny...

— Pewnie trychiny?... — mruknął Dyncio, szybko chowając lewą nogę pod kołdrę.

— Cha! cha!... Nowiny, jedyny, trychiny!... Co za trójwiersz!... Zdumiewające, zachwycające!... Miasto nasze robi się poetycznym — w dniu, w którym winno być filozoficznym. Ja wymyślam dwuwiersz, mój przyjaciel tworzy trójwiersz; jeden filozof miejscowy, warszawskich dwóch, razem trzech, — kto w cuda nie wierzy, niech ten zbieg wyjaśni, niech!...

— Nie rozumiem?... — bąknął Fajtuś, podczesując długą czuprynę.

— Jakto, nie rozumiesz pan? — odparł zaperzony Kajcio, zstępując z hymnu do prostej powieści. Wszakże pan jesteś filozofem miejscowym, tutejszym, naszym i jedynym, czy tak?...

¹⁾ proszę wejść.

Dyncio podczesał brodę, co w przekonaniu gadatliwego poety musiało oznaczać twierdzenie, ciągnął bowiem dalej:

— Pan jesteś filozof jeden, z Warszawy przyjechało dwóch, razem trzech...

— Jakich dwóch z Warszawy?... — zawołał Fajtuś, chwytając się znowu za łóżko.

— No, dwóch Klinowiczów, siostrzeńców starego Federwajsa, kolegów uniwersyteckich Kocia, którzy pisali te sławne traktaty filozoficzne... o czymże to?...

— O stosunku świadomości do bezświadomości?... To pisał tylko jeden z nich, Czesław Klinowicz, doktor filozofii Uniwersytetu.

— Wiedeńskiego, paryskiego, berlińskiego et cetera. Otóż oba stryjeczni bracia, Czesław i Wacław Klinowicze, są doktorami tych wszystkich uniwersytetów, a obecnie przyjechali tu, do nas, pod pozorem złożenia wizyty wujowi...

— Skąd pan wiesz o tem?...

— Widziałem ich dziś obu o godzinie 9-tej rano, w hotelu pod Bykiem... Poszedłem en frak, en biały krawat i en lapisowe rękawiczki (spodnie miałem te same). Pytam garsona: piąty numer śpi? Myje się — odpowiada garson. Pukam we drzwi... Entrez!... Przepraszam, rekomenduję się, zostawiam dwa bilety wizytowe (dla obu panów), wspominam o panu...

— Jakże wyglądają? — pyta wzruszony nieco Dyncio.

— Jeden leżał w łóżku pod popielatą sławucką kołdrą, drugi mył się mydłem glicerynowym...

— Ależ fizjognomje, obejście?...

— Przecież mówię! Ten, który się mył, miał koszulę w czekoladowe paski. Wracając z hotelu, kupiłem sobie zaraz taką samą u Goldglasa...

— Ależ co mówili?...

— Ach? co mówili?... To już mój sekret, na którego wyjawienie brak mi czasu, bo muszę się spieszyć...

— Do czego?... Czy do ubrania się w kolorową koszulę, czy do zawiadomienia miasta o szczęściu, jakie go spotkało?... — spytał ironicznie Dyncio.

— Panie... sarkazm?! — oburzył się gość.

— Najczystsza prawda! — odparł zirytowany gospodarz. — Każdego z życzliwych panu dotknąć musi naprzód łatwość, z jaką podajesz się pan nowym wpływom, a powtórę zupełny brak samodzielności...

— Panie!...

— Tak jest, panie! a najlepszym dowodem tego braku samodzielności jest kupno trzech kolorowych koszul, tylko dlatego, że podobną jakiś quasi¹⁾ filozof, jakiś przybłęda nosi... Cha! cha! cha!...

¹⁾ jakoby.

— Przybłęda?... brak samodzielności?... — wołał oburzony pan Dryndulski, zasadzając z wielką pewnością siebie obie ręce w kieszenie boczne. — Rozumiem!... zazdrościsz pan dwom nowym gwiazdom, które mogą zaćmić jego zasługi...

— Skromne moje zasługi nie zmniejszą się przez to, że pan dziś o dziewiątej biegał do hotelu i że chcesz włożyć na siebie kolorową koszulę...

— Racja, że skromne! — przerwał gość. — Jakies tam trzy korespondencyjki o teatrze amatorskim, o zjawieniu się ospy wietrznej u dzieci, i...

— Mniejsza o ich treść, panie Dryndulski! W każdym razie nie odrzucono mi ich, jak się to panu trafia raz na tydzień.

— Przybłędy!... brak samodzielności!... Żegnam pana Diogenesa Fajtaszkę!... — rzekł elegancki gość i protekcjonalnie kiwnął głową gospodarzowi.

— Kolorowe koszule!... wizyta o dziewiątej rano en frak!... Żegnam pana Kajetana Dryndulskiego!... — wycedził gospodarz i majestatycznie ukazał drzwi gościowi.

Takim sposobem pęk gordyjski węzeł dozgonnej przyjaźni, która przez tyle lat łączyła dwu najznakomitszych ludzi w powiecie. Złowrogi sen Diogenesa urzeczywistnił się!¹⁾

Wszelako i wówczas także, kiedy Prus posługiwał się wyłącznie niemal dowcipem i karykaturą, w sercu jego istniała uczuciowość głęboka i serdeczna. Ale przez długi czas tłumił on w sobie strunę uczuciową i z buńczuczną junakierją śmiał się i żartował, chłostał biczem satyry śmieszności i zdrożności ludzkie.

¹⁾ Z czego śmiejemy się, czytając powyższą scenę między „poetą“ i „filozofem“, kiedy z dowcipów autora, kiedy z wprowadzonych postaci? Co nas śmieszy w panu Diogenesie, co w panu Kajetanie? Czy obie te postacie moglibyśmy nazwać karykaturami?

Na następnej stronie widnieje karykatura, przedstawiająca poetę Lucjana Rydla, wykonana przez malarza Kazimierza Sichulskiego. Poeta serdecznie bawił się tą karykaturą. (Utwór Rydla pod tyt. „Wieczory“ i podobizna poety mieści się na jednej z dalszych kart tej książki).

Dlaczego rysunek Kazimierza Sichulskiego nazwiemy karykaturą? Zwrócić uwagę na tło, na postawę, na strój. Co w Rydlu obrał rysownik za przedmiot karykatury? (Przed odpowiedzią na powyższe pytania przeczytać notatkę o Rydlu, pomieszczoną przy wierszu „Wieczory“).



Karykatura poety Lucjana Rydla (według Sichulskiego).

19. Nawrócony¹⁾

przez Bolesława Prusa.

Pan Łukasz siedział zamyślony. Był to starzec wysoki, chudy, pochylony. Liczył około siedmdziesięciu lat i miał czarne, dosyć gęste włosy, upstrzone siwymi kosmykami. Nie posiadał ani jednego zęba, a śpiczasta broda zbiegała się z hakowatym nosem, co fizjognomji starca nie nadawało przyjemnego wyrazu. Okrągłe, zapadłe oczy, a nad nimi brwi krzaczaste, żółta, pomarszczona skóra na twarzy i lekkie trzęsienie głowy nie robiły go piękniejszym.

Siedział w pokoju dużym, od kilkunastu lat nieoczyszczanym, zapchanym sprzętami. Na ścianach, zasnutych pajęczyną, wisały szerniałe obrazy, na komodach i biurkach stały posążki i zegary, pokryte warstwą kurzu tak, że delikatniejsze ich linie i powierzchnie znikły. Prócz tego największego, były jeszcze dwa pokoje mniejsze, tak już zapełnione gratami, że chodzenie po nich nastroczało pewne trudności. Graty owe, niepodobne jedne do drugich, ustawione nieporządnie, ściśnięte, próchniejące, wyglądały tak, jak gdyby z różnych stron świata spędzono je do wspólnego grobu. Były między nimi niektóre, posiadające wielką wartość, inne nie warte funta kłaków. Nie mniejszą rozmaitością odznaczało się pochodzenie ich. Jedne pan Łukasz odziedziczył, drugie kupił u antykwariuszów, albo na licytacji za marne pieniądze, trzecie darowano mu, jako miłośnikowi osobiwości, inne zabrał swoim dłużnikom i niewypłacalnym lokatorom. I wszystko to zwłóczył do mieszkania: gromadził bez wyboru, ładu i końca. Nie myślał o celu swych działań, nie zdawał sobie sprawy ze skutków, tylko... zagarniał. W gonitwie za posiadaniem bynajmniej nie myślał o używaniu. Mieszkania nie odnawiał, sługi nie trzymał, jadał w najlichszych restauracjach i nigdy nie leczył się, z powodu wstępu do płacenia honorarów lekarzom.

Żona jego rychło zmarła, zostawiwszy mu kamienicę i córkę. Pan Łukasz córkę wychował jako tako i najśpieszniej wydał ją za mąż. Ale ani wesela nie sprawił, ani obiecanego posagu nie wypłacił, ani nawet kamienicy matczynej nie zwrócił. Wkońcu

¹⁾ Nowela ta uległa skróceniu; w wydaniu książkowym mieszczą się aluzje do ówczesnych stosunków warszawskich, dziś pozbawione znaczenia.

nieznośnym uporem sprawił to, że zięć wytoczył mu proces o zwrot domu. Sprawa była czysta, i pan Łukasz przegrać musiał, ale dobrowolnie nie chciał ustąpić. Będąc zasobnym i bardzo biegłym w prawie, wynajdował mnóstwo wykrętów i działał na zwłokę, w czem dzielnie pomagał mu pan Kryspin, stary adwokat. Kryspin stracił już praktykę, ale z nałogu wyszukiwał sobie klientów z najbrudniejszymi sprawami i prowadził ich procesy za liche wynagrodzenie, albo nawet za darmo. Był nie zaśniedzieć!

Przez jakiś czas pan Łukasz miał rozrywkę. Oto z kilku starymi sędziami, z pewnym prokuratorem i z adwokatem Kryspinem schodzili się codzień na preferans i przy dwu stolikach grali o liczmany. Trwało to ze dwadzieścia lat, ale wkońcu urwało się. Sędziowie i prokurator zmarli, i został tylko pan Łukasz z adwokatem... Pocieszała się nadzieja, że prędzej lub później połączą się w niebie ze zmarłymi towarzyszami i tam przy dwu stolikach grać będą całą wieczność.

Siedział tedy pan Łukasz na kanapie, machinalnie poruszał zapadłymi ustami, trząsł głową i wciąż myślał. Miał sporo kłopotów. W dniu jutrzejszym przypadała w sądzie sprawa jego z córką o kamienicę, a tu, jakby na nieszczęście, adwokat Kryspin wyjechał z Warszawy. Może nie wróci na czas i przegra?... Pan Łukasz zrana posłał do kancelarii Kryspina list z zapytaniem: kiedy adwokat wraca? Tymczasem nie odebrał odpowiedzi, choć była już druga po południu, a stary dependent Kryspina odznaczał się punktualnością.

— Co to może znaczyć?...

Taki był pierwszy kłopot, wcale nie największy. Jutro bowiem przypadała licytacja na ruchomości pewnego stolarza, który mieszkał w domu Łukasza i za kwartał komornego nie zapłacił. Otóż frasował się znowu pan Łukasz: czy niesumienny lokator nie ukrył czego i czy licytacja pójdzie dobrze, aby on odzyskał należność za komorne i jeszcze na koszt procesu?

Z tą licytacją była prawdziwa heca. Dzień w dzień przechodził do pana Łukasza ktoś z rodziny stolarza, upadał mu do nóg i błagał, jeżeli nie o darowanie długu, to przynajmniej o prolongatę. Płakano przytem i mówiono, że stolarz jest ciężko chory i że licytacja zabić go może...

Ale pana Łukasza takie rzeczy nie obchodziły. On myślał raczej o tem, że kilku dobrych lokatorów miało zamiar wyprowadzić się z jego domu, i że już jeden lokal od dwu tygodni stał pustką. Niepoczcwi ludzie oczerniali pana Łukasza. Mówili, że jest chciwy, zły gospodarz, i że, chociaż na piersiach nosi trzydzieści tysięcy rubli listami zastawnymi, przecież nie chce odnawiać mieszkań i zarywa lokatorów, ile się da. Z tego powodu tylko w ostateczności najmowano lokale w jego domu.

Zły gospodarz! — mruczał pan Łukasz. — A co to?... czy ja stróża nie trzymam? Czy co pierwszego nie zgłaszam się sam po komorne? Czy nie zmusił mnie magistrat do zaprowadzenia chodnika asfaltowego przy kamienicy?... O! jeszcze dziś gotują tę obrzydłą smołę pod oknami, a dym aż dusi... Bodaj z piekła nie wyjrżeli ci asfalcjarze, a najpierwej główny przedsiębiorca!...

I znowu mruczał w dalszym ciągu:

— Mówią, że im mieszkań nie odnawiam. A dawnoż to kazałem obmurować wspólną wygódkę?... A mało przy tem miałem zgryzoty?... Mularz hultaj zrobił źle, i aż musiałem mu nietylko wstrzymać zapłatę, ale jeszcze przyaresztować naczynia...

Teraz pan Łukasz spojrzał w kąt pokoju, aby przekonać się, czy zaaresztowane przedmioty leżą na właściwym miejscu. Rzeczywiście, zobaczył powalany wapnem szaflik, młot i kielnię. Tylko pendzla, grundwagi i linji nie było, ale to już nie z winy pana Łukasza, tylko z powodu złośliwości mularza, który rzeczy te gdzieś ukrył.

— I taki łotr — dodał po chwili pan Łukasz — śmie jeszcze grozić mi procesem, albo nachodzić mój dom i upominać się o swoje naczynia i o zapłatę!... Czysty rabuś... Strach pomyśleć, jacy niesumienni są dzisiejsi ludzie! A wszystko przez chciwość.

W tej chwili pan Łukasz powstał ciężko z kanapy i, suwając nogami, wyjrzał przez okno na ową zepsutą przez mularza wygódkę. Ale pomimo najszczerzych chęci nie mógłby powiedzieć, na czem polegało zepsucie naprawionego budynku...

Bliżej okna stał duży śmietnik, zawsze pełny i cuchnący. Na szczycie stosu słomy, papierów, skorup i tym podobnych rupieci, pan Łukasz zobaczył swój stary, okrutnie podarty pantofel, który po długiej walce z sobą, wczoraj własnoręcznie wyrzucił.

— Ej! czy ja się tylko nie pośpieszyłem zanadto z tem wyrzuceniem? — pomyślał starzec. — Pantofel zdaleka wygląda wcale dobrze... Chociaż... zostawmy go w spokoju!... Codzień musiałem go łątać, naco, jak obliczyłem bez błędu, wychodziło mi rocznie za parę rubli skrawków...

Wtem zapukano do mieszkania. Pan Łukasz odwrócił się od okna i z niemałym wysiłkiem, prędko suwając nogami, doszedł do drzwi. Otworzył w nich drewniany lufcik i przez kratę zapytał:

— Kto tam tak wali we drzwi?... Czy nie wiesz, żeś mógł je wyłamać?

— List z kancelarii pana adwokata! — odpowiedział głos z poza kraty.

Pan Łukasz prędko pochwycił pismo.

— A może co na piwo dostanę? — zapytał posłaniec.

— Nie mam drobnych — odparł p. Łukasz. — Zresztą, nie wal tak mocno we drzwi, jeżeli chcesz dostać na piwo.

Zamknął lufcik i powlókł się do okna, a tymczasem za drzwiami posłaniec wymyślał mu: A to stary kutwa! Nosi na żebrach trzydzieści tysięcy rubli, obdziera każdego i jeszcze na piwo nie chce dać. Bodaj cię z piekła wyrzucili...

— Cicho bądź, ty zuchwalcze! — odparł mu pan Łukasz i odpieczętował list.

Straszna wiadomość!... Dependent pisał, że pociąg, którym jechał adwokat Kryspin, rozbił się. Ponieważ adwokat żałował zwykle pieniędzy na telegramy, więc dependent był dotychczas w niepewności, czy pan Kryspin żyje... W każdym razie jednak — stało dalej w liście — sprawa pana Łukasza przeciw zięciowi o kamienicę jutro będzie popierana. Kryspin bowiem, jako człowiek systematyczny, naznaczył przed wyjazdem zastępcę.

— A! do licha — mruknął Łukasz. — Temu zastępcy trzeba zapłacić, gdy tymczasem poczciwy Kryspin nic nie brał!... Jeszcze może sprawę przegram i wyrzucą mnie z domu?...

Złożył list, wsunął go w kopertę i schował do biurka, mówiąc dalej do siebie:

— Pewnie Kryspin, jak zwykle, miał przy sobie wszystkie pieniądze... Jeżeli zginął w pociągu, to go niezawodnie okradną. Familji niema... Stary kawaler... Nie wołał onby to mnie taką sumę zapisać?... Miał chyba ze dwadzieścia tysięcy rubli...

Wiadomość o możliwej śmierci adwokata, w połączeniu z procesem i licytacją, które on właśnie prowadził, zrobiły na panu Łukaszu bardzo silne wrażenie. Starzec zmartwił się tak, że aż uczuł bóle reumatyczne w nogach i w głowie. Chodzić nie mógł, więc owinął głowę zabrudzonym szalikiem i położył się na łóżku. Z ulicy dolatywała go woń asfaltu, którym na koszt pana Łukasza i innych właścicieli domów wylewano chodnik. Ostry zapach drażnił starca, głowa bolała go coraz gwałtowniej. Nie mógł opędzić się myśli o losie adwokata Kryspina, który już umarł, choć miał dopiero lat sześćdziesiąt — i umarł nagle...

— Brrr!... jakże mi zimno! — mruknął. — A jeszcze ten asfalt... O, to byłby interes, gdyby mnie dym asfaltowy umorzył teraz, zaraz!... A tu proces nie rozstrzygnięty, stolarz nie zlicytowany, lokale nie wynajęte, mularz może wykraść swoje naczynia... A stróż, ten, gdybym już nie wstał, zrewiduje moje zwłoki i zabierze mi z pod kaftanika trzydzieści tysięcy rubli. A ja nie będę go mógł nawet zaskarżyć!... Czy to być może, abym ja przeżył siedmdziesiąt lat? Wydaje mi się, że dzieciństwo, szkoły, biuro, preferans, że wszystko to odbyło się wczoraj. Ale kłopoty, procesy, samotność, jakże długo ciągnęły się!...

Strach ogarnął pana Łukasza. On nigdy jeszcze tak poważnie nie myślał o życiu, nigdy nie zastanawiał się nad niem, tylko zbierał i gromadził, co mu wpadło pod rękę.

— Ej! czy te nowe, niesłychane myśli nie oznaczają bliskiego końca!...

Pan Łukasz chciał zerwać się, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Chciał zrzucić szalik z głowy, ale stracił władzę w rękę. Wkońcu chciał oczy otworzyć... Napróżno!...

— Umarłem! — westchnął, czując, że mu i usta zdrętwiały.

Gdy panu Łukaszowi wróciła przytomność, nie leżał już na swem łóżku, ale stał w jakiejś dużej sieni przed żelaznymi drzwiami. Sień była sklepiona i miała ceglana posadzkę. Przy drzwiach był ogromny zamek, przez którego dziurkę dokładnie widzieć można było mieszkanie sąsiednie.

Pan Łukasz zajrzał. Zobaczył dwie sale, jedną za drugą. W pierwszej ktoś, bardzo podobny do adwokata Kryspina, czytał wielki zeszyt aktów sądowych. W drugiej przy szafach, zapęnlonych aktami, czterej mężczyźni zdejmowali ubrania cywilne i wkładali zbyt ciasne, albo zbyt obszerne, a w każdym razie

mocno wyszarżane mundury ze złożonymi guzikami i haftem na kołnierzach.

Pan Łukasz zaniepokoił się. Ci czterej byli mu dobrze znani. Jeden z nich, kulawy, z bliznami na twarzy, bardzo przypominał sędziego, który stracił życie, spadłszy ze schodów. Ten drugi, tłusty, z krótką szyją i siną twarzą, był niesłychanie podobny do sędziego, zmarłego na apopleksję. Trzeci, chudy jak laska cynamonu, czysty szkielet, kaszlący — to sędzia, który umarł na suchoty. A czwarty — to prokurator, prokurator we własnej osobie, który ze wszystkimi kłócił się przy preferansie, wiecznie chorował na wątrobę i pod wpływem hipochondrii połknął strychniny!...

Co to znaczy?... Czyżby pan Łukasz spał i marzył?...

Starzec uszczypnął się, i teraz dopiero spostrzegł, że zamiast szlafroka ma na sobie długi, czarny surdut watowany. Coś go ukłuło w brodę. To kołnierzyk, tak mocno wykrochmalony, że w życiu podobnego nie nosił. Uczuł wkońcu, że nogi go trochę pieką. Spojrzał: ależ on ma nowe buty!... nowe i ciasne!

Nieograniczone zdumienie ogarnęło pana Łukasza. Starzec przestał rozumować, stracił pamięć, a nawet, co gorsza, obecność czterech zmarłych towarzyszy preferansa począł uważać za rzecz bardzo naturalną.

W takim nastroju ducha przycisnął wielką klamkę. Ciężkie drzwi odsunęły się, i pan Łukasz wszedł do sali, sklepionej podobnie jak sień i przypominającej izby klasztorne.

W tej chwili jegomość, czytający akta, odwrócił się od pulpitu, i pan Łukasz poznał w nim adwokata Kryspina. Prawnik zdawał się być nieco potłuczony, miał jednak cerę zdrową i minę dość swobodną.

— Więc ty żyjesz, Kryspinie? — zawołał pan Łukasz, ścisnąc przyjaciela za rękę.

Adwokat spojrzał na niego badawczo.

— Twój dependent — mówił dalej Łukasz — napisał mi, że się pociąg z tobą rozbił...

— No tak — odparł adwokat obojętnie.

Pan Łukasz zawahał się, jakby nie dowierzając swoim organom akustycznym.

— Jakże? — pytał — więc w tej katastrofie kolejowej ty zostałeś zabitym?...

— Rozumie się.

— Na śmierć?...

— Rozumie się! — odparł zniecierpliwiony adwokat. — Przecież, kiedy ci sam mówię, że zostałem zabity na śmierć, to już musi być prawda.

Pan Łukasz zamyślił się. Według ziemskiej logiki, to, co mówił jego przyjaciel, nazywało się nie „prawdą“, lecz „niedorzecznością“. W tej chwili jednak starzec uczuł w swej głowie przebliski jakiejś nowej logiki, więc adwokat, mówiący o swej śmierci w czasie przeszłym, wydał mu się zjawiskiem jeżeli nie zwykłym, to przynajmniej możliwym.

— Powiedz-że mi, mój Kryspinie — rzekł Łukasz — powiedz-że mi, a... pieniędzy nie ukradli ci?

— Bynajmniej, leżą nawet w tej sali.

I to powiedziawszy, adwokat wskazał jedną półkę, gdzie między stosem makulatury walały się listy zastawne.

Pan Łukasz oburzył się.

— Któż znowu tak robi, mój Kryspinie? Mogą ci jeszcze zginąć!... — zawołał.

— A cóż mnie to obchodzi? Listy zastawne nie mają tu żadnej wartości.

— Tylko złoto? — pochwycił Łukasz.

— Ani złoto. Bo i co nam po niem? Wikt mamy darmo, mieszkanie darmo, odzienie nie niszczy się, a preferansa grywamy o grzechy powszednie.

Pan Łukasz nie rozumiał tego, co słyszy, ale też przestał się dziwić.

— Swoją drogą — rzekł do Kryspina — złoto nawet w tych warunkach ma swoje powaby. Posiada ono blask, dźwięk...

Adwokat zbliżył się do ściany i otworzył małe żelazne drzwiczki. W tej chwili Łukasz zobaczył straszliwy blask, buchający jakby z pieca, gdzie topi się stal, usłyszał okrutne jęki tysiąca głosów i brzęk łańcuchów. Zamknął oczy i zatkał uszy. Nigdy jeszcze nerwów jego nie wstrząsnęły równie silne wrażenia.

Adwokat zatrzasnął drzwiczki i rzekł:

— To ma lepszy dźwięk i blask, aniżeli złoto. Prawda?

— Tak odparł niespokojnie Łukasz — ale złoto ma wagę i trwałość.

Kryspin przez chwilę milczał smutnie.

— Łukaszu — rzekł nagle — podaj-no mi moją rękawiczkę. Leży na tym pulpicie.

Łukasz chwycił prędko czarną rękawiczkę zwyczajnych rozmiarów, lecz w tej chwili rzucił ją na ziemię. I — niesłychana rzecz! — drobny ten przedmiot upadł z łoskotem kilkusetfuntowej bryły żelaza.

— Co to znaczy? — zapytał przerażony.

— To, widzisz, jest materiał, z którego mamy odzienie. Krawat i rękawiczki ważą po pięćset funtów, buty po dwa tysiące funtów, surdut około stu tysięcy funtów i tak dalej!... Mamy zatem dosyć owej wagi, która ci się tak podoba w złocie.

Powiedzieliśmy, że pan Łukasz od chwili wejścia do tej sali nie dziwił się niczemu, tylko nic nie rozumiał. Obecnie począł nawet coś rozumieć, stopniowo coraz jaśniej, ale uczuł zarazem strach, z początku mały, potem większy, a nareszcie dosyć wielki. Aby więc rozprószyć swoje wątpliwości, a z niemi obawy, zapytał pocichu adwokata, ścisnąwszy go czule za rękę:

— Kochany Kryspinie, powiedz mi, gdzie... niby gdzie... ja jestem?

Adwokat wzruszył ramionami.

— Czy jeszcze nie domyśliłeś się, że jesteś za grobem, tam, gdzie zmarli zamieniają żywot doczesny na wieczny?

Pan Łukasz otarł pot z czoła.

— Nieszczęście! — zawołał — a toć ja zostawiłem dom i mieszkanie bez dozoru...

W sąsiedniej sali rozległ się głos dzwonka.

— Kto tam jest? — zapytał nagle Łukasz.

— Nasi preferansowi towarzysze: sędziowie i prokurator.

— Więc możemy zrobić pulkę? — rzekł nieco weselej Łukasz. — Widziałem tam nawet stół...

Kryspin jednak był mniej wesoły.

— My tu robimy pulki — odparł — ale z tobą musimy naprzód załatwić czynność urzędową. Dowiedz się, że tamci panowie tworzą sąd szczegółowy, który zbada całe twoje życie i zakwalifikuje cię do pewnej kategorii piekła. Ja jestem twoim

adwokatem, rozpatrzyłem się w aktach i obawiam się, czy będziesz mógł zasiąść z nami do puli!...

Gdyby teraz pan Łukasz miał przed sobą lustro, przekonałby się, że istotnie jest trupem — tak zmizerniał, wysłuchawszy adwokata.

— Kryspinie! — rzekł nieszczęśliwy, drżąc całym ciałem — więc wy jesteście w piekle?

— Bah!

— I ja mam być w piekle?...

— Och!... — mruknął adwokat, jakby zdziwiony pytaniem.

— A jakimże prawem wy mnie sądzicie?

— Tu, widzisz, jest taki zwyczaj, że hultaje sądzą hultajów — odparł Kryspin.

— Mój kochany — rzekł Łukasz, składając ręce — więc kiedy tak, to osądźcież mnie do tego oddziału, w którym sami bawicie!...

— My tylko tego pragniemy — odpowiedział adwokat — ale...

— Co ale?... Jakie ale?

— Musisz dowieść sądowi, że w ciągu życia spełniłeś choć jeden czyn... bezinteresownie.

— Jeden? — zawołał pan Łukasz. — Chyba sto, tysiąc... Ja całe życie postępowałem tylko bezinteresownie.

Kryspin z powątpiewaniem pokiwał głową.

— Mój Łukaszu — rzekł — ja z twoich aktów bynajmniej nie widzę tego. Gdybyś, jak mówisz, całe życie postępował bezinteresownie, to nie dostałbyś się do naszego towarzystwa, które w czwartym departamencie piekła tworzy ósmą sekcję jedenastego oddziału.

W sąsiednim pokoju odezwał się dzwonek po raz drugi. Jednocześnie Łukasz usłyszał gruby głos sędziego, który zmarł na apopleksję: Czy nowoprzybyły już gotów?

— Chodźmy! — rzekł adwokat, biorąc Łukasza pod rękę.

Weszli. Sąd siedział w komplecie, ale żaden z jego członków nawet kiwnięciem głowy nie powitał Łukasza...

Zabrał głos prokurator.

— Dostojni sędziowie! — rzekł, wskazując na Łukasza. — Ten oto człowiek, jak wam z dokumentów wiadomo, przez ciąg siedmdziesięciu lat, spędzonych na ziemi, nikomu nie zrobił nic dobrego, a wielu krzywdził. Za takie postępowanie wyrokiem

wyższej instancji zakwalifikowany został do jedenastego oddziału w czwartym departamencie piekła. Obecnie zaś chodzi o to tylko, czy ma być przyjęty do naszej sekcji, czy do innej, a może... posłany gdzie dalej. Zależy to od jego osobistych zeznań i dalszego postępowania. Czy adwokat obwinionego ma co do powiedzenia?

Nigdy jeszcze pan Kryspin nie okazał tyle adwokackich przymiotów, co przy obronie dzisiejszej. Gmatwał sprawę, kręcił i kłamał tak znakomicie, że aż w zakratowanych oknach sali ukazały się zdziwione twarze djabłów.

— Skończyłem, panowie! — rzekł wreszcie.

— I zrobiłeś pan bardzo dobrze — odezwał się prokurator. — A teraz zechciej nam wymienić jeden, jedyny czyn, któryby obwiniony spełnił w życiu bezinteresownie.

Wymowny adwokat umilkł i zagłębił się w rozpatrywaniu dokumentów. Widocznie nie miał już nic do powiedzenia.

Stan sprawy Łukasza był tak smutny, że wzruszył nawet prokuratora.

— Obwiniony! — zawołał oskarżyciel. — Czy nie przypominasz sobie choć jednego bezinteresownego czynu w życiu, byle dobrego?...

— Sędziowie! — rzekł pan Łukasz z głębokim ukłonem. — Kazałem przed domem wylać chodnik asfaltowy...

— Za który na dwa tygodnie pierwszej podniosłeś komorne lokatorom — przerwał prokurator.

— Odnowiłem wygodkę!...

— Tak! ponieważ zmusiła cię do tego policja.

Łukasz pomyślał.

— Ożeniłem się!... — rzekł po chwili.

Ale prokurator tylko machnął ręką i surowo zapytał:

— Czy nic już więcej nie masz do powiedzenia?

— Panowie sędziowie! — zawołał Łukasz, bardzo już przestraszony. — Ja wiele w życiu spełniłem czynów bezinteresownych, ale jestem stary... pamięć mi nie dopisuje...

Teraz adwokat zerwał się, jakby go pokropiono święconą wodą.

— Sędziowie! — rzekł — obwiniony ma rację. Poszukawszy, znalazłby niewątpliwie w życiu swem niejedną czyn piękny, bezinteresowny, szlachetny, ale cóż, kiedy go pamięć opuściła?...

Dlatego proszę, a nawet domagam się, ażeby sąd, ze względu na wiek i przestach obwinionego, nie ograniczał się jego zeznaniami, lecz... poddał go próbom, które w całym blasku okażą wszystkie wniosłe jego przymioty...

Zgodzono się na projekt, i sąd począł naradzać się nad rodzajem próby. Pan Łukasz tymczasem odwrócił głowę i spostrzegł za sobą nową jakąś figurę. Był to niby woźny sądowy, ale z miną tego pokątnego doradcy, który miał na ziemi słynny proces o kradzież, oszustwo i przywłaszczenie sobie tytułów.

— Zdaje mi się, że mam przyjemność znać pana dobrodzieja? — rzekł Łukasz, wyciągając do woźnego rękę.

Woźnemu oczy zaiskrzyły się, i już chciał chwycić rękę Łukasza, gdy nagle pan Kryspin odtrącił go, mówiąc:

— Dajże pokój, Łukaszu!... Toż to djabeł!... Dopierobyś dobrze wyszedł, gdyby cię raz złapał!...

Pan Łukasz bardzo się zmieszał, począł uważniej oglądać tę nową figurę, a nareszcie szepnął do adwokata:

— Jak też ludzie we wszystkim przesadzają! Mówiono mi zawsze, że djabeł ma rogi, tak wielkie jak stary kozieł, a ten przecie nie ma większych, niż młode cielę. Ledwie mu guzy znać...

W tej chwili sąd przywołał do siebie adwokata. Prezydujący szepnął mu coś, i wnet potem Kryspin rzekł głośno do Łukasza:

— Czy zrobiłeś kiedy w życiu jaką ofiarę, na przykład na cel dobroczynny?

Łukasz zawahał się.

— Niedobrze pamiętam — odparł — mam już lat siedm-dziesiąt...

— A czy nie miałbyś ochoty teraz zrobić podobnej ofiary? — pytał adwokat i znacząco mrugnął.

Pan Łukasz wcale nie miał ochoty, ale, spostrzegłszy owo mrugnięcie, zgodził się.

Podano mu papier i pióro, a pan Kryspin rzekł:

— Napisz deklarację, tak, jakbyś ją pisał do Kurjera.

Pan Łukasz usiadł, pomyślał, napisał i oddał kartę.

Prokurator czytał:

— Od Łukasza X., właściciela domu... na ulicy... pod numerem... rubli srebrem trzy (3) składa się na cel dobroczynny.

Tamże znajdują się narzędzia mularskie do sprzedania, tudzież różne lokale do wynajęcia po cenach umiarkowanych“.

Usłyszawszy taką deklarację, sąd osłupiał, adwokat przygryzł wargi, a djabeł aż się za boki brał ze śmiechu.

— Obwiniony! — krzyknął prokurator. — Tyś napisał reklamę dla swego domu, nie zaś deklarację. Kto robi ofiarę na cel dobroczynny i robi ją bezinteresownie, ten nie może jednocześnie załatwiać spraw majątkowych.

Po tej nauce podano Łukaszowi inny papier. Nieszczęśliwy, drżąc z trwogi, usiadł i napisał: „Od nieznanego dla ubogich kopiejek... piętnaście“. Ale wnet przemazał wyraz piętnaście i napisał pięć.

Sąd odczytał deklarację, sędziowie pokiwali głowami, ale zgodzili się, że jak dla Łukasza, to i taka ofiara, byle bezinteresowna, wystarczy. Wtem odezwał się djabeł:

— To w jakim celu dałeś pan, panie Łukasz, te pięć kopiejek na ubogich?...

— Za zbawienie grzesznej duszy mojej, panie dobrodzieju! — odparł Łukasz.

Djabeł znowu wybuchnął śmiechem, sędzia prezydujący uderzył pięścią w stół, a adwokat począł rwać sobie włosy.

— Ach, ty stary ośle! — zawołał Kryspin na pana Łukasza. — Słyszałeś przecie, że masz zrobić ofiarę bezinteresowną, a więc ani na ogłoszenie o lokalach, ani nawet na zbawienie duszy!... Ale ty widać taki jesteś chciwy, że pięciu kopiejek nie możesz poświęcić dla ubogich bez żądania nagrody, i jeszcze takiej, jak zbawienie!...

Teraz sędziowie powstali ze swych miejsc. W ich groźnych i smutnych spojrzeniach pan Łukasz czytał dla siebie jakiś straszny wyrok.

— Woźny! — rzekł prezydujący. — Wyprowadź obwinionego do ostatniego kręgu piekła!

Ale djabeł machnął ręką.

— A nam co po takim pensjonarzu — rzekł — który własną duszę ocenia tylko na pięć kopiejek?

— Cóż my z nim zrobimy? — spytał prokurator.

— Co się panom podoba! — odparł djabeł, pogardliwie wzruszając ramionami.

— Więc zróbmy jeszcze jedną próbę — pochwycił adwokat.

I, zbliżywszy się do prezydującego, coś z nim poszeptał. Prezydujący naradził się z innymi sędziami i rzekł:

— Obwiniony! Między nami pozostać nie możesz, djabeł przyjąć cię nie chce, boś sam za nisko otaksował swoją duszę. Skazujemy cię na ostatnią próbę. Oto dusza twoja wejdzie w ten stary pantofel, który przed kilku dniami wyrzuciłeś na śmietnik... Dixi!

Pan Łukasz zdań o duszy słuchał obojętnie, ale gdy wspomniano o pantoflu, zainteresował się. W tej chwili djabeł popchnął go ku zakratowanemu oknu sali sądowej: starzec wyrzwał i — o dziwy!...

...Zobaczył podwórko swojej kamienicy, okno swego mieszkania (po którym ktoś obecnie chodził), nareszcie śmietnik, a na jego szczycie swój pantofel.

— Ej! — mruknął — czy ja się tylko nie pośpieszyłem z wyrzuceniem jego?... Chociaż za dużo kosztowały reperacje...

Na podwórzu ukazała się żebraczka nędzna, obdarta. Jedną nogę miała owiniętą w brudne łachmany i mocno kulała. Rozejrzała się po oknach, widocznie z zamiarem proszenia o jałmużnę. Ale, że jakoś nikt nie wyglądał, więc zwróciła się ku śmietnikowi, myśląc, że choć tam co znajdzie. Spozregła pantofel Łukasza. Z początku wydał się jej bardzo zły. Że jednak nie było nic lepszego pod ręką, a chora noga widać bardzo jej dokuczała, więc... wzięła pantofel.

Pan Łukasz nie przeoczył ani jednego ruchu z tej sceny. Gdy zaś zobaczył, że uboga bierze pantofel i wychodzi z nim z podwórka, zawołał:

— Hej! hej! kobiecino, to mój pantofel!...

Żebraczka obejrzała się i odparła:

— A cóż wielmożnemu panu po takim łachu?

— Łach, czy nie łach, ale zawsze on mój. Darma go brać nie wypada, bo to wygląda na kradzież. Więc jeżeli nie chcecie mieć grzechu, to... zmówcie paciorki za duszę Łukasza!...

— Dobrze, panie! — rzekła baba i poczęła mruczeć pacierze.

— Jednakże ten pantofel miał jeszcze wielką wartość! — pomyślał Łukasz. A potem dodał głośno:

— Kobieto! kobieto!... Kiedy już wam darowałem takie obuwie, to zobaczcie przynajmniej, kto tam chodzi po moim mieszkaniu...

— Dobrze, panie! — odparła baba i poszła na górę, ciężko utykając.

Po upływie kilku minut wróciła i rzekła:

— Nie wiem, panie, kto chodzi, bo mi drzwi nie chcieli otworzyć!... Niech będzie pochwalony...

Zabierała się do odejścia, ale pan Łukasz jeszcze nie dał jej spokoju.

— Matko! matko!... — zawołał. — Za taki porządny pantofel moglibyście sprowadzić mi tu stróża.

— A gdzie on jest? — spytała baba.

— Pewnie na ulicy, tam, gdzie robią chodnik.

— Tam go niema, widziałam przecie.

— To może poszedł po wodę koło Zygmunta. Sprowadźcie go, jakeście pocziwi!...

— Mam lecieć do Zygmunta za ten pantofel? — zapytała baba.

— Rozumie się! — odparł Łukasz. — Przecie nie darmo.

Baba, choć nędzna, oburzyła się.

— O, ty kutwo! — krzyknęła — a weźże sobie ten łach do piekła...

I rzuciła pantofel z taką siłą, że przeleciał przez kratę, świsnął nad głową panu Łukaszowi i upadł na stół, okryty zielonym sukniem.

Pan Łukasz obejrzał się.

Za nim stał sąd w całym komplecie, a zgryźliwy prokurator, zobaczywszy pantofel na stole, rzekł:

— Oto corpus delicti, materialny dowód nieograniczonej chciwości tego niegodziwca Łukasza.

A potem, zwracając się do adwokata i stojącego za nim diabła, dodał:

— Róbcie z obwinionym, co chcecie. Nam już go ani sądzić, ani skazywać nie wypada!

Dostojnicy zmienili swoje urzędowe uniformy na cywilną odzież, w której ich pochowano, i wyszli, nie patrząc nawet na Łukasza. Tylko sędzia, który umarł na apopleksję i zawsze był prędki, przestąpiwszy próg sali, plunął ze wzdrgną. Diabeł śmiał się, jak opętany, a adwokat Kryspin o mało nie rzucił się z pięściami na Łukasza.

— O, ty egoisto! chciwczel!... — zawołał. — Zakłęliśmy duszę twoją w ten stary pantofel, myśląc, że choć w takiej powłoce odda ona komu usługę bezinteresowną. I stało się to, czegośmy pragnęli: żebraczka znalazła pantofel, miałaby choć na godzinę pożytek z niego, a ty spełniłbyś mimowoli czyn moralny. Ale gdzie tam!... Chciwość twoja jest tak wielka, żeś wszystko zepsuł... Nawet zgubiłeś na wieki pantofel, który, raz ożywiony przez taką nędzną duszę, musi obecnie iść do ostatniego kręgu piekła!...

Rzeczywiście diabeł zdjął pantofel ze stołu i rzucił go w luft, z którego wylatywały straszne płomienie, skąd rozlegały się jęki i brzęk łańcuchów.

— A co z nim zrobisz? — zapytał diabeł adwokata, wskazując Łukasza nogą.

— Z tym egzemplarzem?... — odparł diabeł. — Wyrzucę go z piekła, ażeby nas nie kompromitował!... Niech wraca na ziemię, niech na wieki wieków dusi swoje listy zastawne i banknoty, niech trzyma kamienicę, niech licytuje biednych lokatorów i krzywdzi własne dzieci. Tu zagnoiłby piekło swoją wstrętną osobą, a tam, krzywdząc ludzi, może nam oddać usługi.

Pana Łukasza, gdy słuchał tego, opanowały myśli ponure.

— Za pozwoleniem! — spytał — więc gdzież ja ostatecznie będę?

— Nigdzie! — odparł z gniewem adwokat. — O niebie ani czyśćcu sam chyba nie myślisz, a z piekła, mimo całej naszej protekcji, wyrzucają cię. No — dodał — bywaj zdrów i złam kark!...

I ażeby nie podać ręki panu Łukaszowi, schował obie ręce do kieszeni i wyszedł.

Pan Łukasz stał osłupiały i stałby tak przez całą wieczność, gdyby diabeł nie wykrzyknął, potrąciwszy go obcasem:

— Ruszaj, stary!...

Wyszli z gmachu sądowego na ulicę i biegli prędko, zgraja bowiem uliczników piekielnych, zobaczywszy ich, poczęła wrzeszczeć:

— Patrzcie! patrzcie!... tego kutwę Łukasza wyprowadzają ciupasem z piekła...

Diabeł mało nie spłonął ze wstydu, że musi towarzyszyć podobnemu nędznikowi..., a gdy krzyki zgrai nie ustawały, nie mógł już dłużej wytrzymać. Nigdy jeszcze jego cierpliwej dumy

nie wystawiono na podobne szykany. Stracił zimną krew i schwytał Łukasza za kołnierz. Napół umarły z trwogi egoista uczuł tak silne kopnięcie, że wyleciał w powietrze z prędkością kuli armatniej. Nie mógł prawie tchu złapać...

Silny ból otrzeźwił pana Łukasza. Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że leży na podłodze, przy łóżku. Szlafrok miał rozrzucony, jakby skutkiem gwałtownych ruchów, a szalik spadł mu z głowy i zwiesił się z poduszki.

Starzec dźwignął się z trudnością. Rozejrzał się. To jego własne łóżko, jego mieszkanie i jego szlafrok. Te same sprzęty i tensam zapach asfaltu, którym wylewają chodnik przed domem.. Rzucił okiem na zegar. Szósta — i mrok już zapełnia pokój. Jest więc szósta wieczorem. Ostatnia zaś godzina, jaką słyszał, była trzecia... Co robił od trzeciej do szóstej?... Chyba spał... Tak jest; niezawodnie spał, ale jakież przykre sny go dręczyły!... Sny?... Juźci, chyba, że sny... Niezawodnie, że sny!... Piekło, jeżeli istnieje, musi wyglądać całkiem inaczej, a jego towarzysze preferansowi nie pełnią tam prawdopodobnie obowiązku sędziów... W każdym jednak razie sen ów był dziwny, dziwnie jasny, jakby proroczy, i głęboko wrył się w umyśle pana Łukasza.

Ale czy to był sen?... Jeżeli sen, to w takim razie dlaczego pan Łukasz doświadcza w okolicy krzyża tępego bólu, jakby od uderzenia djabelskim kolaniem?... Sen?... Nie sen!... Sen!... Nie sen!... — powtarzał sobie starzec i, dla ostatecznego sprawdzenia swoich wątpliwości, powlókł się do okna, włożył okulary i uważnie począł przypatrywać się śmietnikowi. Widział tam słomę, papiery, skorupy, ale między nimi pantofla nie było... Gdzież pantofel?... Rozumie się, że w piekle!

Pana Łukasza ciarki przebiegły. Otworzył lufcik i krzyknął do zamiatającego stróża:

— Józef! A gdzie podział się ze śmietnika mój pantofel?

— A podniosła go jakaś baba — odparł stróż.

— Cóż to za baba? — pytał starzec, coraz bardziej zaintrygowany.

— Jakaś biedna warjatka. Wciąż gadała do siebie, modliła się za dusze zmarłe i nawet kołatała do pańskiego mieszkania — mówił stróż.

Panu Łukaszowi robiło się naprzemian zimno i gorąco, ale pytał dalej:

— Jakże ona wyglądała? Poznałbyś ją?...

— Cobym nie miał poznać. Miała jedną nogę owiniętą w gałgan i bardzo kulała.

Pan Łukasz zaczął zębami szczekać.

— I czy ona wzięła z sobą pantofel?

— Z początku wzięła — mówił stróż — ale potem zaczęła kogoś kłać i tak gdzieś rzuciła pantofliskiem, że go znaleźć nie można. Jakby się w piekło zapadł!... Choć, co prawda, niema czego żałować, bo już był wielki gałgan...

Ale pan Łukasz nie słuchał końca mowy Józefa. Gwałtownie zamknął lufcik i prawie bez sił padł na starą kanapę, mruczając:

— Więc to nie był sen!... To była rzeczywistość!... Więc istotnie wypędzono mnie nawet z piekła!... Odtąd — szeptał dalej — do końca świata będę żył w tej kamienicy, między temi gratami, nosząc na piersiach listy zastawne, które tam... nie mają żadnej wartości... I co mi po tem?...

Pierwszy raz w życiu pan Łukasz zadał sobie pytanie: co mu po tem? Co mu po tej kamienicy, w której niema wygody? po sprzętach i gratach, próchniejących w natłoku? nareszcie co po pieniądzach, za które nigdy nic nie użył i które nic nie znaczą wobec wieczności? A wieczność już się zaczęła dla niego!... Wieczność jednostajna i strasznie nudna, bez zmian, nadziei, a nawet niepokojów. Za rok, za sto i za tysiąc lat pan Łukasz będzie nosił na piersiach listy zastawne, a skryte szuflady biurek będzie napełniał bankocetłami, srebrem i złotem, skoro tylko wpadną mu do rąk. Za sto i za tysiąc lat będzie posiadał swoją ponurą kamienicę, wiecznie będzie patrzył na te sprzęty. O czym pomyślał, na co spojrzał, wszystko przypominało mu karę wieczną, straszną tem, że była niezmienna, nieruchoma, jakby skamieniała... Zdawało mu się, że paka listów zastawnych pali mu piersi. Wyjął je więc z pod kaftanika i rzucił do komody. Ale i tam nie dawały mu pokoju.

— Co mi po nich? — szeptał — Mam je, i straszna rzecz! nie uwolnię się od nich nigdy...

W tej chwili zapukano do drzwi.

Wbrew zwyczajowi, pan Łukasz, nie uchylając lufcika, otworzył i zobaczył mularza.

— Zlituj się wielmożny pan — błagał mularz, trzymając pokornie czapkę w ręku, — i oddaj mi moje statki. Ja tam procesować się z panem nie będę, bom ubogi. Bez statków roboty nie dostanę, a na kupienie nowych nie mam pieniędzy...

— A weź sobie twoje statki, tylko je prędko wynoś! — krzyknął pan Łukasz, kontent, że pozbędzie się choć szaflika.

Istotnie mularz bardzo prędko wyniósł statki do sieni, ale zdziwienia ukryć nie mógł. Patrzał na pana Łukasza, miętosząc czapkę, a pan Łukasz patrzał na niego.

— No, czy ci brakuje czego? — zapytał starzec.

— Już ci brakuje mi... zapłaty za robotę — odparł zapytany nieśmiało.

Pan Łukasz poszedł do biurka i wysunął jedną z licznych szufladek.

— Ile ci się należy?...

— Pięć rubli, wielmożny panie. A co ja miałem straty, żem robić przez ten czas nie mógł!... — mówił mularz, chcąc prędzej wydobyć pieniądze.

— Ileżeś miał strat?... Tylko mów prawdę — spytał pan Łukasz.

— Chyba ze sześć rubli — odparł mularz, myśląc z obawą, czy też stary zwróci mu jego należność.

Wnet jednak przekonał się z największym zdumieniem, że pan Łukasz wypłacił mu jedenaście rubli, jak orzech zgryzł... Nie chciał wierzyć własnym oczom, oglądał pieniądze i błogosławił pana Łukasza. Ale starzec prędko zamknął przed nim drzwi, mrużąc do siebie:

— Chwała Bogu, żem się choć pozbył szaflika i jedenastu rubli... Byle tylko nie wróciły...

Niebawem zapukano po raz drugi. Pan Łukasz znowu drzwi otworzył i spotkał się oko w oko z żoną stolarza.

— Panie! — zawołała kobieta, klękając na progu — po raz ostatni błagam cię: nie licytuj nas. My się później wypłacimy... Ale dziś, czy pan wie, że nie mam ani na doktora dla chorego męża, ani nawet na łyżkę strawy dla niego i dla dzieci...

I, mówiąc, płakała tak żałośnie, że starzec uczuł ból w sercu. Pobiegł do biurka, wyjął stamtąd dwa ruble i, wciskając je w ręce kobiecie, rzekł:

— No, no!... niech pani nie płacze. Tu ma pani trochę pieniędzy na najpilniejsze rzeczy, a później... dodam więcej... Licytację odwołam, w mieszkaniu was zostawię i pomagać będę, byleście tylko... uciekali się do mnie w razie rzeczywistej potrzeby, bez żadnych zachcianek do wyzyskiwania starego człowieka.

Stolarzowa oniemiała i patrzyła na pana Łukasza błędniem oczyma. On odsunął ją lekko od progu, zamknął drzwi i szepnął, jakby się sprzecząc z kimś: — Otóż nie będzie licytacji, ani jutro, ani nigdy!... A swoją drogą znowu ubyły dwa ruble. To już trzynaście...

Wnet jednak wzięły górę nad nim smutne myśli. Każdy bowiem przedmiot, stojący w pokoju, a było ich bardzo wiele, ranił go jak sztylet. — Kto zechce wziąć te graty? — mówił do siebie. — Czy ja będę mógł wyprowadzić się kiedy stąd, kiedy już taka klątwa wisi nade mną, że muszę całą wieczność przepędzać w tym domu!...

Pan Łukasz był jakiś znużony, więc zapalił świecę, rozebrał się i legł spać. Zasnął twardo, bez marzeń. Ale następnego poranku przypomniał sobie piekielne widzenia, jednostajną wieczność, brak celu w życiu — i posmutniał. Stróż przyniósł mu bułkę i trochę gorącej wody. Pan Łukasz przyrządził sobie herbatę, wypił ją i znowu medytował nad swem nieszczęściem. W południe ten sam stróż zaopatrzył go obiadem z taniej kuchni i wyszedł, nic nie mówiąc. Pan Łukasz był pewny, że już dziś nie zobaczy twarzy ludzkiej...

Wtem około czwartej począł ktoś gwałtownie dobijać się do drzwi. Pan Łukasz otworzył i o mało nie padł na ziemię. Przed nim stał adwokat Kryspin.

Starzec, nie mogąc myśli zebrać, milczał. Adwokat zaś był jakiś niezadowolony. Wszedł na środek pokoju i rzekł pochmurnie:

— No, ciesz się!... Wygrałeś sprawę, ale przed trybunałem boskim!...

Szalona radość opanowała starca.

— Ja wygrałem sprawę przed trybunałem boskim?... — zawołał. — Jakim sposobem?... Więc mnie już nie wyrzuca z piekła?

— Czyś zwarjował, Łukaszu?... — spytał adwokat zdziwiony.

— Słyszę przecie, co mówisz...

— Kiedy mówię, — rzekł adwokat — żeś wygrał sprawę przed trybunałem boskim, to znaczy, żeś ją przegrał w sądzie ludzkim, i że albo musimy wynaleźć kruczek do nowego procesu, albo oddać twojej córce ten dom... Rozumiesz?...

Pan Łukasz począł trochę rozumieć.

— Trybunał boski... trybunał boski... — mruczał starzec, a potem nagle zapytał adwokata:

— Za pozwoleniem!... Wiącaś ty nie zginął w tym pociągu, który się rozbił?...

— Ja nim nawet nie jechałem. Ale co ty mówisz, Łukaszu?

— Zaraz! — przerwał mu starzec. — Więc nie zabiłeś się i nie byłeś w piekle?...

Do pokoju wpadł stróż, trzymając w ręku pantofel.

— Panie! — zawołał — jest pantofel, znalazłem go za beczką...

Pan Łukasz obejrzał swój pantofel i nie mógł dostrzec na nim ani śladu ognia.

— Więc i mój pantofel nie był w piekle?... — szeptał starzec.

— Ty masz bzika, Łukaszu! — krzyknął rozgniewany adwokat. — Ja ci mówię, żeś przegrał proces, a ty mi pleciesz o piekle.

— Widzisz, miałem wczoraj dziwny i przykry sen...

— Co tam! — przerwał Kryspin — sen mara, Bóg wiara!... Teraz nie o sny chodzi, ale o to: czy wynosisz się z kamienicy, czy dalej procesujesz się z córką?

Pan Łukasz zamyślił się. Myślał, rozmyślał, rozważał, nareszcie rzekł stanowczo:

— Proces!...

— Tak, to rozumiem! — odparł adwokat. — Ale, ale!... Była dziś u mnie stolarzowa i powiedziała, że odwołujesz licytację na ich ruchomości. Czy to prawda?...

Pan Łukasz aż skoczył.

— A niechże Bóg broni! — wykrzyknął. — Wczoraj byłem trochę rozstrojony, obiecałem, że cofnę licytację i nawet (wstyd mi wyznać!) dałem babie dwa ruble... Ale dziś jestem już zupełnie trzeźwy i uroczystie odwołuję wszystkie nierozsądne obietnice.

— No tak! — rzekł adwokat z uśmiechem, ściskając Łukasza za rękę. — Teraz poznaję cię... Bo kiedyś tu wszedł, wydawałeś mi się jakby innym człowiekiem!

— Ten sam, ten sam do śmierci!... Zawsze twój Łukasz!... — odparł rozrzuwiony starzec. — Żal mi tylko trzynastu rubli, które pozwoliłem sobie wydrwić.

Po tej odpowiedzi obaj panowie ucałowali się serdecznie.

W jakim nastroju znajdujemy się podczas czytania powyższej noweli? Czy postaci takie, jak pan Łukasz, gdy spotykamy je w życiu, budzą w nas wesołość czy inne uczucie? Dlaczego z pana Łukasza się śmiejemy? Czy nigdy z nim nie współczujemy? Kiedy i litujemy się nad nim i bawimy się nim równocześnie? Czy moglibyśmy powiedzieć, że wówczas uśmiejemy się „przez łzy”? Która jeszcze z postaci przedstawia nam się jako śmieszna? Dzięki czemu? Dlaczego rozwesela nas obraz piekła i sądu? — W jakiej mierze na marzenie senne Łukasza złożyły się jego przeżycia? Czy mieści się coś w jego wizji sennej, coby nie miało odpowiednika w przeżyciach? Czy wolno wnosić z wizji, że na jawie miewał Łukasz chwile, w których zdawał sobie sprawę z ujemnych stron swego charakteru? — Co mówi tytuł noweli o stosunku autora do przedmiotu? Czy w samej noweli nie znajdziemy powiedzeń autora, któreby rzucały światło na ten stosunek? — Czy moglibyśmy określić rysunek postaci Łukasza przez Prusa mianem karykatury? W których znanych nam utworach stosunek autora do pewnej postaci czy pewnych postaci przypomina stosunek Prusa do pana Łukasza?

20. Z poematu p. t. »Zachwycenie«¹⁾

przez Teofila Lenartowicza.

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,

Same jabłonie i wielkie grusze;

Na nich najczystsze umarłych dusze,

Za dobry żywot, za świętą cnotę

Poprzemieniane w owoce złote,

Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,

W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą.

Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,

Bo zaraz lecą w górę do nieba.

Potem widziałam jasne niebiosy,

Ową pszenicę z złotymi kłosy,

Co się pochyla pod boże nóżki —

Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.

Potem widziałam przeróżne kwiatki,

Te w bożych łąkach prześliczne bratki,

Co się na ziemi bardzo kochali,

A potem w niebo powyrastali.

— Mateńko moja, proszę ci ja ciebie,

Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...

Co robi w niebie gwiazda zaranna,

Królowa nasza, Najświętsza Panna?...

— O! moje dziecko, o! kochające,

Jezus owieczki pasie na łące,

Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,

I nie boją się, takie łaskawe.

A to są dusze błogosławione,

Które cierniową zniosły koronę.

Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy

Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;

I jużby wszystkie dzieci sieroty

Miały koszulki z owej roboty,

Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,

Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,

Tych srebrnych nitek babiego lata,

Co się na naszych płotach oplata.

¹⁾ Letarg nazywają u nas zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jej o tem mówić po ocknieniu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnymi, jakimi są małe dzieci. Wedle podania ludu każdy, który był w letargu, wie godzinę swojej śmierci i nato tylko ma sobie przedłużone swoje życie, ażeby się do wieczności przygotował. (Przypisek autora).

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami;

A słysząc ludzi proszących głosy,

Z litości płaczą kroplami rosy;

Rosa opada na obszar ziemi,

I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też, jak u nas, matulo droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?

Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,

jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O jeszcze piękniej, jeszcze weselej;

Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzież się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni

I nasi ludzie — w rumianej zorzy,

We łzach radości, w miłości bożej...

— Matulo moja, powiedzcie ino,

Widać tam naszą wioskę jedyną?

Naszą chałupę, bydło na smugu,

Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?

Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,

I tego dziada, co przy kościele

Siedzi i w górę wyciąga ręce,

Na małym wzgórku przy bożej męce?

— O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,

Wiedzą tam dobrze o każdej duszy!

Jeżeli ludzie w grzechy popadną,

To zaraz z żalu anioły bladną;

A ile razy dobrzy, cnotliwi,

To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcież teraz, mateńko droga,

Co tam jest więcej u Pana Boga?

— Potem widziałam, strasznej wielkości

Dwóch archaniołów stało w jasności,

Trzymając wielką księgę otwartą;

A Piotr apostoł karta za kartą

Przewracał zwolna z smutkiem głębokim

I patrzył na świat żalosnym wzrokiem.

Bo w owej księdze wszystko tam stoi,

Co tylko człowiek na świecie zbroi:

I co się stało i co się stanie,

Jest o tem w niebie jasne pisanie.

Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —
— Słuchajcie ino, matulo droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.
— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc, o moje dziecko,
Iść tam potrzeba przez całe życie.
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasných,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.
— Toście wy dużo, matko, widzieli
I pewniebyście wrócić tam chcieli:
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.
— O! ty zostaniesz, małe pacholę:
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody?
Krasiatą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak, moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę...
— Ej, co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiej, jak też to było,
Jak się błękitne niebo skończyło?

II.

— Z nieba do czyścica spadziśta drogą
Schodziłam zwolna niepewną nogą;
Tam koło płota stawa tęsknota,
Każda duszyczka istna sierota;
Oczy przymknięte, usta się zwarły;
Te, co już bardzo dawno pomały,

85

90

95

100

105

110

115

120

5

Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz, jakby uśmiech był grzechem,
Ciemniej lica, chyłą się głowy,
I rozchodzą się biedne niemowy.
Dokoła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie, jak zajrzeć, długo, szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza.
Po polu wichur przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biedne duchy.
— To te dmszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojej na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słońcie leży?...
— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie, jak nasza,
I takie wody, i takie pola,
Ale im do nich wrócić nie wola.
— Cóż one robią, czem się tam bawią?
— Chodzą po grudzie i nogi krwawią.
A inne proszą rzewnymi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurnem polu
Jawi się anioł cichego bólu
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew złata.
A na ten widok okrutnej męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją
I przed aniołem wylękle stoją;
A potem jakby wróble spłoszone
Lecą powietrzem w pole zamglone.
— To dla nich nigdy słońce nie świeci?
— Czasem maleńki promyczek zleci;
Gdy ludzie mówią Zdrowaś Maryja,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którym gromada duchów się grzeje.
— Teraz co więcej?...
— O dziecię lubie!
Szląm coraz dalej przeze mgły grube,
Gdzie bardziej drżące i więcej smutne
Siedzą w swych duchnach¹⁾ dusze pokutne.

10

15

20

25

30

35

40

45

¹⁾ duchna: czapka biała, płócienna, wkładana w niektórych okolicach Polski na głowę zmarłego.

Na jednej skale stromej, ponurej,
Nad którą cięższe płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiej,
Patrzac na puste żywota smugi;
Po owych smugach snuły się grzechy,
W różnych postaciach — marne uciechy;
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty
Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty.

— A czy to one nie mają dłoni?
Czemuż z nich żadna ócz nie zasłoni?

— Nie, moje dziecko, ręce duchowe
Są tak przejrzyste, jak kryształowe,
Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłoni, to wszystko widzi.

Na brzegu czyścica nieszczęsne duchy
Wydały za mną jęk tęskny, głuchy.
Spojrzałam na nie; stały do koła,
Schyliwszy na pierś pochmurne czoła;
„Powiedźcie, rzekłam, co wam potrzeba?”

„Miłości ludzkiej i łaski nieba;

Powiedz słoweczko w naszej dolinie,

Tam, wiesz, gdzie woda przeczyście płynie...”

I nie skończyły. Smutne wspomnienie
Podniosło piersi w jedno westchnienie
I napełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami.

— — — — —

III

— Żebyście też to powiedzieć chcieli,
Coście najpierwej w piekle widzieli?

— Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę,
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serce kłuli.
Ach, jakie zbrodnie — skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Ojciec na syna, a syn na ojca
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.
Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada
I niby ręce wznosi w pokorze,
Lecz z rąk jak ognie świecą się noże.
Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty:
Wyciągam rękę chciwa zdobyć,

A kwiat łeb w górę wznosi i syczy.
Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasłoną
Świeci zła gwiazda miotłą czerwoną.

— Jak też wygląda szatan przekłęty?

— Czasem jak szatan, czasem jak święty:

Raz obrzydliwy lot nietoperza
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza,
To znowu, jakby okryty zorzą,
Udaje mądrość i piękność bożą.

— To w piekle żadnej niema radości,
Ani spoczynku, ani jasności?

— Widziałam jasność: tak się świeciło:

Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wściekłą:
Jednego razu śmiało się piekło,
Gdy pani panu truciznę wlała,

W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała lilji, rutki i maku,
Żeby nie było na grobie znaku.
Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,

Kiedy śpiewanie w kościółku zgłuchło...
Trzeci raz otchłani śmiechem zawrzała,
Gdy miłość ziemi w sercach zagasta.
Tam w jednej stronie jest i spoczynek

Na łące zgniłych niezapominek.
Pod czarnem niebem, Bożeż mój, Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na nim śpi zdrajca z czerwoną brodą,

Cały oblany śmiertelną wodą.
Wąż opasuje spodlone czoło,
Zwinawszy ogon w złociste koło,

Nikczemną duszę kłębam ściska;
Z oczu łzy kapią jak ze źródła;
Lecz nadaremnie — wszystkie boleści,
Ile ich otchłani piekielna mieści,
Żadne też krwawych morze nie spłaci
Godziny męczarni skrzywdzonych braci...

— To pewnie Judasz, mateńko droga,
Leżał na łożu, co wydał Boga?

— Nie, moje dziecko, Jezus kochany,
Zszedłszy do piekła targać kajdany,
Ujrzał Judasza, jak stał na boku,

Z śliną na brodzie, z zdradą na oku!...
 Najwyższa miłość, litością zdjęta,
 Najpierwej z wroga zerwała pęta;
 Ten, co zwyciężył piekło cierpieniem,
 I żadnej męki, żadnej katuszy
 Nie raczył zadać tej marnej duszy,
 Zostawił tylko pamięć żywota
 I zrosły z ręką sak pełny złota.

Któż wszystkie nędze piekła wypowie,
 Owe łzy sierot, przekleństwa wdowie
 I klątwy matek — o niech Bóg broni!
 Widziałam w jednej strasznej ustroni,
 Jak pokurczone zbrodniarzy ciała
 Jedna sieroca łza pobijała;
 A klątwy matek, jak trąby brzmienie,
 Wstrząsały całe piekielne przestrzenie.
 Na brzegu piekła jaszczem widziała
 Przy ciemnych grobach leżące ciała,
 Które z wnętrzości ziemia wyrzuca.
 Ten widok srodze serce zasmuca;
 Na myśl, jak człowiek siebie zohydzi,
 Że aż nim martwa ziemia się brzydzi...

* * *

Tak przeszłam drogę smutno, boleśnie,
 Naraz przeglądałam, — czy jeszcze nie śnię?
 Wkoło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
 Inni oblani rzewną łez rosą;
 Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
 A ty, kochanku, modlisz się szczerze
 I patrzysz we mnie z taką miłością,
 Że zapukało serce radością,
 I jakieś ciepło słodkie, wiosenne,
 I jakieś światło ciche, promienne,
 Wstąpiło we mnie jak biała zorza,
 Jak czysta miłość, jak łaska boża.
 Spojrzałam w okno: to samo sioło,
 Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
 Woda się świeci jak srebrna łuska,
 Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
 I znowu jestem na swojej ziemi,
 W wiosce, pomiędzy ludźmi dobrei.
 Wiem ja, dziecińco, moją godzinę,
 I wiem, że z łaski Bożej nie zgine.
 Więc mnie nie płaczcie w skonaną chwilę,
 Ani żałujcie, o moi mili:

Jedno mnie płachtą okryjcie białą,
 Potem do trumny połóżcie ciało,
 A potem bracia, krewni, rodzina,
 Niech zaśpiewają *Salve regina*.

Czem niebo w „Zachwyceniu“ przypomina wieś polską? czem kościół? Czy tylko radość tam panuje? Na czym polegają cierpienia przebywających w czyśćcu? Jakże obrazy katuszy dadzą się odróżnić w piekle? Co jest istotą mąk piekielnych? Czy tylko cierpienie tam władnie? Które obrazy: nieba, czyśćca, czy piekła, najbardziej odbiegają od tego, co przypomina świat ziemski? Czem odbiega „Zachwycenie“ od wierzeń chrześcijańskich o życiu zagrobowem? Spójrzec na oświecenie w obrazach nieba, czyśćca, piekła. O ile krajobraz w poszczególnych częściach poematu przyczynia się do wywołania pożądanego przez poetę nastroju? Porównać niebo w „Zachwyceniu“ z niebem w „Błogosławionej“ i w opowieści Tetmajera o Zwyrtale muzyce. Czy znajdziemy jakąś spójnię, łączącą wszystkie te obrazy? Z którą częścią „Zachwycenia“ zestawilibyśmy obrazy przybytku zmarłych w XXI księdze *Odyssey*? Spróbujmy określić nastrój we wszystkich poznanych dotychczas obrazach „tamtego świata“ i stosunek autorów do tych obrazów.

21. Anioł Pański

przez Kazimierza Tetmajera.

Na Anioł Pański biją dzwony,
 Niech będzie Marja pozdrowiona,
 Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
 Na Anioł Pański biją dzwony,
 W niebiosach kędyś głos ich kona...

5

W wieczornym mroku, we mgłę szarej,
 Idzie przez łąki i moczary,
 Po trzęsawiskach i rozłogach,
 Po zapomnianych dawno drogach,
 Zaduma polna, osmętница...
 Idzie po polach, smutek sieje,
 Jako szron biały do księżycy...
 Na wód topiele i rozchwieje,
 Na omroczone śpiące gaje;
 Cień, zasępienie od niej wieje,
 Włóczą się za nią żal, tęsknica...
 Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
 Na grób dziewczyny młodej siada,
 W świat się od grobu patrzy blada..

10

15

Na Anioł Pański biją dzwony,
 Niech będzie Marja pozdrowiona,
 Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

20

Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą —
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może, za rzeznąą płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dałą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonał ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Spróbujmy określić nastrój, jaki budzi w nas „Anioł Pański“. Co łączy trzy obrazy rysujące się w trzech zwrotkach utworu? Jakie znaczenie ma w utworze tym refren? O ile poeta przy pomocy brzmienia wyrazów budzi w czytelniku pewne wrażenia słuchowe, o ile przy pomocy rytmu? — W jakich utworach dotychczas spotkał się z harmonią naśladowczą?

22. Południe

przez Zdzisława Dębickiego.

Parne południe w czas skwarne lata —
Żaden liść nie drgnie od wiatru podmuchu,
Tylko z lip starych żdźbła złotego puchu
Sypią się lekko, a rzesza skrzydlata
Owadów, barwą malowanych tęczy,
Cicho jak harfa niewidzialna brzęczy...

Parne południe w czas skwarne lata —
Śpią szuwały, staw drzemie... W tafli wodnej
Błękit się nieba odbija pogodny,
A słońce płynie, jak żrenica świata — —

Parne południe w czas skwarne lata...

Które wyrazy w utworze tym uwydatnilibyśmy w czytaniu? Czy uczynilibyśmy to przez podniesienie głosu, czy w inny sposób? Czem utwór budzi w nas nastrój, w jaki pogrążamy się w parne południe w czas skwarne lata...?

Zdzisław Dębicki, poeta współczesny (ur. 1870 r.)

23. Zdobywcze pługa polskiego

przez Karola Szajnochę.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historii i w codziennym życiu narodu... Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków częstokowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskim i zajęciach rolniczych?...

Aby odpowiedzieć nato, wypada przedewszystkiem przypomnieć z historii wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego Państwa Polskiego różne jego prowincje. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie

historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W. mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmia gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacje kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie też samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskimi gdzieniegdzie zgłiszczami na Podolu i trawne oczerety a stepy ukraińskie. Stąd, kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsi i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W., Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco dalej nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadał około 1390 r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnym Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów, Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekimi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Ma-

zowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiających ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donatarjusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenty ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamięłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsi i miasteczka. Drobną szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopów. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego po-

górze Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsi szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historii takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenty fundacji i jakąś taką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają co sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd możenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarygodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwono-ruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu większych miast tak zwanej Galicji, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok znane były za Kazimierza Wielkiego. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małymi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokację. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszone sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około roku 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV jako wioska do dóbr oleskich i wzniósł się dopiero za Sienińskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięciu laty później za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera-Potocki około r. 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastał Czortków r. 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacją jakiegoś miasteczka. — Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. — Sieniawscy, oprócz Brzeżan, r. 1552 wzniesli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustań czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. — Zamoyscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów (niegdyś Rogoźno), 1588 Krzeszów. — Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548 Tarnogórę. — Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około r. 1584 początek Brodom. — Potoccy prócz Stanisławowa założyli cały szereg miasteczek itd. itd.

Zenitem tej skrętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmacniała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ilekroć tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenty fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowa-

dzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swoim staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliskie Wiśle wojewódzwa ruskie i bełskie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacja stron nadniestrzańskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczania nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach wojewódzwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie знаła wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty wojewódzwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plągi, tu, na kresach ukraińskich toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliska Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednym do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługą jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmierzonego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnym spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem andruszowskim roku 1667, a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo

niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmielnickiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowie ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam“ — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — „założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1000 osad urosło“.

Na każdym pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsi i miasteczka, nie zważając, na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć. Cały nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o taką nowo przezeń założoną osadę, czyli słobódkę, której, jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarość Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi współczesny Jerlicz.

Bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego daje nam pisarz małorosyjski Kulisz. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną

przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosją pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czechryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodważaniem świadectwem swoim najlepiej poprze nasze twierdzenie.

„Wszystek tedy kraj ukraiński — opowiada Kulisz — obrócił się w pustynię... Nie zgadzałyby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczerze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawiał się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dniepru ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia się około nowej uprawy i kolonizacji. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzimych Polesuków, i ich-to wioseczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu Dniepru...”

„Kulminacyjnym punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głę-

bokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partją ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawykawszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i, korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorałowi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przede wszystkim myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach slobody, to jest uwolnienia od wszelkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową slobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praznikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi...”

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naznaczano najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Prowadzono też handel wysyłanemi na Zaporozie przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo wzamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innem nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacja kraju wzrastała jakby cudem...”

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winny były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlactwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę pol-

ską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historii...

(Z *Szkiców historycznych*).

W jakiej mierze stanowisko Szajnochy w tym szkicu wobec zdobyczy pługa polskiego na wschodnich kresach Polski odpowiada stanowisku, zajętemu przez Sienkiewicza w „Ogniem i mieczem“?

24. Karol Szajnocha

według Klemensa Kanteckiego.



Szajnocha, jakkolwiek Polak duszą całą, obcego był pochodzenia. Ojciec jego, przybywszy do Galicji z Czech, wstąpił do służby rządowej jako mandatarjusz¹⁾ i zaślubił Marję Łozińską, stryjankę obu powieściopisarzy: Walego i Władysława. Z małżeństwa tego, zamieszkałego nasamprzód w Komarnie, niedaleko Sambora, urodził się syn Karol 20 listopada 1818 roku.

Czesi jako urzędnicy w Galicji smutną po sobie pozostawili sławę — byli oni prawdziwą plagą kraju, oddanego w ich ręce. Wacław Scheinoha Wtelensky — bo tak istotnie brzmiało jego nazwisko — stanowił w tej mierze wyjątek: przywiązał się do nowej ojczyzny, a dzieci kształcił w języku polskim.

Klemens Kantecki, bibliotekarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, autor kilku cennych prac (o ojcu króla St. Augusta, Stanisławie Poniatowskim, o Arturze Grottgerze i i.). Umarł w r. 1885.

¹⁾ urzędnik policyjno-sądowy w dawnym zaborze austriackim.

Karola cechować miały od lat najmłodszych: gorąca żądza wiedzy i pewien hart męski, zadziwiające w pacholećciu. Opowiadają, że troskliwy ojciec czuł się zaniepokojonym, widząc kilkunastoletnie dziecko ślęczące całymi dniami z najwyższym zajęciem nad książką, podczas gdy jego rówieśnicy oddawali się właściwym swemu wiekowi zabawom. Pan mandatarjusz, sam miłośnik literatury, posiadał znaczną bibliotekę. Gdy Karolek wskutek poślizgnięcia się złamał nogę i musiał przez kilka tygodni leżeć w łóżku, pozwolił mu czytać niektóre z pośród książek mieszczących się w księgozbiorze. Te chwile będzie Szajnocha zaliczał zawsze do najmielszych w swym życiu.

Do szkół uczęszczał w Samborze, potem, wskutek zmiany miejsca pobytu rodziców, we Lwowie. Ówczesne gimnazja galicyjskie składały się z klas sześciu, a ukończenie ich uprawniało do studjów uniwersyteckich. Jako uczeń klasy czwartej otrzymał Szajnocha trzecią, w następnym zaś roku drugą nagrodę. Wtedy to począł się pisać nie Scheynoha lecz Szejnoha.

Pod koniec roku 1834 pociągnięto go jako ucznia klasy szóstej, zaglądnącego z ciekawością także na uniwersytet, do śledztwa za próbę zawiązania między młodzieżą gimnazjalną towarzystwa starożytniczego, któreby miało badać zabytki Galicji. Uwolniono go wprawdzie, lecz miano go już odtąd na oku. Pod koniec roku następnego podniósł ktoś upuszczony w kościele OO. Bernardynów bruljon wiersza Karola i oddał go policji. Przedtem jeszcze wykryła policja kartki ze spisem imion studenckich, opatrzonych w tajemnicze uwagi. Na jednej z kartek poznano pismo Szajnochy, znane policji z pierwszego śledztwa. Skutkiem odkrycia było zarządzenie rewizji u Karola i u studentów, których imiona były wypisane na owej kartce. „Ciemnym jeszcze rankiem — opisuje katastrofę w trzynaście lat później sam Szajnocha — zajechał komisarz policji pod moje ustronne mieszkanie i zabrał mnie z plikiem zakazanych broszur i rękopisów do kozy“.

Wśród rękopisów znalazł komisarz policji „Kalendarzyk dat historycznych“ układu właściciela, co dowodzi, że już na ławie szkolnej z żywym zajęciem poświęcał się Karol nauce dziejów ojczystych. Znalazł też kilka znanych pieśni i jakąś próbę dramatu.

W jakim nastroju umysłu zastała młodzieńca chwila, w której się dostał „za kratę“, o tem nam opowiada. „Byłem — mówi —

bardzo młody, miałem ledwie lat siedemnaście; kochałem namiętnie wszystko, co piękne, a cały świat zdał mi się pięknym, i lubiano też mnie nawzajem — ileż barw do jasnego obrazu wiosny i szczęścia, do wspomnień, które bywają najdroższymi z całego życia...“ Niestety „z owych barw jasnych osnuł się obraz mroku, dostatecznego do zaćmienia całego życia ponurym cieniem, a te najdroższe wspomnienia są to wspomnienia cierpień i więzień“.

Oddany naprzód do zwyczajnego więzienia, po kilku tygodniach dostał się do osławionych Karmelitów. Gdy wszedł do nowej celi, „stróż z latarnią popchnął (go) do środka, wskazał goły siennik na ogromnym tapczanie, konewkę z wodą, zatrzasnął drzwi i zamknął je dwiema olbrzymimi kłodami“. Zaledwie wyszedł Karol z osłupienia, aliści rozwarły się drzwi na nowo, i założono mu kajdanki na ręce i nogi.

Posępnie zbiegały biednemu wyrostkowi dnie wśród stęchłości powietrza i wiecznej wilgoci więziennej, z której miał wynieść zaród przyszłych chorób. Celę jego zalegał ponury mrok; nie dawano mu ani światła ani książek. Aby nie być skazanym na rozpaczłą bezczynność, szpilką na ścianach spisywał poematy. Po jakimś przeciągu czasu zaczął zapadać coraz poważniej na zdrowiu i odczuwać coraz dotkliwsze przygnębienie. Ale „promień religijności“, wyniesiony z pod rodzicielskiego dachu, dozwolił młodemu więźniowi nie ulec. „Oświecił mię — mówi Szajnocha — ten promień nagle, nieznanym dotąd, jaskrawym, prawie porażającym blaskiem. Upadłem pod jego przemocnym wrażeniem... Po całych dniach leżałem na kolanach, w modlitwie, we łzach nieustających. Książka religijna zdała mi się zbawieniem. Prosiłem o nią — nie udzielono mi żadnej. Miałem z sobą jedyną książkę: gramatykę francuską. Umieszczone na pierwszych kartkach po polsku i po francusku Ojczyzna nasz i Zdrowaś Marja stały mi za całą Księgę żywota. Rzuciłem się na nie jak umierający z głodu potępieniec na pokarm zbawczy. Pokarm ten pokrzepił mię zaprawdę. Wzmocniony nim, oparłem się pokusom okupienia sobie łaskawego obejścia się ze mną, ulgi w głodzie jako też innych cierpieniach, przez wyjawienie tajemnic koleżeńskich, jakie były w mej mocy“.

Więzienie śledcze przeciągało się — sąd kryminalny nie pospieszał z wyrokiem. Wreszcie w dniu 3 czerwca 1836 skazał

obżalowanego na sześć miesięcy ciężkiego więzienia, ale na domiar nieszczęścia więzienie to liczyło się dopiero od 27 grudnia 1836 r., dlatego, że rekurs przeciw wyrokowi rozstrzygnięto na niekorzyść skazanego dopiero po kilku miesiącach, karę zaś zaczęto liczyć dopiero od chwili prawomocności wyroku.

A jak bolesne okoliczności towarzyszyły upragnionej chwili odzyskania swobody. Matka, objawszy syna, powiedziała mu wśród łkań, że nie posiada już ojca, że wzbroniony mu raz na zawsze przystęp do wszystkich zakładów naukowych państwa austriackiego, że nawet Lwów kazano mu opuścić bez zwłoki!

Zbyt silne były to ciosy, a jednak Szajnocha nie poddał się zwątpieniu. Zrazu pomagał matce w gospodarstwie rolnem, ale widząc, że może stać się dla rodziny, żyjącej prawie w niedostatku, ciężarem, żądny dalszego kształcenia się, wybrał się, mimo zakazu, do Lwowa. Tu zajęli się nim szczerze August Bielowski¹⁾ i Lucjan Siemieński²⁾, nie szczędząc mu wskazówek, jak ma uzupełniać i pogłębiać swą wiedzę, oparcie zaś materialne znalazł w domu adwokata Pawła Rodakowskiego, który, nie troszcząc się wcale o zakaz policyjny, powierzył mu uczenie swych dzieci. Z czasem uzyskał Szajnocha kartę wolnego pobytu we Lwowie.

Pracował z niezmierną wytrwałością. Czasem przez miesiąc i dłużej skazywał się na dobrowolną samotność, gotując się poważnie i gruntownie do pisarskiego zawodu.

Zawód ten rozpoczął od powieści i dramatów, ale wnet przekonał się, że właściwem dla niego polem są umiłowane przezeń już podczas lat gimnazjalnych, studia historyczne. Zagłębił się więc w dzieje nasze z właściwą sobie żarliwością, i w roku 1848 jako owoc prac skrzętnych i wytrwałych pojawiły się dwie jego monografie „Bolesław Chrobry“ i „Pierwsze odrodzenie się Polski“ (za Łokietka). Społeczeństwo polskie ujrzało, że Polska zyskuje w osobie Szajnochy nowego wielkiego historyka, uczonego, który umie przeszłość nie tylko przeniknąć, ale i odtworzyć.

¹⁾ August Bielowski, znakomity historyk. Zebrał i wydał własnym kosztem „Pomniki dziejowe Polski“ (najdawniejsze roczniki i kroniki). Pisał także poezje. Umarł w roku 1876 jako dyrektor Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. ²⁾ Porówn. odsyłacz na str. 2.

Podstawą bytu materialnego stała się obecnie dla Szajnochy redakcja „Dziennika literackiego“, niebawem zaś otrzymał posadę zastępcy kustosza w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich. Obowiązki nowe spełniał z rzadką gorliwością, uporządkował katalog główny, założył katalog przedmiotowy czyli realny, w przeciągu lat trzech zrobił więcej niż inni w przeciągu dzieśiąciu. W tym to czasie powstały liczne drobne jego obrazki historyczne wydawane tomami p. t. „Szkice historyczne“, jak „Matka Jagiellonów“, „Barbara Radziwiłłówna“, „Bitwa pod Lwowem r. 1675“, „Zdobycze pług polskiego“ itd. W tej również dobie dokonał Szajnocha największego z dzieł swoich, monografii p. t. „Jadwiga i Jagiełło“, w pierwszym wydaniu (1855—1856) w trzech tomach.

Niczego wówczas Szajnosze do szczęścia nie brakło. Miał możliwość pracy, zaszczytów nigdy nie pożądał, życie rodzinne (ożenił się w r. 1856) płynęło jak najpogodniej. Niestety wtedy to właśnie zjawilo się widmo klęski. Szajnocha nadwreżył wzrok już w więzieniu austriackim, teraz zaś choroba oczu, zagrażająca już dawniej, rozwinęła się w sposób zdolny obudzić najwyższą trwogę. Istotnie ratunek okazał się daremny. Szajnocha podążył do Brukseli, gdzie właśnie odbywał się zjazd najznakomitszych okulistów, i powrócił stamtąd z wyrokiem, że wzrok straci nieodwołalnie. W tem nieszczęściu jedynym jasnym promykiem było zawarcie w Brukseli osobistej znajomości z Lelewem¹⁾.

„Wzrok jego — mówi Władysław Łoziński — gasł na pozór powolnie, ale niepowstrzymanie. Były to najboleśniejse chwile w jego życiu, gdy z każdym wschodem słońca zamiast światła dziennego czuł coraz gęstszą, coraz ciemniejszą mgłę przed oczyma, gdy obliczał naprzód, kiedy słońce zajdzie dla niego na zawsze...“ A jednak chwile te przetrwał z tą żelazną siłą charakteru, z tą szlachetną rezygnacją, która nawet skardze nie dała ulecieć z ust jego. Musiał rzec się posady w Zakładzie im. Ossolińskich. W roku 1858 nie mógł już czytać ani pisać: ociemniał zupełnie. Ale pracować nie przestał. Pisał przy pomocy

¹⁾ Joachim Lelewel (um. 1861 r. w Paryżu), jeden z największych uczonych, jakich wydała Polska, profesor historii na uniwersytecie wileńskim. Po upadku powstania z roku 1830/31 pracował na obczyźnie, nieraz w niedostatku, o głodzie. Prace jego wyszły w 20 tomach p. t. „Polska, dzieje i rzeczy jej“.

umyślnego przyrządu, tabliczki niedużej: na dnie jej kładł się arkusz białego papieru, a papier ten pokrywał się drewnianymi linijkami o szerości odstępu, jaki się zwykle robi w rękopisie między wierszem a wierszem. Posiadał zaś Szajnocha tak wielkie zasoby nauki, nagromadzone dawniejszymi laty, że mógł z nich czerpać długo, nie rozpoczynając nowych badań, a używając tylko, dla sprawdzania, pomocników.

Ale użytkowanie z dawniejszych materiałów nie odpowiadało szlachetnej jego ambicji. Wolał on, choć z cięższym niż kiedykolwiek trudem, podejmować nowe badania źródłowe; niestety zaledwie z cząstki z tych studjów było mu dane korzystać. Ukończył jednak „Mściciela“ (wstęp do wielkiego dzieła o królu Janie III), ukończył też „Dwa lata dziejów naszych“ (1646, 1648), obraz tragicznych chwil, nakreślony z siłą niepospolitą.

Jak mógł w tak niesłychanie trudnych warunkach dokonać tak wiele? Pracował dzień cały, czasem przez znaczną część nocy. Budził się bardzo rano i, biorąc zaraz leżącą obok łóżka tabliczkę, pisał. Następnie, ubrawszy się, pracował z lektorem, rano trzy godziny, popołudniu tyleż. Zkolei pisał potem przez tyle godzin, ile pracował z lektorem.

W ostatnich latach życia nie mógł już pisać. Ciężka niemoc — następstwo wilgoci więziennej — odjęła mu władzę ramion. Umarł we Lwowie 10 stycznia 1868 r. Spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim.

„Rzecz dziwna — mówi Tarnowski¹⁾ o Grottgerze — a doprawdy idealnie piękna: jedyną miłością, jakiej w tem sercu nie było: to miłość własna. Gdzie jego zarozumiałość, jego niechęć do innych, jego zazdrość? Niema ich wcale“. Słów powyższych do nikogo nie można zastosować słuszniej, jak do Szajnochy. Nie zazdroszcząc niczego nikomu, wylany dla innych, pełen był zawsze najżywszych chęci niesienia im rady i pomocy, choćby z własną szkodą. „Każde zwierzenie się z zamiarem jakiejś pracy — mówi Kalicki²⁾ — przyjmował szczerze i serdecznie, pomagał radą, poszukiwaniem a nawet wyrabianiem całych planów piśmiennie. Z gotowością przerywał nieraz najważniejszą własną pracę, aby dłuższy czas poświęcić poszukiwa-

¹⁾ o Stanisławie Tarnowskim porówn. w uwadze przy ustępie 26 (Matceji „Kazanie Skargi“), ²⁾ Bernard Kalicki (um. 1884 r.), lektor i pomocnik Szajnochy, autor kilku szkiców historycznych.

niom i sprawdzaniom szczegółów. Znamy wiele książek, które za jego powstały pomocą, i niemało takich, które za jego wyszły natchnieniem. Młodzież lubił bardzo, a dla młodszych autorów był bardzo wyrozumiałym. Równieśników i starszych oceniał z taką wyrozumiałością i dobrocią, jak znowu dla siebie samego był surowym i — rzecz można — bez miłosierdzia...”

W pismach jego historycznych wyczuje każdy gorące umiłowanie przeszłości narodowej, ale bez zaślepienia, co więcej umiał on mówić narodowi swemu także gorzką prawdę. Prawdą bowiem i pracą szedł przez życie.

25. O miłości ku ojczyźnie

Kazanie ks. Piotra Skargi.

To wam rozkazuję (mówi Pan Jezus), abyście się społecznie miłowali. Pokój mój daję wam, pokój mój zostawuję wam. Jan 13, 14 i 15.

Dwoje przedniejsze rozkazania, umierając, Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno abyśmy się wspólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój między sobą i zgodę świętą zachowali. Jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim, im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada; lepiej wszystkie, którzy w mieście jednym są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim albo dla nich co cierpim. Także

Ks. Piotr Skarga, z zakonu OO. Jezuitów, pierwszy rektor akademii wileńskiej, to jedna z najpiękniejszych postaci w dawnej Polsce, jedno z najgorętszych serc, jakie kiedykolwiek były w naszej ojczyźnie. Opiekował się najgorliwiej ubogimi, chorymi, więźniami, zakładał bractwa miłosierdzia, na poprawę zaś życia prywatnego i publicznego, które poczynało się psuć w drugiej połowie XVI wieku, starał się wpływać i kazaniami swemi i pismami (np. *Żywotami Świętych*). Mowcą był złotoustym, wstrząsał słuchaczami, porywał ich; dzięki tej niebywalej potędze wymowy nawrócił mnóstwo różnowierców na wiarę katolicką. Za Zygmunta III został kaznodzieją nadwornym i odtąd przez dwadzieścia i trzy lata wygłaszał kazania na nabożeństwach w dzień otwarcia i zamknięcia sejmu. Ośm kazań (wygłoszonych w r. 1597) wyszło p. t. *Kazania sejmowe*. Wśród nich znajduje się kazanie O miłości ojczyzny.

dobra zgoda i pokój między pospolitym ludem, ale lepsza między pany, którzy ludźmi rządzą albo o nich radzą, a nalepsza między królmi, którzy wszystkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą. Do tej szerokiej i przestronnej miłości przywodzić się macie, przezacni panowie, którzyście tu na to się zjachali, abyście o tem myśleli i radzili, jakoby lud wszytek nie ginął, a wasza ku rzeczy pospolitej miłość gorąca i szczerza pokazać się mogła.

Przykład tej szerokiej i przestronnej miłości postawił nam, uczniom swoim, na sobie Pan Zbawiciel i mistrz nasz, gdy wszystkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił. A jeszcze większą miłość pokazał, gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszystkie na świecie ludzkie, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny.

Taką miłością ku ludziom abo Rzeczypospolitej zapalać się macie wy, którzy o dobrem pospolitem radzicie, wy, które Pismo bogami zowie, bo nic tak własnego Panu Bogu nie jest, jako ludziom wszystkim dobrze czynić; i kto taki jest, boskie naśladowanie i obraz na sobie nosi. Przełożeni nad ludźmi bogowie są ziemscy, nie tylo dlatego, iż moc bożą mają na gubienie złych i na ożywienie abo uweselenie dobrych i niewinnych, bo sam Pan Bóg umarza i ożywia, ale nawięcej dlatego, iż oni miłosierdziem i staraniem swoim nędzę ludzką odganiać mają, aby, ile z nich jest, każdy pomoc jaką miał; jako to Pan Bóg czyni, który wszystko, co stworzył, opatruje i żywi i na nie hojnie dary miłosierdzia i dobroci swej wylewa, nie tylo ludźmi rozumnymi, ale i bestjami nie gardząc.

Słusznie też do was mówić tak mam, przezacni obmyślacze dobra pospolitego; wszystkiej tej korony, to jest ludzi i dusz, ile ich jest w Polsce, w Litwie, w Rusi, w Prusach, w Żmudzi, w Inflanciech, oczy się do was obracają i ręce do was podnoszą, mówiąc, jak oni Egipcjani do Józefa: Zdrowie nasze w ręku waszych: wejźrzyjcie na nas, abyśmy nie ginęli i w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewolej. Wyście ojcowie naszy i opiekunowie, a my sieroty i dziecinny wasze. Wyście jako matki i mamki nasze; jeśli nas odbieźcie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginiecie. Wyście rozumy i głowy nasze, my jako proste dzieci, na wasze się

obmyślanie spuszczaamy; i Pan Bóg wam myśleć o nas rozkazał. Wyście jako góry, z których rzeki i źródła wytryskają, a my jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą. „Góry, (jako Psalm mówi) *przyjmujcie tudkom pokój, i, pagórki, spuszczaćcie im sprawiedliwość*“. Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy nie dla was, abyście sami swoich pożytków pilnowali, ale dla ludu, który wam Pan Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczaali.

Toć są głosy i wołania ich do was; zmiłujcież się nad nimi. Miłujcie ojczyznę tę swoją i to Hieruzalem swoje, to jest koronę tę i Rzpltą, a mówcie tak z serca z Dawidem: „*Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Hieruzalem moje, niech zapomnę prawice ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę*“. O jakie zaklinanie! Którem się wiązać macie, abyście nic sobie tak miłego, tak wesołego nie mieli, jako dobro Hierozolimy swojej, to jest Rzpltej i ojczyzny swojej, życząc sobie onego w psalmie błogosławieństwa: „*Błogosław ci Bóg, abys patrzył na dobre Jerozolimy po wszystkie dni wieku twego*“.

Jako namilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? Która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i komorą dóbr waszych wszystkich? *Jeruzalem, matka nasza* — mówi Apostoł — *nad wszystkie matki czci i szanowania godna*.

Rozmyślcie, jakie od tej matki, od korony i Rzpltej tej, dobrodziejstwa i upominki macie. Ona wam wiary św. katolickiej, przez którą do wiecznej ojczyzny przychodzicie, dochowała i Chrystusa, zbawienie wasze, i jego Ewangelią przyniosła. Ona jej od fałszywych nauk i jadów heretyckich obroniła. Ona Husa przed stem kilkadziesiąt lat i jego przeklęte kacerstwo odpłoszyła. Do tego czasu kapłany wam i biskupy i duchowne pasterze wasze daje, przy których przystęp do łaski bożej i obrony od wszystkich nieprzyjaciół macie. Ona wszczepiła tu ołtarz służby Bożej i ofiar przedziwnych, z których wam ubla-

ganie boskie zawždy płynie. Ona się i dzisiejszych złych wieków srogim heretykom odejmuje i wilki te jadowne, jako może, od was odgania i stara się, abyście nie byli bez kapłana, bez ołtarza, bez nauki i zatem bez Boga, jako się to innym narodom przydało, którzy tak dobrej i czujnej matki nie mieli. Jakoż jej miłować nie macie?

Ta matka, ojczyzna namilsza, wszczepiła wam i dochowała stan i majestat królewski, który jest zatrzymaniem i ozdobą wszystkich dóbr i sławy waszej, iż król po królu do tego czasu nie ustał, iż dostojność ich dobrze obwarowana jest, iż po dziś dzień patrzycie na pany i króle swoje, pomazańce Boże, i z ich się ozdoby i możliwości uweselacie i ono błogosławieństwo macie, które prorok obiecuje: *Jeśli mię słuchać będziecie* — mówi Pan Bóg — *przez te bramy wjeżdżać królowie i panowie waszy będą, siedzący na stolicy Dawidowej, na wozach i koniach, oni i panowie ich*. Biada narodom, którym Pan Bóg króle i pany pobrał albo królestwa ich porozdzielał, które z Danielem płaczą, mówiąc: „*Niemasz teraz króla i pana i kapłana i proroka, które Pan Bóg pokarał oną plagą!*“ — „*Będą — prawi — siedzieć bez króla, bez pana, bez ołtarza, bez ofiary*“. Błogo wam teraz, którym Pan Bóg w tej ojczyźnie tego wszystkiego dochował. Ta matka skupiła wam do jednego ciała Rzpltej tak szerokie i zacne narody! Rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwe poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieją!

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie, których moc, prawy okreszona¹⁾, żadnego wam bezprawia nie czyni, żadnego od postronnych panów i od swoich uciśnienia nie cierpicie. Samiście tylo sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością albo raczej swawolnością przeszkody sami sobie czynicie Tureckiego i moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie, jakie uciśnienie i tyranią cierpią. Nie taka to ojczyzna wasza! Matką wam jest, a nie macochą! Na rękę was swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści. Sami sobie szkodzicie i jeden nad drugim tyranią podnosicie, praw nie egzekwując,

¹⁾ prawami określona.

a moc pańską tam, gdzie nie potrzeba, króćąc. Z strony matki nie masz nic, w czymbyście się żałować na nią mieli — chyba sami na się!

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma. Pierwej rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wasze woniają. Pierwej samodziałki boki nasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie. Pierwej proste rydwany i rzadkie, częstsze siodła miasto poduszek, a teraz złote kolebki i karety. Pierwej proste potrawy, a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszystkim, a teraz półmisków kilkadziesiąt. O namilsza matko! Już zbyt-kują dzieci twoje. Żle tych dostatków używają: na grzechy, na sprośności. A ja co winna? mówi: mają rozum, mogą tych darów bożych używać na kościoły i chwałę bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi; ja niewinna, iżem w dawaniu matką; oni winni, co mnie nie słuchają, a dobroci mojej i boskich darów źle używają.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze.

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną, która się tych wieków nawięcej za szczęśliwem panów i królów waszych panowaniem podniosła. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Taż matka namilsza uczyniła wam sławę u wszystkiego chrześcijaństwa i pogaństwa, iż od zachodu i wschodu zacnemi poselstwami uczczony król i pan nasz wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie nie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujcie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mniema-

cie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli. Nie tak jest, ale jako pan rzekł: „*Kto zdrowie swoje miłuje, traci je. A kto je utraci, najduje je*“. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczeństwa jego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy, zatonię i z nim my sami poginiemy.

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony, imienia, skarby i wszystko, w czym się kochacie; w tym tak wiele dusz jest, ile ich to królestwo i państwa przyłączone mają; nie dajcie im tonąć, a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem i bracią swoją; nie tylo majątnością, ale i zdrowiem im własnem usługujcie, wy, którzyście je pod swój rząd i opiekę wzięli. Bo nie tylo majątności dla miłej braciej i rzpltej nie żałować, ale i umierać winni jesteśmy, jako Jan św. mówi: „*Jeśli Chrystus za nas zdrowie swoje położył, i my je kłaść za bracią naszą mamy*“; skąd jest i u Pana Boga zapłata, bo jest własne Chrystusa naśladowanie, i u ludzi wieczna sława. Lecz jeśli majątności żałujem i dla niej rzpltej szkodzim, jako zdrowia nastawim? wždy tę mniejszą rzecz czynimy.

Poganię za rzplłą umierali, nic się po śmierci nie spodziewając, abo nic pewnego o zapłacie na onym świecie nie mając, na samej tylo pocziwej sławie u ludzi przestając. A my tak wielkie i tak pewne o zapłacie po śmierci Boga naszego obietnice mamy, jeśli to przykazanie o miłości wypełnim. I tu na ziemi nieśmiertelną sławę daje tym, którzy dla braciej i dobra pospolitego ucierpieli! Jaka sława

tych słynie i dziś, w Piśmie świętem i innych dziejach opisana jest.

O wielmożni panowie! O ziemscy bogowie! Miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobre braciej swojej i narodów swoich wszystkich dusz, które to królestwo z swemi państwami w sobie zamyka. Nie cieśnicie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach; nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich; niech się na lud wszytek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pole wylewa. Naśladujcie onego chrześcijańskiego ¹⁾ króla, który z wojskiem wyciągnawszy, na chorągwi swojej namalować kazał ptaka, który swoją krwią ptaszęta od węża zarażone ożywia, dając znać, iż za swój lud rad umrzeć chce, sobie śmierć, a im żywot obierając.

Są drudzy, co mówią: co mnie po królestwie i rzpltej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę? To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate! Pana Boga proś o potrzeby swe, przestawaj na swym stanie, ale nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi, braciej swojej, nie gub! — Boże! aby się takich, jako monstrów jakich, mało znajdowało, którzy sroźszej, niżli bestje, nie ludzkości i krwie rozlania pełne są.

Takich podobno więcej, którzy służyć rzpltej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, albo gdy im zato król nie płaci. Ci są dziwnie głupi, którzy nie wiedzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedno na swoją przystojność; nie widzą, iżby tak nikt nigdy dobrym nie był; nie widzą, iż tak wiele nie tylko u króla, ale i monarchy świata wszystkiego bogactwa nie masz, aby każdemu dobry jego uczynek mógł płacić. Sam tak możny i bogaty Pan Bóg jest, do którego zapłatę nasze odkładać mamy. I tego nie widzą, iż u króla i u innych dobrego mniemania o cnocie swej mieć nie mogą, gdy co cnotliwego z najmu czynią. Bo pomyśli pan: owo ma rzplta gotowego zdrajcę, byle kto miał gotowe pieniądze, bo, jeśli za dobry postępek chce pieniędzy, podobno się i na zły utar-

¹⁾ portugalskiego.

gować da. *Nakoniec nikt zato zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszystko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: płac mi, iż swego zdrowia i domu swego, żony i dzieci moich bronię. Sama obrona zapłatą tobie jest; czegoż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpisz, zdrowie swoje opatrujesz, izali zato zapłaty chcesz?

Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i zakon jego i dobry rozum każe. Możesz się i na zapłatę obejrzeć, ale niebieską naprzód, a potem na tę doczesną. Lecz wszystka się myśl z początku sadzić na tem w swoim przedsięwzięciu nie ma. Jeśli Pan Bóg płacić ma i tu, na świecie, chce, królewskie serce obróci, abo skądinąd mu nagrodę poda. Jeśli nie chce, dosyć mam na zapłacie po śmierci; i sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszystkim, dobrze czyni, ma swoją serdeczną zapłatę i pociechę wewnętrzną wielką: *jakobyh się najadł i ubogacił, gdy komu co dobrego uczynię* — mówi mądry.

Zaprawże was Pan Bóg w wielką miłość ku braciej waszej i ku wszystkim obywatelom korony tej, abyście o nich uprzejmie i szczerze, nic swego nie pragnąc, radzili, na samego tylo Pana Boga i na ludzki pożytek patrząc. Boże! Spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej, ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowiem, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szcześnie mogli.

Zwrócić uwagę na podział kazania tego na części, zaznaczony odstępiami, i zastanowić się nad zawartością treściową każdej części. Dlaczego, według Skargi, powinniśmy kochać ojczyznę? Czem Skarga przemawia do uczuć, czem do rozumu? W której części kazania najsilniej nas wzrusza? Kiedy przemawia przez niego oburzenie, gniew? Co zbliża to kazanie do poezji?

Kiedy w czasie lektury „Potopu“ Sienkiewicza przypomina nam się kazanie o miłości ojczyzny?

26. Matejki „Kazanie Skargi¹⁾“

przez Stanisława Tarnowskiego.

Kiedy Matejko o przeszłości dumiał, nie przestawał na zobaczeniu jej tylko w swojej wyobraźni; on — jak Mickiewicz — chciał wiedzieć i rozumieć, dlaczego taki upadek! Wtedy stawały mu w pamięci wszystkie moralne i polityczne powody. Odgadywał je uczuciem, wyjaśniał rozumowaniem. Znajomość XVI wieku dopomagała, ułatwiała. Nie mógł nie dojrzeć tych strachów, tych złych przeczuć, które w tym wieku odzywają się tak groźnie²⁾. A one się sprawdziły! Dlaczego się sprawdziły? Dlaczego po Zygmuntach i Batorym — Siciński, Chmielnicki, straszne Jana Kazimierza czasy, a po nich nie lepiej, tylko gorzej, aż do Stanisława Augusta?

I wtedy może zapytał sam siebie: gdzie jest w historii ten punkt, w którym wszystkie powody późniejszych klęsk byłyby razem zebrane, skupione? Wtedy zapewne dojrzał, iż wszystkie przeczucia XVI wieku zbiegły się jak ognie pod ziemią w jednej duszy i wybuchły jak wulkan w „Kazaniach Sejmowych“, a wszystkie następne wypadki i dzieje sprawdziły je co do słowa. To jest ten punkt, to wielkie serce człowieka, w którym się treść wieków skupia...

Wyobraźnia Matejki zatrzymała się jak osłupiona nad Skargą i jego kazaniem, wszystko jednym zamachem odsunęła od siebie na bok, nie miała spokoju, dopóki tego obrazu z siebie nie wydała. W nim schodziły się wszystkie cierpienia artysty za przeszłość, wszystkie wyrzuty, upokorzenia, wstydy, od Piławiec aż do Grodna, wszystkie uciski i bole, jakie w sercu polskim nagromadził wiek XIX, i wszystkie troski o przyszłość, jakimi dręczył to serce ten wiek cały. Dlatego Matejko postanowił malować „Kazanie Skargi“, dlatego malował je w tych latach (1863 i 1864) i dlatego tak je wymalował.

Stanisław Tarnowski, znawca piśmiennictwa polskiego, autor wielu prac (np. o Sienkiewiczu, o komediach Fredry, o „Panu Tadeuszu“). Był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim i prezesem Akademii Umiejętności w Krakowie, instytucji pielęgnującej naukę polską. Umarł w czasie wielkiej wojny.

¹⁾ w klasie podczas czytania tego ustępu pomieszczona reprodukcja obrazu, ²⁾ ówcześni pisarze zwracali ustawicznie uwagę na niebezpieczeństwa, grożące Polsce.

Trzeci wiek się kończy, jak wszyscy o Skardze myślimy i mówimy; pisali o nim, wynosili go wszyscy pisarze, mowcy i kaznodzieje, historycy i poeci... Ale trzy wieki myślenia i mówienia nie zdołały tak Skargi zgłębić i dać poznać, jak jest zrozumiany i stawiony nam przed oczy w obrazie Matejki. To jest ten pomnik, dotąd największy, jaki mu wzniosła nasza wdzięczność; to jest wyraz zupełny i doskonały tego, co naród w uciskach swoich czuł dla swego wielkiego kaznodziei, dla tego, który go ostrzegał, jak Izraela prorocy, a jak oni, napróżno.

Przypatrzmy się nieco obrazowi, a przede wszystkim głównej jego postaci.

Mówią niektórzy, że ruch Skargi jest za gwałtowny. Ale czy może on ręce trzymać inaczej, jak je trzyma? Gdyby błagał, mógłby je złożyć i przycisnąć do piersi; gdyby pytał: „Cóż mam z tobą zrobić, nieszczęśliwe królestwo?“ — mógłby je załamać rozpaczliwie i splecione przed siebie wysunąć. Ale on grozi, on jest takim w gniewie, że — jak trafnie powiedziano — „choć zaklina, prawie przekląć gotów“. On musi podnieść ręce do góry, jak gdyby niemi także rzucał te gromy, które padają z jego ust. Jego słowa, jego wyraz — to sam szczyt świętego oburzenia i świętej trwogi: oburzenie to i trwoga, z miłości poczęte, nią natchnione i dręczone, dochodzą do proroczego jasnowidzenia, które dopiero jest tej męki koroną...

Zresztą obraz tłumaczy się odrazu, bez objaśnień i komentarzy. Kto o polskiej historii i o Skardze nie wie nic, i taki jeszcze, choć całej grozy obrazu nie zgłębi, zrozumie, że to kazanie, i kazanie groźne. Nie będzie może wiedział, że mowca grozi upadkiem ojczyzny, pomyśli zapewne, że grozi piekłem; ale zobaczy, że grozi straszliwie i że lepszych skrucą, zatwardziałych gniewem przejmując.

Dlaczego w Zamojskim nie znać ani gniewu ani skruchy? Niektórzy sądzą go z tego powodu obojętnym. Nie jest on obojętny, a ze wszystkich, którzy słuchają, on rozumie najlepiej, on jeden wzrokiem sięga tak daleko, jak Skarga. Jeden ze znawców mawiał, że w całym obrazie tylko ci dwaj rozumieją się zupełnie i że sam główny prąd tragicznej siły

przepływa między nimi. Zdaje mi się, że miał rację. Wspaniała orla twarz Zamojskiego ma swój wyraz tak potężny, jak Skargi, tylko inny. Mąż stanu nie jest uderzony moralną stroną kazań, nie przymierza jej do własnego sumienia, nie pyta, czy sam jest bez winy, nie rozpacza także i nie o tem myśli, żeby możliwą szukać ratunku w niebie, jak prymas albo królowa. On chwytą polityczną stronę rzeczy, a przypuszczając możliwość tego, co Skarga przewiduje, on już natęży myśl, żeby to niebezpieczeństwo zmierzyć, żeby odgadnąć, skąd, w jakiej formie, w jakim rozmiarze ono przyjdzie; on nie jest wzburzony, bo na taki obrachunek trzeba zachować całą trzeźwość umysłu, całą zimną krew, całą moc nad sobą. Dla niego te złe wróżby nie nowe, bo on nieraz, choć innym tonem, słyszał podobne od króla Stefana i sam je potwierdzał. On zdaje się myśleć: „Gdyby król Stefan żył, to we dwóch jeszczebyśmy te niebezpieczeństwa odwrócili. Ale jego zabrakło już — a ja? Czym jeszcze taki, jak za jego życia? Któż tu da radę, kto podoła?”

Nie ten, co poniżej niego siedzi na swoim królewskim krześle, taki poważny, taki dostojny i tak uczciwie, tak sumienie zamyślony, że naprawdę w „każdym calu król”. — Zygmunt III Matejki jest od historycznego zapewne większy, piękniejszy. Kiedy siedzi tak spokojnie i wrażenia po sobie poznać nie daje, on nie jest nieczuły, ani nie myślący. On o przyszłości swego królestwa myśli to, co jego kaznodzieja, a czuje, że z koroną wziął część wielkiej odpowiedzialności za tę przyszłość. Ale on Szwed, więc tak, jak Skarga, jak stara Jagiellonka, czuć nie może. On król, na wzorze Filipa II kształcony, i za warunek królewskiej powagi ma tę sztukę spokoju i posiadania siebie, która poddanym w duszę królewską spojrzeć nie daje. On Zygmunt; więc, przewidując złe, mówi sobie, że z obowiązku i z przekonania ze złem walczyć będzie; ale czuje zarazem, że go nie pokona, a jeżeli nie pokona, to zniesie to ze spokojem. Poradzić nie mógł, próbował, zrobił, co był powinien, a więcej nie może. Przyszłość w ręku Boga; jeżeli będzie złą, to ten naród sam sobie winien. On ręce umyje, z czystszym sumieniem niż Piłat, bo temi rękami królestwa nad brzegiem przepaści utrzymać nie mógł.

Czy w dziecinnej głowie królewicza nie utkwiły w tej chwili po raz pierwszy te wrażenia, z których zrodzi się kiedyś ta gorąca chęć, a myśl niejasna ratunku? Co pewna — to, że łzami królowej Anny płacze, jej ustami modli się jej brat i ojciec i zbiorowa miłość wszystkich, ilu ich było, Jagiellonów. Młoda kobieta przy niej jest jedną z najlepszych, które Matejko wymalował; śliczna i szlachetna w rysach, jest prosta w wyrazie i ruchu.

Słowo jeszcze o układzie. Trudno jest ułożyć w obraz kazanie. Głównej figury, kaznodziei, nie można postawić na ambonie: siedziałby w niej schowany do połowy, a byłby tak wzniesiony nad słuchaczy, że albo on na swojej wysokości musiałby być bardzo małym, albo ich widałby było tylko po ramiona, i naturalnie większych daleko od kaznodziei. Matejko więc każe Skardze mówić nie z ambony, ale od ołtarza; i w tem ma słuszość. Odstępuje od kościelnego zwyczaju, ale inaczej zrobić nie może. Stawia Skargę na stopniach kaplicy św. Stanisława, tyłem do trumny, przodem do wielkiego ołtarza. Chce przytem być wiernym, nie zmienić na włos katedralnego prezbiterjum. Z tego wynika, że w miejscu bardzo szczupłym ledwo króla z dworem i głowy senatu może pomieścić. Może to szczęśliwie, bo siła rzeczy wstrzymuje go od zbytku, od natłoku figur. Niema też w obrazie owych ukrytych pomysłów, które w późniejszych obrazach zdarzają się nieraz; obraz jest szczerze obrazem. A jednak dlaczego król siedzi na jednym poziomie ze wszystkimi? dlaczego nie ma swego tronu na stopniach? To tem dziwniejsze, że na ten tron jest miejsce i wyraźnie oznaczone. Makata z herbami królestwa, ze „snopkiem” Wazów w środku, zawieszona nad stallami, wskazuje, że na tronie czy w stalli, król tam powinien siedzieć. Tymczasem on siedzi na dole, a na tle tej makaty rysuje się wzniesiona o parę stopni postać Zamojskiego. On stoi, nie siedzi, ale on góruje nad wszystkimi: jego głowa, jedyna, wypada na tej samej wysokości, co głowa Skargi. Tym sposobem nieznacznie daje poznać Matejko swój sąd, swoje rozumienie historii — a zarazem i swoją skłonność do pomysłów i zamiarów ukrytych, ale mających głębsze znaczenie i cel.

Nie może być wątpliwości, które to z kazań sejmowych mówi Skarga. To nie najszacowniejsze ze wszystkich, drugie

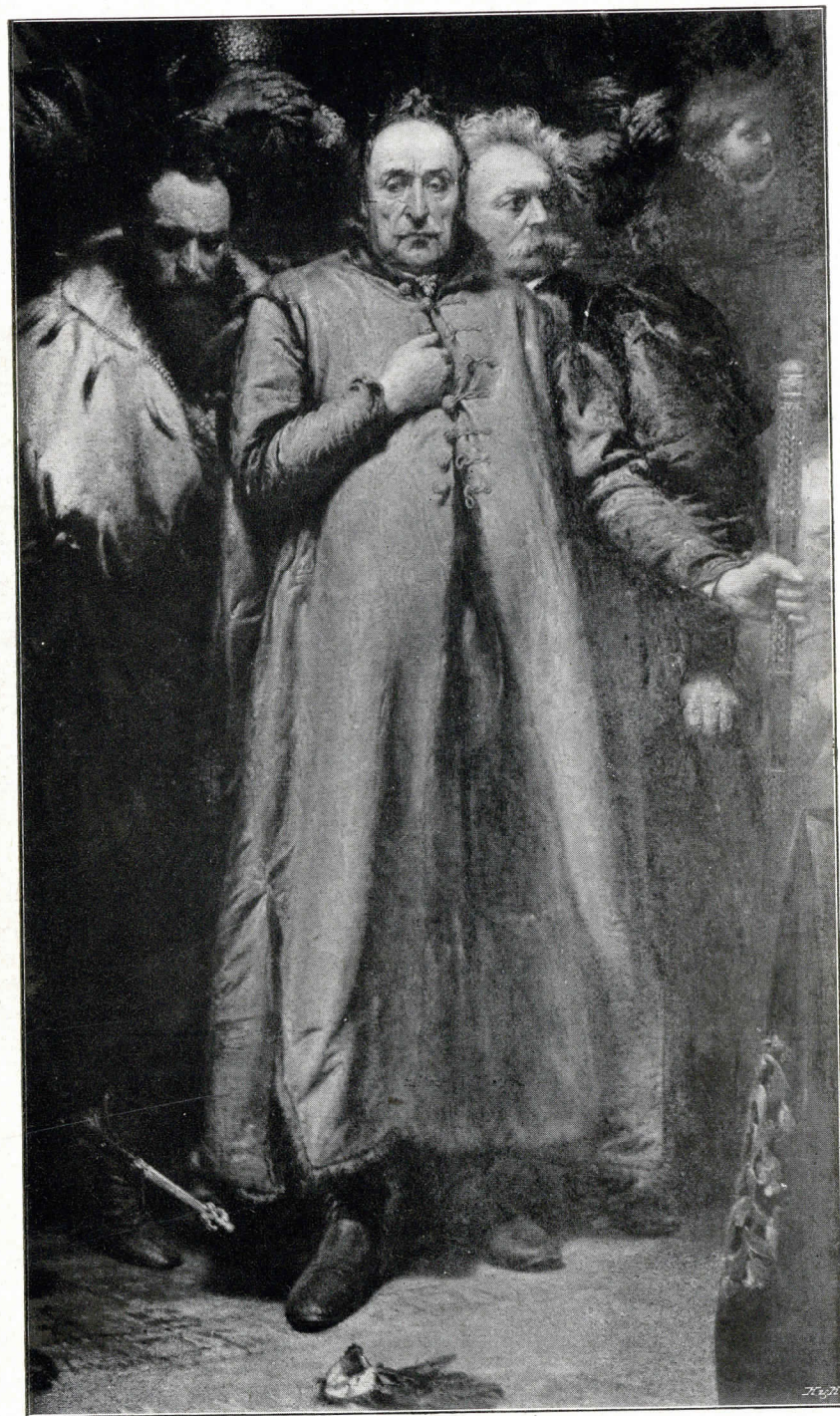
o „Miłości“, — to ostatnie — to ósme ¹⁾). Matejko widzi Skargę, kiedy mówi te słowa Jeremjasza, słyszy je z obrazu widz: „Tak was pogruchoce Pan, jako ten garniec, którego skorupy spoić się i naprawić nie mogą“. Ale kiedy te słowa mówi Skarga, to Matejko obrazem swoim mówi te dalsze, z samego końca kazania: „Ja wam najmiłszym bratom moim i ludowi memu i ojczyźnie mojej miłej życzę, aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogrózek swoich“.

Na zakończenie niech się godzi przytoczyć sąd Siemieńskiego²⁾: „Czujemy się umocnieni w naszej wierze co do przyszłości sztuki ojczystej, gdy wpatrując się w wielką historyczną kartę „Kazanie ks. Skargi“, skreśloną pędzlem Matejki, czujemy głos, wyrrywający się z piersi: „Historja nasza ma już swego malarza!“ Nie powierzchwnia płótna szeroka — (niestety! jeszcze dla artysty za mała), nie samo wprowadzanie na scenę postaci drogich pamięci Polaka, nie okazałość strojów Zygmuntowskiego dworu, nie żadna aluzja w związku z interesem obecnej chwili — stanowią wartość tej kompozycji. Przeciwnie, niema tu nic wyrachowanego na efekt, dla zyskania oklasków. Sama tylko powaga dziejów, surowa, lecz pełna prawdy, życia i ciepła wieje z tego obrazu i zdaje się przemawiać złotym językiem Piotra Skargi, nie tylko przez usta samego kaznodziei, ale i przez wszystkie postacie, wskrzeszone wyobraźnią artysty i naznaczone piętnem charakterów, tchnących energią lub niedołęstwem, piętnem namiętności wzniosłej lub poziomej — gorącą wiarą lub szyszczącą obojętnością, miłością bez granic i samolubstwem, pychą i pokorą... Gdy spojrzysz na te kilkanaście figur Zygmuntowskiego dworu i na samego Zygmunta Wazę i na tych duchownych i świeckich senatorów, fantazja twoja i pamięć czuje się podrażnioną, rozgorączkowaną. Ileż to zdarzeń nie miga ci przed oczyma, ile triumfów, ile zawodów, jakie boje, jacy hohaterowie, jakie olbrzymie dusze cnotą i występkiem! Kompozycja, tak pobudzająca do myślenia, nosi w sobie wszystkie przymioty i zalety historycznego rodzaju.

¹⁾ wygłosił je Skarga także w roku 1597, a ogłosił w zbiorze „Kazań sejmowych“ pod tyt. „O niekarności grzechów jawnych“. ²⁾ Lucjan Siemieński, ten sam, który przetłumaczył Odyseę,



ANNA JAGIELLONKA I HALSZKA Z OSTROGA
(J. Matejki „Kazanie Skargi“)



RADZIWIŁŁ, ZEBRZYDOWSKI, STADNICKI
(J. Matejki „Kazanie Skargi“)

„Obraz ten — to nie jest malowane sprawozdanie z jakiej uroczystości dworskiej, zawartego traktatu, ceremonii chrztu lub ślubu, ale żywa karta dziejów, narodowa, jak narodowym jest Skarga lub Woronicz¹⁾, a przytem drgająca rzeczywistością, jak spełnienie proroczych słów boskiego mowcy...

„Co do techniki — zdaje się, że artysta pokonał wszelkie trudności; co do kolorytu — powiem bez przesady, że jak śpiewak, władający najszerszą skalą tonów, prym trzyma, tak samo w Kazaniu Skargi zagrał artysta wszelkimi gamami bogatej palety...

„To pewna, że wielkie dusze, wielkie genjusze, wywierają wpływ nie tylko w jednym kierunku. Skarga mógł stworzyć u nas dobrych mowców kościelnych, dobrych prozaików, nawrócić niejednego zbłąkany umysł; — pokazuje się, że jeszcze stworzył historycznego malarza. Dlatego do znanych Woroniczowskich słów: „Chceszli zostać dobrym kaznodzieją? czytaj Skargę; filozofem? czytaj Skargę; teologiem? czytaj Skargę; dziejopisem? czytaj Skargę; politykiem? czytaj Skargę“ — możnaby dodać jeszcze słowa: chcesz zostać malarzem historycznym? czytaj Skargę; jakkolwiek nie każdemu dana jest ta wyższa łaska, jakiej doznał Matejko“.

(Matejko).

Przyjrzyjmy się jeszcze dokładniej kompozycji obrazu. Ile grup głównych wyodrębnia się w kompozycji? Ktore postacie w każdej z grup zwracają szczególną naszą uwagę? Czem? Spróbujmy zdać sobie sprawę z uczuć, jakie słowa Skargi budzą w Radziwille, Zebrzydowskim i Stadnickim. Czy z fizjognomji innych osób nie potrafimy wyczytać, co się dzieje w ich duszach?

¹⁾ Jan Paweł Woronicz, pod koniec życia arcybiskup warszawski, poeta i kaznodzieja (um. 1829 r.)

27. Jan Bielecki

powieść narodowa polska oparta na podaniu historycznym

przez

Juljusza Słowackiego.



Juliusz Słowacki, jeden z największych poetów polskich, przyszedł na świat w Krzemieńcu 4 września 1809 r. Ojciec jego, Euzebjusz, profesor liceum krzemienieckiego, poeta i tłumacz, osierocił synka wcześniej, a wówczas wychowaniem dziecka zajęła się matka, kobieta o duszy pięknej, wrażliwej. Gdy wyszła powtórnie za mąż, Juliusz znalazł gorliwe opiekunki i przyjaciółki również w córkach ojczyzny (doktora Bécu). Dziecko było nad wiek rozwinięte, ale wątłe, to też stanowiło przedmiot miłości, dumy, ale i ciągłych obaw matki. Miłość matczyną odpłacał Juliusz serdeczną miłością synowską: w całym późniejszym życiu nie miał on nad matkę lepszego przyjaciela, przed nią zwierzał się z wszystkimi myślami swymi i marzeniami. Marzycielem bowiem był już w dobie dzieciństwa, rzeczywistość go nie zadowalała, wyobraźnią przekształcał ją, szukał niezwykłości, pożywał czegoś, czego mu codzienność życia nie dawała. Marzył też o sławie poety i modlił się o „życie choćby najnędzniejsze, byle go nie minęła nieśmiertelna sława po śmierci”. W gimnazjum czytał z zachwytem utwory Mickiewicza i sam też wcześniej zaczął tworzyć. Na uniwersytet uczęszczał w Wilnie, ale nad uczelnią tą zawisła już w owych czasach ciężka ręka Nowosilcowa: życie młodzieży było zdławione, Filareci i Filomaci rozbici, rozprószeni, w więzieniach. Więc i dzięki temu również poeta zamykał się coraz więcej w sobie, tworzył sobie swój świat własny. Po ukończeniu nauk uniwersyteckich wstąpił do Komisji Skarbu w Warszawie, ale praca biurowa nie mogła mu dać zadowolenia. Żył w krainie wyobraźni. Pisał też wiele, a do utworów, które powstały w tej dobie, przed wybuchem powstania, należy również „powieść narodowa polska”: „Jan Bielecki”.

Posepny — siadę na odłame głazu¹⁾

Smutna się powieść w pamięci rozwija.

Czytałem w księgach — a godło obrazu

Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija”.

W kronikach znajdziesz powieści ośnowę,

Z kronik czerpane rysy i kolory.

5

¹⁾ Przed temi wierszami znajduje się wstęp, w którym mieszczą się ślady wrażeń doznanych przez poetę w Londynie. Wstęp ten powstał później (w Londynie był Słowacki w r. 1831).

Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała dwory. 10
Co było w kraju? nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka¹⁾ w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy, 15
Dalej kaplica blachą powleczone²⁾.
W komnatach żadnej nie ujrysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król polski, i szlachcic mieć może. 20

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki 25
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy;
Spodłonym tworom Bóg odmówił mowy. 30

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznac za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo błądy,
Wydaje troski zachmurzonym czołem. 35
Może biesiada cierpienia ukoj?

Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czołe pozbył zwykłej dumy.

Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty; 40
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi — szlachta wstaje, słucha.

Bracia! na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie 45
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.
„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,

¹⁾ Złota Lipa, ²⁾ dzisiaj w kościele zamkowym, z ciosowego zbudowanym kamienia, w dwóch bocznych kaplicach znajdują się pięknie wykonane, alabastrowe i marmurowe pomniki Sieniawskich.

Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien, winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, nie próżno przychodził;
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodił,
Nie spojrział na mnie i odprawił z niczem.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie księżę?
Wszak nasze państwo, to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzeże;
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

„Hej! Szlachta! znanie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawie rzedzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki wałę się pod gromem,
On podparł domu wałę się ściany
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! — niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże!
Dom zrzuć, spalę, grunt domu zaorzę“.

Miodem i winem i uczta zagrzany
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się mieszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.

50

55

60

65

70

75

80

85

90

Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki!
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi:
Już pojechali!... Niech ich Bóg prowadzi!

95

II.

Wesele

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz, potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary.
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

5

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartym czołem Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy, stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku,
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husarze, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sołole
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

10

15

20

25

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
Srebrzyste strzemię i złota podkova.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni;

30

35

Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształ; —
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki.
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świecili kozaki.
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie! — zawołał pierwszy swat. — Przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? Czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...“
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi,
Patrzają, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko, jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno“ rzekł „Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami.
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa...
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spał konia
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścioneł.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

40

45

50

55

60

65

70

75

80

85

III.

Bal maskowy

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerwiałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego sioła.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty
I czyta głośno, a spokojność wiary,
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,
Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
„Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maskary“. —
„Ha! precz mi z oczu!“ — krzyknął Cześnik stary,
„Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych uraga!
Precz! bo na Boga...“ Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy...
Była to straszna chwila przed północą.
Wokoło słychać nocnych kurów pianie

5

10

15

20

25

30

35

40

I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
Wszedł blady człowiek — lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“
Wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu...“
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze¹⁾.
Anna spojrzała i zbładła: „O! Boże
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nade mną!“

Jak cudny obraz oczom się odkrywał
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złożonemi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem pomiędzy kolumny;
Ujrysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica,
A w rękę jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewczica,
Z różnym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu²⁾.
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;

¹⁾ Basora, miasto w Turcji azjatyckiej, ²⁾ Wenecja.

I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas¹⁾ się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska²⁾ szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask diamentowy,
We włosach toną przepaski z koralii...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewczica?
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

Z e m s t a.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośnie to radość, lecz radość nieszczera;
Śmiech słyhać!... śmiech to wymuszony świata
Na białych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśniej jak kwiaty z płótna,
Któreimi błyszczy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękitcie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędła.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jedną chwilę rozkoszy — choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumy różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada.
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złożonych niejedna twarz błada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżycy;

¹⁾ Torquato Tasso, sławny poeta włoski w w. XVI, autor epopei „Jerozolima wyzwolona“, ²⁾ kaszmir, cienka tkanina z wełny kóz kaszmirskich i tybetańskich. (Kraje Kaszmir i Tybet w głębi Azji).

A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słysząc wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał paza pomieszany, błądy.

— „Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty...”

— „O panie! twojej bojaźni nie dzielę.
To jakaś szlachta zjechała kulikiem...”

„Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachtaby zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...”

Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odzwierny... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!

O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędeż, paziu młody!”

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.

Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?

Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju
Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.

Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,

Miecz jego w pochwach, on wzrokiem zabija.

Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko błady

Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...

Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgrozo! to miecz dobrze znany;
Nad emalii zaćmionym lazurem

Obraz Najświętszej Panny malowany
I obraz krzyża — pod krzyżem na dole

Herb, jakby srebrne księżycy półkole,
I gwiazda, hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone —
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i, jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa;
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana,
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki.
Ona jak martwa była w jego dłoni:
Z głowy różane pospadały wianki
I włos się rozwiął, pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara.
A strasznie bladą była twarz dziewczyny.

Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.

— „Ty-ż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła...”

I zdjął Bielecki turban muślinowy;
Anna spojrzała i padła omdloną.

Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili, ciężko przebudzona,
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak błady!...”

— „Cha! błady? przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
„Wszak zdradzam!...” zamilkł — lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnie powtórzono echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.

A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! bądź jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano — zdrada.

Kraj cały we krwi... Wzniesł na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkłe malowidła.
Gdy błysnę słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz, przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszym patrzy i niepewnym licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy.

Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
 Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
 Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy
 Weselsze będą grobowe cyprysy. 120
 O! luba moja, poco te rozmowy?
 Luba! chodź ze mną wieść życie tułaczy!
 Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
 Na twojem łonie dożyję siwizny,
 Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy“. 125
 — „Mój ojciec!“ — „Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!
 I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
 Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...
 Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
 Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje; 130
 Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi,
 Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
 Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi“.

V.

Kościół wiejski.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
 Już pochylone, wsparte na podpory;
 Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
 Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
 Różne już na nich wybiło kolory. 5
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
 Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
 Na progu żebrak pacierze powtarza.
 Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
 I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza. 10
 Daleko słyhać wiejski dzwon kościelny.
 Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
 Było to święto, był to dzień niedzielny;
 Dziś plug spoczywa, zieleni się rola.
 Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty, 15
 Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
 Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty,
 Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
 Ucichła... księdza tylko słyhać słowa,
 Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca; 20
 Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
 Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
 Świergocą wróble i pod szczytem wieży
 Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w niskie progi 25
 Jacys wędrowcy weszli do kościoła.
 Jeden padł na twarz, całował podłogi,
 Drugi ponury, nie uchylił czoła.
 Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
 Błysnął z pod płaszcza i twarz nie wesoła. 30
 Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
 Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
 Teraz zaczyna mówić boskie słowo. —
 „O! bracia! dzieci! i tegożem dożył 35
 Ja, stary wiekiem, z ubieloną głową,
 Że kiedy nieraz ośladzałem troski,
 Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.
 Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
 Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski. 40
 Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
 Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
 Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
 Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
 A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!...“ 45
 Zachwiał się starzec i zalał się łzami.
 Zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,
 Jakże niechętnie! dźwiękiem ledwo żywe.
 Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
 Jakby w dzień sądu otwarty się groby. 50

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
 Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
 U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
 Jeden z wędrowców, co stali u proga, 55
 Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
 Drugi zaś, drżący i blady straszliwie,
 Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
 Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza. 60
 Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca
 I tam, na zimnym kamieniu grobowca,
 Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
 Cieniem świeżości okryły go drzewa,
 Cieniem, co groby kwitnące okrywa; 65
 Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa.
 Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
 Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
 Twarz go ta razi, — twarz biała, nieżywa;
 I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!...“ 70
 Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,

A ksiądz wychodził za kmiociów gromadą;
We wrotach stanął, fwarz odwrócił błądą
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza“.

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewczica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa.
Czy brak w niej czucia? bo sucha żrenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty,
We włosach jasne przepaski z koralami.

„O! mój najmiłszy!“ — rzekła — „o! mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!...“
Nagle spojrziała i krzyknęła srodze.
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi“.
Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy:
Lecz coraz bardziej ciemniejszą kolorą,
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;

75

80

85

90

95

100

105

110

115

I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu
Usnęła — może usnęła na wieki...

I cicho! niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmia pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania,
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

120

125

Do których z pośród osób, biorących udział w akcji poematu, dałyby się zastosować słowa wyrzeczone przez Skargę w Kazaniu o miłości ojczyzny?

Starajmy się określić nasz stosunek uczuciowy do postaci bohatera. Czy sympatyzujemy z nim, czy potępiamy go bezwzględnie? Może stosunek nasz do Bieleckiego zmienia się w toku lektury poematu? Kogo darzymy najżywszym współczuciem? Dlaczego? Kogo potępiamy bezwzględnie? Dlaczego? Spróbujmy scharakteryzować zwięźle na podstawie „Jana Bieleckiego“ stosunek magnata do szlachty. — Która scena w poemacie wzrusza nas najbardziej? Zdajmy sobie sprawę z motywów wzruszenia. Kiedy spotykamy się w „Janie Bieleckim“ z nastrojem grozy? z nastrojem smutku? Dzięki czemu powstają te nastroje? — W których chwilach rozwoju akcji moglibyśmy mówić o zagadkowości? Co ją wywoływa? Czy poeta nie pozwala poznać, że pragnie czytelnika zagadkowością zaniepokoić? — Zastanówmy się nad rolą kontrastów w poemacie. Co poeta kontrastami osiąga? — Jakie znaczenie ma w poemacie żywioł opisowy? (celem dania odpowiedzi na to pytanie wziąć pod uwagę także tempo akcji). — W jaki sposób wywoływa poeta wrażenie tłum? (porównać środki artystyczne, którymi się w tym celu posłużył, ze środkami artystycznymi, których — obrazując tłum — użył Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, Reymont w „Weselu chłopskim“). — Co samemu poecie w obrazach roztoczonych głównie się podoba?

28. Książę Józef Poniatowski

przemówienie wygłoszone w setną rocznicę zgonu
przez Szymona Askenazego.

...Urodził się na wysokim, wielkopańskim szczyblu społecznym, na stopniach walącego się tronu polskiego. A zarazem — w świetnej stolicy, w cieniu wspaniałego tronu jednego z rozbiorców Polski. Nie osiągały tam do dziecka odgłosy

Szymon Askenazy, b. profesor historii polskiej w Uniwersytecie J. Kazimierza we Lwowie, delegat do Ligi narodów, autor wielu dzieł historycznych, z których największą poczytnością cieszy się monografia pod tyt. „Książę Józef“.

bezkrólewia, Baru, podziału. Wprzęgnięty młodzieniec do służby cesarskiej, krew nasampierw przelewał za sprawę cudzą... Pospołu z chłopem galicyjskim, za cesarza, na Turka szedł książe Józef.

Ale, co więcej, dostał się nietylko w cudze ryzy służbowe, lecz pod wpływ cudzej kultury wysokiej i ujmującej. Obcość i wrogość otaczającego środowiska kryła się dla niego pod ułudą powinowactwa i łaski. Tam najułudniejsze ciągały go pozory obowiązków szlacheckich: "honoru wojskowego, wdzięczności, lojalności. Stamtąd bił blask i potęga. A z kraju zalały mroki i bieda. Jakże mizerną po Wiedniu wydać się musiała Warszawa;... po lśniącej zbroi Habsburgów — zardzewiałały oręż Rzpltej.

Siłą takiego to bijącego w oczy przeciwieństwa, odpol-szczenie samorzutne, poza poniewolnem, wdzierać się mogło już wtedy do świeżych odłamów rozbiorowych, a potem do wszystkiej podzielonej Polski. Pociąg do potęgi, fortuny a przeto i mądrości wrogiej, i ukorzenie się przed nią w duchu; odraza do nędzy, klęski, a przeto i winy rodzimej, i zaparcie się jej w duchu: stale odtąd nad ogółem polskim unosić się będzie ta fatalna podnieta do samobójczego grzechu wynarodowienia. A do nikogo, dzięki uprzywilejowanemu jego stanowisku, nie podstępowała ona tak często, tak nęcąco i w postaci tak wielorakiej, jak do księcia Józefa. Podstąpiła doń w tym kształcie austriackim najwcześniej i może najwnikliwiej, sprzymierzona z młodością jego bezbronną..., lecz po ciężkiej walce wewnętrznej, odrącona została. To była pierwsza jego próba i pierwsza wygrana.

Zerwawszy ukwiecone kajdany obczyzny, książe Józef na pierwsze wezwanie Sejmowi Wielkiemu się stawił; powołanie swoje życiowe i dziejowe odnalazł; żołnierzem wodzem polskim ostał. Pracował gorliwie nad urządzeniem odradzającej się siły zbrojnej narodowej; złączył się z Ustawą Majową; w jej obronie na przemożnego ruszył nieprzyjaciela; nie uratował jej, — ale kampanją swoją ukraińską ocalił honor kraju. Od zadziwionych weteranów rosyjskich, nawykłych do rozpędzania kup konfederackich, a zniechęconych obalonych pod Zieleńcami impetem bataljonów polskich, osobiście przez niego w ogień

prowadzonych, z szacunkiem przezwany został: śmiały i rebionok, śmiałe dziecię. Przymusił do szacunku młodą śmiałością swoją; odkrzesał z popiołów iskrę starownej siły bojowej polskiej...

Tymczasem padła sprawa narodowa; górę wzięła przewaga rosyjska i zbrodnia targowicka. Do pogodzenia się z czynem dokonanym, do ugięcia się przed koniecznością, do rozsądku, a naprawdę do przemieszania, przynaglany był książe Józef najsilniejszym naciskiem, błaganem króla dobroczyńcy, namową najbliższej rodziny, względami na przyszłość własną. To była druga twarda próba w młodym jego życiu. Wytrzymał ją bez drgnienia; wyzuł się wszystkiego, stanowiska, majątku; czysty, wierny sobie, z kraju niewolonego wyszedł.

Aliści, wnet po jego odejściu, nastąpił w kraju wielki czyn insurekcji. Raptownie dojrzała ona i wyblęśla bez niego, ponad nim. Nie z winy narodu, ani też księcia tak się stało. Na czele rewolucji polskiej... niepodobieństwem było postawić księcia krwi; a zwłaszcza splamioną grzechem królewskim krwi i imienia Poniatowskich. Ale jakkolwiek konieczne, to wyłączenie i degradacja strasznym były ciosem dla bezwinnego duszy księcia Józefa.

Nadomiar z zawodu i urodzenia, raczej żołnierz regularny i zachowawca, musiał on żywić pewną niewiarę do oręża rewolucji, pewne uprzedzenie do jej ducha. Podobnie uprzedzonych było wtedy wielu, i to najzacniejszych; dlatego brakło w Insurekcji mnóstwa najzasłużeńszych mężów Wielkiego Sejmu; a brakło tam niemal zupełnie najpierwszych nazwisk wielkopańskich. Działo się zaś tak nie bez powodów bardzo poważnych i wcale zrozumiałych. Do absentowania się, do nieczynienia zazwyczaj tysiąc bywa powodów nawet zasadnych, nawet roztropnych; do przyczynienia się, wystawienia siebie, — tylko jeden, i zawsze ten sam: niemiłosierny głos obowiązku.

Posłuchał go i tym razem książe Józef. To była jego próba trzecia. Naprzód był poświęcił pierwszą miłość i szczęście osobiste. Potem poświęcił karierę i względy rodzinne

Teraz poświęcał dumę i przekonanie polityczne. Ukorzył się przed wolą narodu, przybiegł dzielić jego losy, wczoraj wódz, dziś podkomendny...

Po zupełnym rozbiórce Polski długie dziesięciolecie wieku męskiego strawić, stracić wypadło księciu w pruskiej Warszawie. Był to smutny, jałowy okres sennej bezwładności dla niego, jak i dla kraju.

Ale wybiła godzina orzeźwienia i czynu, kiedy nad Wisłę zleciały orły napoleońskie. Dla księcia była to godzina ponownej próby. Od obecnego swego monarchy a łaskawcy, króla pruskiego, wezwany został, pod zaklęciem na rycerską swoją lojalność, do posługi zbrojnej przeciw Napoleonowi. W tym samym kierunku pociągany był równocześnie od strony sojuszniczej rosyjskiej i czekającej w odwodzie austriackiej. Wszędzie tam on był pętany troistym spletem zobowiązań i względów... A był magnat w trzech równocześnie posesjonowany kordonach. Na podobieństwo wszystkich, ówczesnych i późniejszych, magnatów polskich, był w sposobie wyjątkowym i bezpośrednim, osobiście i materjalnie, zawisły od rządów rozbiorczych...

„Gdzie są wielkie rody wasze?” — tak piorunował Napoleon na opustoszałym od nich Zamku warszawskim... Na te wyrzuty za nich wszystkich osobą swoją odpowiedział książę Józef. Odepchnął tamte, przybrane pochlebstwem, a podszyte groźbą, zaprosiny pruskie do obozu koalicji... Całego siebie rzucił na szalę. Uznał wolę narodu w sprzężeniu swych losów ze sprawą Napoleona; oddał się pod jego rozkazy; został ministrem wojny i wodzem naczelnym Księstwa Warszawskiego.

Nad powierzoną sobie najwალniejszą poręką przyszłości, wojskiem warszawskim, czuwał odtąd z troskliwością umiejętną i żarliwą. Z dojrzałą decyzją męską, raz opowiedziawszy się za Księstwem, stanął przy twórcy jego i opiekunie. Nie uniżył się przecie, jak wtedy tylu innych, przed wszechmocą cezara. Zachował względem niego postawę godną; zawsze w szczęściu czy nieszczęściu, równą.

Do nowych, postępowych instytucji Księstwa Warszawskiego przystosował się z posłuszeństwem wewnętrznym, z karnością nie żołnierską tylko, lecz obywatelską... i umiarkowaniem.

Ale — bratanek Stanisława Augusta, syn Austriaczki, rzekomy pupil pruski i rosyjski, nieprędko jeszcze mógł odzyskać utracone z winy okoliczności pełne zaufanie rodaków. Wciąż jeszcze podejrzliwie, prawie nieprzyjaźnie, boczyła się na niego Warszawa i Księstwo. On to znośił z bólem wyrozumiiałym i cierpliwym. I tę również dał naukę, że niewolno Polakowi, choćby za krzywdę najoczywistszą, ze swoim prawować się narodem, zgoryczonym przez nieszczęścia bez miary, nauczonym nieufności przez przymus okrutnych doświadczeń i ciągłej walki o istność. Znał swój naród; wiedział, że krzywdę mimowolną on wynagrodzi z lichwą sercem całym..., że ma uniesienie sprawiedliwości i wdzięczności. I spokojnie czekał pory pięknego odwetu.

Doczekał się w warunkach najniepomyślniejszych, zaskoczony opanowaniem Księstwa Warszawskiego przez dwakroć przeważające wojska austriackie. Wbrew przestrodze rozumu, wiedziony szalonym porywem honoru, a naprawdę trafny instynkt zbawczym, stawiał im czoło, z bagnetem w ręku dotrzymał im placu... Rehabilitację swoją, rozpoczętą na polu raszyńskim, uwieńczył wspaniałą wyprawą galicyjską. Do jednej, wyzwolonej przez Napoleona, przydał wtórą, wyzwoloną przez siebie dzielnicę; tem samem zbliżył widoki wyzwolenia trzeciej. Runęła żywiołowo ku niemu fala radosnej narodowej skruchy. Powrócono do niego i pokochano go nazawsze.

Jakkolwiek fortunna wyprawa galicyjska była szczytem słonecznym dla księcia Józefa, to jednak i do niej ostre wrzynały się cienie. I tutaj nie darowała mu nieodstępna od jego kroków pokusa. Z dwóch stron jednocześnie, od austriackiego przeciwnika i od rzekomego sprzymierzeńca rosyjskiego, uderzono doń wtedy podmową natarczywą, grającą na jego patryotyzmie i jego ambicji. W Napoleonie, odbudowcy Polski, wystawiano mu jej zdrajcę; w sobie, rozbiorcach Polski, wystawiano jej wybawców; zaś do przynęty wybawicielskiej dokładano najświeższą osobistą: korony królewskiej dla księcia Józefa. Wzdrygnęła się w nim prawość; zachnął prosty rozsadek; bez trudu rozeznał się w tym fałszu, tem mamidle, za którym czyhała zguba pewna i haniebna. A bez żadnego też wahania cofnął ręce od podsuwanej sobie królewskiej purpury. Nie pożądał jej nigdy, na podobieństwo ambitnych oligarchów zgasłej Rzpltej,

wydzierających sobie ongi władzę najwyższą. On rwał się do najwyższej służby...

Jakim wtedy, już niedaleko kresu, w tej nie najgórniejszej jeszcze, lecz najszcześliwszej zawodu publicznego dobie, posiadał go i pokochał Kraków, dojrzałym, dorodnym, pięknym z ciała i ducha, takim wrył się w tradycji nazawsze ulubieniec Polski. Ale opisywać go zbyt ciężko; znamy go wszyscy. Miał w sobie, jak ów ulubieniec Rzymu, Germanik, nobilitatem ducis, decorem, ...patientiam, comitatem, per seria, per iocos eundem animum; „szlachetność wodza, okazałość, ...cierpliwość, ludzkość, jednaką w powadze i igraszkach duszę“... Pokazał, jak trudno być dobrym naprawdę Polakiem; iż niedość mieć nim być, — trzeba umieć... Cnota orężna była w nim jedynie naczyniem wyższej obywatelskiej. Tej to on najgłówniej uczył się aż do zgonu; i przez nią, wychowując w niej siebie, został jednym z wychowawców narodu.

Był z tem wszystkiem człowiek bardzo prosty. Był przystępny, niezapamiętały, miłosierny, człowiek bardzo dobry. Przy wrodzonym temperamentie bardzo żywym, bujnym, aż nadczułym był sensat, miał dużo zdrowego, jak sam mawiał, chłopskiego rozsądku. A wszelkie wrodzone słabości pokrywała, gasiła jedna cecha górująca: prawość. Z całą prostotą swoją łączył wzięcie się wspaniałe, zmuszające do liczenia się z nim i szacunku. Był w nim urok, pogoda i pańskość Polski. Stąd była jego nieodparta siła przyciągająca.

Kochali go też nietylko najbliżsi rodacy. Szli do niego łatwo, z zaciągami, ofiarą, akcesem, nieufni Litwini. Ciągnął do niego chętnie ociężały lud ruski. Zamłodu biegli na wyścigi mołojcy kozacy aż daleko z Zadnieprza służyć u jego boku... Znała go wszystka ziemia polska, którą on wszystką zmierzył stopą własną od brzegu do brzegu...

Nastąpiła wyprawa do Moskwy. W przededniu jej książę Józef znowuż miał sobie przyniesione do Warszawy dawne obietnice rosyjskie; a już w marszu na Litwę znowuż imieniem imperatorskiem ofiarowaną koronę polską. Uchylił raz jeszcze tamtą złudę; odżegnał się od tego kuszenia. Odbył wyprawę moskiewską, spisawszy uprzednio testament; z sercem

ściśnionem, gdyż widział ją założoną politycznie i wojskowo wbrew lepszemu przekonaniu swemu; ale z postanowieniem prostem, odwagą sobie właściwą, dojrzewającym talentem. Z myślą batorową w duszy, na rumaku karym, prowadził swoich aż pod same, ziejące ogniem, mury Smoleńska... Okazał w zwycięstwie szlachetną dla nieprzyjaciół ludzkość, germanikową mansuetudo in hostes¹⁾. Wzbronił najsurowiej wszelkich gwałtów i rabunku w zdobytej rosyjskiej stolicy; i czempredziej wywiódł z niej swych ludzi, których też nawet ihumeństwo²⁾ monasterów³⁾ moskiewskich uznało za jedynych w Wielkiej Armii „prawdziwych chrześcijan“. Okazał z kolei w okropnym odwrocie rzadki spokój i wytrzymałość. Przeprowadził z powrotem do Warszawy ocalone orły i działa polskie.

Ale tutaj w domu zastał rozprężenie i upadek ducha zupełny. A zastał już nawiązane od rządu Księstwa, od poważnych i bliskich sobie mężów, tajne układy kapitulacyjne z Rosją. Oceenił odrazu, jak one były niegodne, niewczesne i próżne; zatałmował je sam jeden wolą stanowczą. Uczynił natomiast rzecz jedyną, jaka była do zrobienia: zbroił się. Zebrał gorączkowo, ile się dało, szczątków straconej armji i świeżych zaciągów; a unikając wydania ich na łup nadciągającej nawale nieprzyjacielskiej, w ostatniej już godzinie, z niemi i z przymuszonym rządem odstąpił z Warszawy do Krakowa.

...Zewsząd nadciągali i otaczali go Rosjanie ze swemi posiłkami pruskiemi; z boku parli Austriacy, gotujący się do złączenia z koalicją. A tu srożej jeszcze nacierali nań swoi. Żądano od niego, by w Krakowie wytrwał, lub do Warszawy wrócił, w każdym razie w kraju pozostał, żeby pogodzić się z Rosją. Żądano tego w imię nadziei pokładanych w łasce imperatorskiej. Odsłaniano mu rąbek starań tajnych pod adresem Rosji; okazywano własnoręczne pismo carskie. Ale on w tych staraniach nie widział nic, prócz życzeń pobożnych i apelu do miłosierdzia zwycięzcy; w tem piśmie nic, prócz pochlebstw mglistych i wyraźnego wezwania do złożenia broni. Odpowiadał dotkliwie a mądrze: „Mocny się nie uniża, gdy ofiaruje; słaby upadła się, kiedy prosi“...

¹⁾ ludzkość wobec nieprzyjaciela, ²⁾ przełożenie nad zakonnikami w kościele wschodnim, ³⁾ monaster: kościół i klasztor, szczególnie wyznania wschodniego.

Przenikał jasnie, że pod pozorem pomyślnej ugody chodziło o kapitulację... Miał słuszość zupełną. Nie podniesienie Polski, lecz ostateczne jej pogrzebanie miało podówczas na widoku w obozie koalicyjnym; powrót z pewną tylko odmianą, do starego, trzeciego jej podziału. Porywany tedy najpotężniejszymi wpływami, książe Józef własną mocą im się oparł; z matni kapitulacyjnej się wydarł; z bronią polską z kraju wyszedł, na ostatnią dla kraju służbę.

Kiedy książe z resztkami wojska polskiego stawiał się w Saksonii przy Napoleonie, trwała jeszcze cisza rozejmu po świeżych, przelotnych wygranych francuskich. Ale niebawem, po przystąpieniu Austrii do koalicji, wznowiła się rozprawa, całkiem już nierówna, zgoła beznadziejna. Bez nadziei, a ze spokojem niezłomnym, uczestniczył książe w kolejnych zmaganiach się wojennych, staczających się szybko ku końcowemu rozstrzygnięciu, walce narodów pod Lipskiem. Wiadomo, jak bił się tutaj, — nie jako jedyny z cudzoziemców marszałek Wielkiej Armii, lecz gardzący tym zaszczytem wódz naczelny korpusu polskiego; jak uderzał, odpierał, osłaniał i krwawił; i jak narreszcie, po kilkudniowych nadludzkich wysiłkach, po doszczętnej już przegranej, stanął w obliczu śmierci.

W tym jednym, najostateczniejszym momencie ścisnęło się, zogniskowało i pojaśniło przedziwnie całe przeznaczenie i posłannictwo narodowe księcia Józefa. W szarudze jesiennej, w ścielących się dymach i ogniu, wśród grzmotu dział, trzasku ręcznej broni, huku pękającego mostu, jęku rannych, krzyku tonących, wściekłego zamieszania ucieczki i pościgu, odcięty od uchodzącej armii napoleońskiej, — on stał na koniu spienionym, osłabły śmiertelnie, zgorączkowany, zziębły, przemokły, okrwawiony cały, mdlejący z ran, znużenia i rozpacz.

Ale czemuż tej oddawać się rozpacz? Czem był dla niego ten pobity Napoleon, te wojska pierzchające, czem cała ta tragedja przegranej? Jakże łatwo jednym poruszeniem on mógł dla siebie znaleźć z niej wyjście i ratunek. Tylko — jak zaklinali go nieliczni jeszcze przy nim towarzysze, — zawrócić konia, dać się poznać; tylko — ze szpadą spuszczoną stanąć przed Aleksandrem. Tam nie groziło mu nic. Nie trzeba mu tam było

nawet przebaczenia, jak innym z rosyjskiego kordonu. Tam czekało go przyjęcie pochlebne, łaskawość dobrotliwa najczarowniejszego z monarchów, — któremu bardzo jeszcze mógł być użytecznym... Chirurga carskiego dla księcia pana! wina ze stołu carskiego, służby, karety dla rannego księcia pana!... Dla ojczyzny wszak uczynił on wszystko, oddał wszystko; do oddania miał już tylko nagie życie. A życie on znał, lubił... Dobiegł ledwie pięćdziesiątki; mógł długie jeszcze lata pędzić w beztrosce i zbytku. Tam czekały go Łazienki, Blacha, Jabłonna; osoby kochane, przyjaciele... A potem — czekała wizyta oficjalna na Zamku u prezesa Rady Najwyższej Tymczasowej, generał-gubernatora warszawskiego Łanskoja; u wiceprezesa, Jego Ekscelencji senatora Nowosilcowa. Potem — przyjęcie uroczyste Najjaśniejszego Pana Aleksandra I. przy łuku triumfalnym na Placu Trzech Krzyży. Parada na Placu Saskim pod Wielkim Księciem Konstantym. Asysta przy koronacji Mikołaja... To wszystko, i wiele więcej, będzie musiał naród. Ale trzeba było, żeby ktoś, i to ktoś bardzo w narodzie wydatny, tego nie chciał; aby niechęcią swą po wszystkie czasy okazał, że ten naród stary i wielki można podbić, ale poniżyć go, umniejszyć, znieprawić niepodobna. Książe Józef nie chciał. Nie chciał schylić karku. Wspięła się w nim prawość, pańskość, udziałność niepodległego Polski. Rzekł: „Trzeba umrzeć mężnie!“ Rzucił się naprzód zginął.

Póki Polska Polską, imię jego żyć będzie.

Na czem polegało bohaterstwo księcia Józefa? — W jakiej mierze sposób ujęcia i przedstawienia rzeczy w powyższem „przemówieniu“ wpływa na wywołanie nastroju podniosłego?

29. Książe

Wizja

przez Zdzisława Kleszczyńskiego.

Patrz!

Przez sto dróg, jak sto potoków,
W otoku kurzów, w złotej rdzy,
Jak obłok wielki! — sto obłoków!

Zdzisław Kleszczyński (ur. 1890), poeta. Utwór jego tu pomieszczony uwieczniony został nagrodą.

Suną stalowe jasne skry;
 Krańcami wiodą swe widety
 Na horyzontu wielki krąg,
 Półmiljonowa ciżba rąk
 Dźwiga szabliska i bagnety.
 A dołem huczy, dołem drży
 W szalonej mocy, w krwawej tęży
 Nabrzmiały wał ciał i upręży,
 Polygon¹⁾ armat ciężki, zły.
 Zmęczona śmierć z szpiżowych paszcz,
 Jak z czarnej wychyniona studni,
 Spogląda dziwnie uśmiechnięta.
 Nad wszystkim wisi kurzu płaszczy,
 Nad wszystkim pogłos głuchy dudni
 I wola tego, co pamięta.

Idą szeregi przed się w kraj!
 Wiarusy stare i panięta.
 Karmieni Europy krwią,
 Italji słońcem, bitew rdzą,
 Sprzągnięci obłąkańczą władzą,
 Ogromny łańcuch swój prowadzą:
 Wspaniałe, nieugięte lwy!

Szaleńcy!

Chamstwo. Nic nie warte,
 Póki nie spojrzysz na nie — On!
 Bonaparte.
 — Książę. Osłonisz odwrót armji.
 — Sire!...¹⁾

Książę osłoni odwrót armji.
 Lwy lwia się krwią dosyć karmi —
 Gdzie-bo nie posyłano nas!
 Och! mundur wodza przed wylotem
 Kul. Żołnierz ściele się pokotem...
 Hej! Książę polskiej kawalerji,
 W nieporównanej galanterji
 Poszedłeś bić się — jeszcze raz!

Książę!

Daleko Polska Twa...
 Kiedyś — — złocisty królewiczu,
 Bawiłeś strojne grono dam.
 Pod Blachą byłeś sam, paniczu;

¹⁾ wielobok, ²⁾ panie...

Swój polski sen o polskim zniczu
 W puściźnie przekazałeś nam.
 Sam byłeś, gdy różane roje
 Patrzyły w piękne oczy Twoje,
 Sam byłeś, kiedy Amor błądy
 Pierzchł o poranku niepowrotnie,
 Bo go przeraził słońca błysk
 Na rękojęści Twojej szpady.

Książę!

Daleko Polska Twa.
 Nim los nam sztandar w strzepy potnie,
 Jutro przyniesie krwawy zysk.
 Ty potrafiłeś stać do końca.

Książę poznał mocne ściegi
 Krwią. Polak dziś ich nie rozwiąże.
 Puchar wypełnił się po brzegi.
 Nie będziem pisać Ci elegji,
 Książę!
 Tyś między polskie bohaterzy
 Wszedł — i zostaniesz niepowrotnie.
 Nie będzie tułać się samotnie
 Wiatr, co nam powiał od Elstery.
 To, co wiatr przyniósł w swoim szumie,
 Pokocha każdy i zrozumie.
 Książę!

Bliższą dziś Polska Twa.

Z dalekich krajów i wylądów¹⁾
 Gdy się orłowi ptacy zbiegą,
 Powstaną stróże, którzy strzegą
 Sądów.
 Obudzą zmarłe Polski woje,
 Powiedzą gromko imię Twoje:

Iżeś niewolne zmazał błędy,
 Iżeś wyśpiewał hymn uniesień,
 Iżeś, rycerzu doskonały,
 Godzien najwyższej wieków chwały:

Legendy!

Dlaczego poeta nazwał utwór swój wizją? Czy do całego utworu może się odnosić to słówko określające? Czem oddziaływa poeta w utworze tym na wyobraźnię czytelnika? w jaki sposób na jego uczucie? — W czym, patrząc na postać dziejową, zgadza się poeta z historykiem?

¹⁾ wyląd: miejsce do wylądowania, przystań.

30. Farys ¹⁾Kasyda ²⁾ na cześć Emira Tadż-Ul-Fechra ³⁾ ułożona(Janowi Kozłowi ⁴⁾ na pamiątkę przypisana)

przez Adama Mickiewicza.

Jak łódź wesółą, gdy uciekłszy z ziemi,
 Znowu po modrym zwija się kryształ
 I pierś morza objawszy wiośły lubieżnemi,
 Szyją łabędzią buja ponad fale:
 Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
 Na obszar pustyni strąca,
 Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
 Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stał gorąca.
 Już płynie w suchem morzu koł i mój i rozcina
 Sypkie bałwany pierściami delfina.
 Coraz chyżej, coraz chyżej,
 Już po wierzchu żwir zamiata;
 Coraz wyżej, coraz wyżej,
 Już nad kłęb kurzu wylata.
 Czarny mój rumak jak burzliwa chmura;
 Gwiazda na czole jego jak jutrenka błyska;
 Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
 A nóg białych polotem błyskawice ciska.
 Pędź, latawcze białonogi!
 Góry z drogi, lasy z drogi!
 Daremnie palma zielona
 Z cieniem i owocem czeka:
 Ja się wydzieram z jej łona;
 Palma ze wstydem ucieka,
 Kryje się w głębi oazy
 I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.
 Ówdzie, granic pustyni pilnujące głazy
 Dziką na Beduina poglądają twarz;
 Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
 Taką za mną groźbą gwarzą:
 „O szalony! gdzie on goni!
 Tam od ostrych słońca grotów

¹⁾ Farys, jeździec, to jest zaszczytne nazwanie u Arabów Beduinów, znaczące to samo, co *chevalier*, rycerz w średnich wiekach. (Objaśnienie poety), ²⁾ Kasyda, rodzaj poematu, elegji w poezji arabskiej. Przedmiotem kasyd są najczęściej obrazy z życia koczujących Beduinów, ³⁾ Emir Tadż-Ul-Fechr, imię przybrane na Wschodzie przez Wacława hr. Rzewuskiego, syna hetmana, Seweryna. Wacław Rzewuski zasłynął fantastycznymi podróżami po Wschodzie, które odbywał w latach 1817–1820, ⁴⁾ Jan Kozłowski, poeta rosyjski, tłumacz Mickiewicza „Sonetów krymskich”. Mickiewicz poznał Kozłowa na wygnaniu, w Petersburgu, prawdopodobnie w roku 1828. Na ten czas przypada powstanie „Farysa”.

Głowy jego nie ochroni
 Ni palma zielono-włosa
 Ni białe łono namiotów.
 Tam jeden namiot — niebiosy.
 Tylko skały tam nocują,
 Tylko gwiazdy tam koczują.
 Daremnie grożą, daremnie!
 Pędzę i podwajam razy;
 Spojrzałem... aż dumne głazy
 Zostały zdala ode mnie;
 Uciekają rzędem długim,
 Kryją się jeden za drugim.
 Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
 Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
 I w pogoni za mną skrzydłami uderzył,
 Trzykroć czarnym obwinał głowę moją wieńcem:
 „Czuję, krakał, zapach trupi;
 Jeździec głupi, rumak głupi!
 Jeździec w piaskach szuka drogi,
 Szuka paszy białonogi:
 Jeździec, koniu, pusta praca!
 Kto tu zaszedł, nie powraca!
 Po tych drogach wiatr się błąka,
 Unosząc z sobą swe ślady;
 Nie dla koni jest ta łąka,
 Ona tylko pasie gady.
 Tylko trupy tu nocują,
 Tylko sępy tu koczują.”
 Kracząc, lśnjącymi szpony w oczy mi urągał;
 I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
 Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko!...
 Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał
 I gdym sępa oczyma poza sobą tropił:
 Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara
 Wielkości wróbla... motyla... komara...
 Potem się całkiem w błękitie roztopił.
 Pędź, latawcze białonogi!
 Skały z drogi, sępy z drogi!
 Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca;
 Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie.
 On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
 Jakim ja byłem na stepie!
 Nad głową moją zawisnął,
 Taką groźbę za mną świsnął:
 „O szalony! gdzie on goni!
 Tam pragnienie piersi stopi;
 Obłok deszczem nie odkropi

Osypanej kurzem skroni;
 Strumień na błoniu jałowem
 Nie ozwie się srebrnem słowem;
 Rosa nim na ziemię spadnie,
 Wiatr ją głodny w lot rozkradnie".
 Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy...
 Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
 Coraz niżej głowę skłaniać,
 Potem oparł się na głazy.
 A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
 Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
 Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
 Zaczerwienił się od złości,
 Oblał się żółcią zazdrości,
 Nakoniec jak trup szerniał i w górach się schował!...
 Pędź, latawce białonogi!
 Stepy z drogi, chmury z drogi!
 Teraz oczy, kręgiem słońca,
 Okręciłem koło siebie:
 I na ziemi i na niebie
 Już nie było za mną gońca...
 Tu natura, snem ujęta,
 Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
 Tu żywoły drzemią w ciszy
 Jak niepłoszone zwierzęta,
 Których stado nie ucieka,
 Widząc pierwszą twarz człowieka.
 Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy
 Oszalecowane świecą się zastępy...
 Czy błądzą? czy z zasadzki czatują na łupy?
 Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości!...
 Przybiegam — stoją; wołam — milczą... To są trupy!...
 Starożytna karawana
 Wiatrem z piasku wygrzebana!...
 Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
 Przez jamy, gdzie były oczy,
 Przez odarte z ciała szczęki
 Piasek strumieniem się toczy
 I złowrogi szemrze jęki:
 „Beduinie opętany!
 Gdzie lecisz? tam huragany!”
 Ja pędzę, ja nie znam trwogi!
 Pędź, latawce białonogi!
 Trupy, huragany z drogi!
 Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
 Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
 Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał

80

85

90

95

100

105

110

115

120

125

I, kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
 „Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
 Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
 Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?”
 Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
 Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
 Ze złości ład nogą trącił,
 Całą Arabję zmacił
 I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony;
 Oddechem ognistym palił,
 Skrzydłami kurzawy walił,
 Ciskał w górę, bił o ziemię,
 Nasypywał żwiru brzemie...
 Ja zrywam się, walczę śmiało,
 Targam jego członków kłęby,
 Ćwiertuję piaszczyste ciało,
 Gryzę go wściekłemi zębami.
 Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem;
 Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
 Deszczem piasku z góry lunął
 I legł u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem!
 Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
 I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
 Wszystkie poglądały ku mnie:
 Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
 Jak tu mile oddychać piersiami całami!
 Oddycham pełno, szeroko!
 Całe powietrze w Arabistanie
 Ledwie mi na oddech stanie.
 Jak tu mile poglądać oczyma całami!
 Wytężyło się me oko
 Tak daleko, tak szeroko,
 Że więcej świata zasięga,
 Niż jest w kole widnokręga.
 Jak miło się wyciągnąć ramiona całami!
 Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
 Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
 Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
 Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.
 Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce w niem grzebie,
 Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

130

135

140

145

150

155

160

165

Jakie przeszkody pokonał Arab? nad kim odniósł zwycięstwo? Nim przezwyciężył przeszkodę pierwszą, jakie obrazy rysują się w wyobraźni czytelnika? (co jest ich treścią?) Czem poemat się kończy? Jakież trzy główne części rozróżnimy w poemacie? Jakże części pomniejsze znaczą się w partii środkowej? Wskażmy w niej stopniowanie. Dzięki czemu przyroda

w „Farysie“ upodabnia się do istot ludzkich? Wskazać znamiona indywidualne przeciwników „Farysa“. Wskazać rozmaite postacie mowy w poemacie (z którą spotykamy się najczęściej? jaki ma to wpływ na barwę utworu?) Czy potrafilibyśmy określić uczucia, jakie wzbudził w nas Farys?

31. Wniebowzięcie

(Dzieło 28. Preludjum 7)
przez Kornela Ujejskiego.

1 Leżę na obłoku, Roztopiony w ciszę, Mgłę mam senną w oku, Oddechu nie słyszę; Fiołkowej woni Opływa mię morze, Dłoń złożony w dłoni, Lece, płynę gdzieś...	2 Nie wiem, gdzie, czym jestem — Czym anioł na poły? 10 Bo z cichym szelestem Migają anioły. 5 Chyba Bóg określi Moją słodycz... — Boże! Ach, nie zbudź mej myśli 15 I serca nie wskrześć!...
---	--

(Tłumaczenia Chopina.)

Kornel Ujejski, rodem z Małopolski, wychowanek Uniwersytetu J. Kazimierza we Lwowie, był jako poeta żywym protestem przeciwko uciskowi, jakiego doznawał naród polski od zaborców. Otuchy starał się dodać swym „Maratonem“. Myśl poematu zrozumieli wszyscy — poeta stał się rychło ulubieńcem społeczeństwa polskiego. Z innych jego utworów własnością ogółu stały się „Skargi Jeremiego“, napisane pod wpływem strasznych wypadków roku 1846. Wśród „Skarg“ znajduje się „Chorał“ („Z dymem pożarów...“). Prześliczne są „Tłumaczenia Chopina“, jakby ilustracja do szopenowskich utworów muzycznych. Umarł Ujejski w r. 1897.

32. Ojciec zadżumionych

w El-Arish¹⁾

przez Juliusza Słowackiego.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki

5

¹⁾ El-Arish, miasteczko na granicy Palestyny, ongiś twierdza egipska. Słowacki, opuściwszy w roku 1831 ojczyznę, przebywał kolejno w Paryżu i w Szwajcarii. W latach 1836—37 odbył dłuższą podróż: do Włoch, na wschód, zwiedził Grecję, poczem popłynął do Aleksandrii, był w Kairze, podziwiał piramidy, nie ominął Teb. Powróciwszy do Kairu, podążył stąd wielbłędami ku Palestynie, a w grudniu 1836 odbył kwarantanę w El-Arish. W styczniu stanął w Jerozolimie, gdzie spędził noc u grobu Chrystusa. Owocem tej podróży było kilka poematów, między innymi „Ojciec zadżumionych“.

Karmić się chwastem nadmorskich ajerów¹⁾; A w wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem, Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali. Córki po wodę chodziły ze dzbankiem, Synowie moi ogień rozkładali, Żona z synaczką przy piersiach warzyła. Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła Promienistemu słońcu się odśmiewa — Wszystko tam leży pod kopułką Szecha²⁾. A ja samotny wracam! — O! boleści! Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści! Odkąd do mego płóciennego dworu W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru. O niewiadoma ta boleść nikomu, Jaka się w moim sercu dziś zamyka! Wracam na Liban do mojego domu. — W dziedzińcu moim pomarańcza dzika Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki? W dziedzińcu moim córek moich kwiatki Spytają: Starcze, gdzie są twoje córki? Naprzód błękitne na Libanie chmurki Pytać mię będą o synów, o żonę, O dzieci moje — wszystkie pogrzebione Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha! — I wszystkie będą mię pytały echa, I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!	10 15 20 25 30 35 40 45 50
--	---

¹⁾ ajer, roślina wodna, ²⁾ Szech (Szeych) kaznodzieja, kapłan, święty mahometański; kopułka - grobowiec.

Siostry go chciały martwego całować;
 Krzyknąłem wściekły: Niech się nikt nie waży!
 Porwałem trupa i rzuciłem straży,
 Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
 I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebiła.
 A od tej nocy, tak pełnej boleści,
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
 Tej samej nocy Hafne i Amina
 Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
 A patrz! tak cicho umierały obie,
 Że, choć po śmierci najstarszego syna
 Oczy się moje do snu nie zawarły,
 A nie słyszałem, jak obie umarły!
 I nawet matka własna nie słyszała,
 Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
 Rankiem obiedwie, sine jak żelazo,
 Dwie moje córki zabite zarazą,
 Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
 I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
 A jak dorosłym przystoi dziewicom,
 Włosami ziemię zamiotły rodzicom.
 Widzisz to słońce w niebie lazurów?
 Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
 Zawsze zachodzi za tą piasku górą,
 Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
 A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
 Że słońce słońcu nierówne złotemu
 I już nie takie, jakie było wczora,
 Ale podobne do słońca upiora.
 A niebo, które patrzyło na zgubę
 Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
 Tak mi się mgliste zdawało i grube
 Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
 Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
 Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.
 I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
 Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
 Małżonka moja serce miała lżejsze
 I nawet moje dzieciątko najmniejsze
 Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
 Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
 Bo nie wierzyłem, żeby, wzięwszy troje,
 Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!
 O! była to więc piekielna godzina,
 Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
 Śmierć zobaczyłem. Ach! ja go tak strzegłem!
 Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny.

55

60

65

70

75

80

85

90

95

Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem!
 On do tamtego stawał się podobny;
 Stawał się jak mój trup pierworodzony:
 Z jasnego blady, z bladego czerwony.
 Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie.
 Więc zawołałem głośno: Śmierć w namiocie!
 I pochwyciwszy go z takimi trądy,
 Wyniosłem na step pomiędzy wielbłądy,
 Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka
 I żeby na to nie patrzyła — matka.
 Przy konającym czuwaliliśmy bliscy,
 Ja z wielbłędami — na kolanach wszyscy.
 Łamałem ręce i wołałem głośno:
 Oby nie umarł lub się był nie rodził! —
 A tam nad palmy, z twarzą Nielitośną,
 Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
 I patrzył. Tego z pamięci nie zatrzeć!
 I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
 Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
 Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
 Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
 Wyrwałem trupa i rzuciłem straży.
 Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy...
 I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
 Od tego zgonu i od tej boleści
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
 Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
 I pod namiotem tym zapowietrzonym
 Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
 I śmierć przed samą śmiercią udawali,
 Myśląc, że Boga oszukamy w niebie —
 Że się ten bałwan zarazy przewali...
 Powrócił. — Anioł powrócił morderca!
 Ale mię znalazł bez łez i bez serca,
 Już omdlałego na boleści świeże,
 Już mówiącego: Niech Bóg wszystko bierze!
 Miałem na syna trzeciego cierpienia
 Powieki bez łez i serce z kamienia;
 Boleść już była jako chleb powszedni,
 I pod oczyma mi konał mój średni,
 Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie
 I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
 To też Bóg jemu wynagrodził zato,
 Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
 Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień:
 Skonał i skościł i stał się jak kamień.

100

105

110

115

120

125

13

135

140

A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: Jesteście przekłęci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o, rozpacz! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszłe po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mnie żadna.
Ach! Ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek;
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegła po trawie,
Jak pracowity snując się pającek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła; i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na różę, przeze ły i słońce.
Ach! ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy
I wszystkie nasze łyzy — wzięta na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić;
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolną: schylały się nisko
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!

145

150

155

160

165

170

175

180

185

190

Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słyszac jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerszyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: Ratuj mię, ratuj, mój ojciec!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła.
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci;
A piękna była, jak anioł, po śmierci.

195

200

205

210

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni zaczęli hakiem; —
Hak padł na pierś jej twardą, kragłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją pod memi oczyma rozdarli.
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniósłem na cmentarz.

215

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać;
I co dnia było płacz w kołysce słyszać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającemu słyszał muezina;
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,

220

225

230

235

Krzycząc ze swego piaskowego stoga
 Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
 O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!
 Szumem pożaru, co miasta zapala,
 Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
 Zarazą, która dzieci me wytraca
 I bierze syny z łona rodzicielski.
 O! Allah! Akbar¹⁾ Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
 Zaczęło stronić ode mnie zdaleka.
 Namiotu mego — córki go uprzedły —
 Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
 I podarły się i, lekko napięte,
 Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
 Zarazę było znać na tym namiocie. —
 I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
 Co zlatywały się tutaj o brzasku,
 Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
 Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
 Po żer przestały się wszystkie zlatywać,
 Czy odstraszyło je podarte płótno
 Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
 Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna;
 I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
 Z wieczora huczeć już zaczęło morze
 I słońca się krąg pochował ponury,
 I niebo czarne zaciągnęły chmury.
 Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
 Ciemna, od gromów czerwoności widna.
 Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
 Słyszę, jak namiot geste sieką deszcze,
 Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
 Jak się nade mną w ciemności kołysze
 I od piorunów się cały czerwieni,
 Podobny grobom szatańskim z płomieni.
 Zdawało mi się za burzy łoskotem,
 Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
 Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho:
 Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
 I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
 Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
 Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —

Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
 W kołysce zcicha zapłakało dziecko!
 A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
 Bo zaraz matka, ja, oboje razem
 Rzuciliśmy się, gdzie robaczek l'chy;
 A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
 To tak wydawał się obojgu głośny
 I tak rozdarty i taki żałosny,
 I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
 I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
 Żeśmy oboje biegli, gromem tknięci,
 I bez nadziei już i bez pamięci!

I nie zawiodło przecucie żałoby:
 Umarło — z takiej, jak tamte, choroby.
 I poszło leżeć między trupy bratnie,
 Moje najmilsze i moje ostatnie!!!
 Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
 I już nie wróci! ani mi urośnie!
 Ani go kiedy mój dom już zobaczy!
 I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczyl!!!

Noc przyszła długa, błyszcząca gwiazdami.
 Byliśmy z matką w namiocie; przed nami
 Leżało dziecko na stole nieżywe,
 Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
 Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
 Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
 Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
 Ubyłoby mi z serca pół rozpaczyl.
 A to już — ani zarazy strażnicy
 Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
 Gdzie się nam trupia otwierała brama —
 Ale je matka tam zaniósła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
 Ale czy pojdziesz? Zamiast nas połączyć,
 Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
 Zaczęła jakieś jady w serca sączyć;
 I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
 Smutek podobny był do nienawiści
 I stanął czarny, wielki, między nami.
 Więc rozłączeni byliśmy i sami
 I nie mówiliśmy do siebie słowa —
 Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
 W pustym namiocie między mną i żoną,
 Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
 Słońce wschodziło w upały czerwono,
 Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,

¹⁾ Akbar: wielki (wyraz arabski).

Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.
 Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia.
 Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
 Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
 Zgoła innego jęku ni szelestu...
 Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
 I kwarantanny przybyli lekarze,
 Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
 Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
 Bo nachyliłem się był i posiwiiał,
 A żona moja od niespań i troski
 Była jak bursztyn albo żółte woski;
 Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
 Jakiś okropny ceglany rumieniec,
 A oczy pełne takiej błyskawicy,
 Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
 Lekarz nam kazał w sustawy¹⁾ uderzyć,
 Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
 Zdrow byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
 Ja, co me wszystkie całowałem trupy —
 Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
 Żona, co nawet nie tknęła połowy,
 Nad piersiami się uderzywszy, zbladła
 I zachwiała się z jękiem — i upadła;
 A ja na ręce wziętem trup niewieści,
 Zaniósłem w namiot i, rzuciwszy brzemię,
 Upadłem przy niej jak martwy na ziemię;
 I obudziłem się — na dni czterdzieści.

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
 Że chciała z grobu swojego dzieciątka
 Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
 Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
 I ta po dziecku umarłem pamiątka —
 Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
 Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
 W mogiłce z główki malenkiemu zdjęte —
 Bo biedna matka miała tyle mocy,
 Że odkopała dziecko o północy;
 Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
 Pocałowała w usteczek korale
 I znów włożyła do trupich obstępów —
 Te upominki i ten pocałunek,
 Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
 Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

330
 335
 340
 345
 350
 355
 360
 365
 370

I znów się łono piaskowe otwarło,
 Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
 Potem wróciłem do płóciennnej nory
 Schować się w cieniu jak nocne potwory.
 Ani ja słońca na niebieskim sklepie
 Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
 Stałem się jako zdziecinniali — starzy;
 W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
 Tylko te sine i okropne lica,
 Które mi wzięła zarazy martwica!
 I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
 Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
 Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
 W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
 I często dziwnym natrafiłem losem
 Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
 Z obłąkanego budziły mię śnicia
 Po nocy hyjen przeraźliwe wycia
 Tam nad trumnami; i słuchałem błądy,
 Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
 Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
 I przechodziły mi dni i tygodnie
 Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
 Stałem się twardy i zimny jak kamień.
 I raz — ach! Boska nade mną opieka! —
 Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda!
 I ach! nie była to już twarz człowieka,
 Lecz głowa mego starego wielbłąda.
 Spojrzał — i spojrział z twarzą tak litośną,
 Że rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście.
 Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
 O! gorzka wolność i chwila odlotu!
 Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
 Z uczuciem smutku boleści i zgrozy
 Będę wyrwał koły i powrozy,
 Które — o Boże wiekuisty, świeć mi! —
 Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
 Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
 A może tobie posępnym szelestem
 Te płótna więcej boleści powiedzą?
 One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
 Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
 Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
 Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
 Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem!

375
 380
 385
 390
 395
 400
 405
 410
 415

¹⁾ stawy.

Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótne
 Straszne się muszą obcym ludziom zdawać. 420
 Śmierć od zarazy — ach! to śmierć okrutna!
 Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
 Potem cię ogień pali — piersi gorą —
 Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
 I co dnia patrząc na tak konające, 425
 Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
 Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
 A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych!
 I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
 I tam mój cmentarz — a tamtędy droga. — 430

Który obraz śmierci najsilniej nami zatargał? (czemu to przypiszemy?)
 Gdzie więc punkt szczytowy bólu Araba? A przedtem czy potrafimy śle-
 dzić wznoszenia się bólu? a potem? Czy poszczególne fazy uczuć Araba
 tylko natężeniem różnią się między sobą? O ile uczucia jego objawiają się
 zewnętrznie? w jaki sposób? Zastanówmy się, czy obrazy przyrody nie po-
 zwalają nam głębiej odczuć i wnikać w to, co się działo w duszy nieszczę-
 śliwego ojca? Dzięki czemu każdy obraz śmierci jest inny?

33. Kwarantanna na pustyni¹⁾

przez Juliusza Słowackiego.

...Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną
 dolinę piaszczystą między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka
 El-Arish, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu
 pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu,
 błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać;
 ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową
 moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwa-
 rantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich
 czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod
 prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-
 Arish. Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu
 obaczyłem zdaleka, a doktor pierwszym napotkanym człowie-
 kiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski...,
 starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem uczynić
 jak najwygodniejszym: wydał ze składu kilka namiotów dla
 naszej gromadki podróżnej, a jak się później dowiedziałem,

¹⁾ Słowacki umieścił wspomnienia te „dla objaśnienia poematu“ przed
 „Ojcem zadżumionych“.

rażki jego żony grzęzły w białej i srebrzystej mące, aby mi na
 chlebie europejskim nie zabrakło.

Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do
 smutnego widoku, który mię otaczał. Opodał nieco rzeczka,
 sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do
 morza. Za nią była szara wstęga palmowych lasów, od północy
 błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek
 i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powie-
 trze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał
 białą kopułą grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego
 lochach składano umarłych z dżumy, a architektura jego i żół-
 tawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron
 wzgórze piaskowe, a na nich namioty straży i patrzący na kwa-
 rantannę strażnicy w jaskrawych ubiorach oryentalnych, w środku
 zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin donośnym
 głosem obwoływał wielkość Boga — rano, wieczorem i w nocy.
 Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w na-
 stępującej powieści, a pokażą mu się we właściwym świetle,
 albowiem je zobaczy przez ły ludzkie. Co do mnie, przy-
 wykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy
 piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów po-
 zwalano mi chodzić, wzięwszy z sobą jednego ze strażników
 kwarantanny.

W wigilię Bożego Narodzenia (r. 1836), kiedy z tej spo-
 kojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny
 mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach
 w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem
 z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i po-
 lała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi.
 W smutne i zamyślane o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli
 przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał
 się nade mną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ogni-
 stym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zga-
 sił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Pró-
 żne tu byłyby opisy, albowiem wielkością biblijną nacechowana
 była ta burza w pustyni... Przeszła jednak ta bezsenna noc
 zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury
 żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał po-
 wietrze.

Ale nie tu był koniec przestrachów. Krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwie kilka chwil czasu zostało do ratunku. Unieśliśmy zapomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych porwanych domów, zostały w dolinie. Ziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na triumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliższego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem, a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli.

Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot. I przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman¹⁾ mój, Soliman... opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży — i ze mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany smutna nuta kołysała mię do snu...

Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelację Orjona, tak podobną do gwiazdzistej lutni, zawieszanej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął.

¹⁾ tłumacz.

Wielbłądy moje znów ukłękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu. A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony. Obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołków z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilje białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus Pan do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilje, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny, odbytej przeze mnie na pustyni; daleko gorszą wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest zmyślona; opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że tych kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemuż jest dla niego wspomnienie w niezrozumiałym języku i wymówione głosem, który się zaledwo tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu?...

Co z wrażeń osobistych Słowackiego, doznanych podczas kwarantanny na pustyni, weszło w poemat o „Ojcu zadżumionych“? O ile wspomnienia jego uległy przetworzeniu? — Czy „Kwarantanna na pustyni“ to proza czy poezja?

„Tu za lasem, za stawem, 35
 Błyszczą mych zamków ściany,
 Mąż z królem Bolesławem
 Poszedł na Kijowiany.
 Lato za latem bieży,
 Niemasz go z bojowiska; 40
 Ja młoda śród młodzieży,
 A droga cnoty śliska!
 Nie dochowałam wiary,
 Ach! biada mojej głowie!
 Król srogie głosi kary; 45
 Powrócili mężowie.

Ha! ha! mąż się nie dowie!
 Oto krew! oto nóż!
 Po nim już, po nim już!
 Starcze, wyznałam szczerze. 50
 Ty głos świętemi usty,
 Jakie mówić pacierze,
 Gdzie mam iść na odpusty.
 Ach pójde aż do piekła,
 Zniosę bicze, pochodnie, 55
 Byleby moją zbrodnię
 Wieczysta noc powlekła“.

„Niewiasto, — rzecze stary —
 Więc ci nie żal rozboju,
 Ale tylko strach kary? 60
 Idźże sobie w pokój,
 Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
 Wieczna twa tajemnica.
 Bo takie sądy boże,
 Iż co ty zrobisz skrycie, 65
 Mąż tylko wydać może,
 A mąż twój stracił życie“.

Pani z wyroku rada,
 Jak wpadła, tak wypada;
 Bieży nocą do domu,
 Nic nie mówiąc nikomu. 70
 Stoją dzieci przed bramą,
 „Mamo“ wołają „mamo!
 A gdzie został nasz tato?“
 „Nieboszczyk? co? wasz tato?“ 75
 Nie wie, co mówić nato.
 „Został w lesie za dworem,
 Powróci dziś wieczorem“.

Czekają wieczór dzieci,
 Czekają drugi, trzeci, 80
 Czekają tydzień cały;
 Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
 Nie wygnać z myśli grzechu. 85
 Zawsze na sercu nudno,
 Nigdy na ustach śmiechu,
 Nigdy snu na żrenicy!
 Bo często w nocnej porze, 90
 Coś stuka się na dworze,
 Coś chodzi po świetlicy.
 „Dzieci“ woła „to ja to,
 To ja, dzieci, wasz tato!“

Noc przeszła, zasnąć trudno.
 Nie wygnać z myśli grzechu. 95
 Zawsze na sercu nudno,
 Nigdy na ustach śmiechu!

„Idź, Hanko, przez dziedziniec,
 Słyszę tentent na moście, 100
 I kurzy się gościniec,
 Czy nie jadą tu goście?
 Idź na gościniec i w las,
 Czy kto nie jedzie do nas?“ —

Jadą, jadą w tę stronę,
 Tuman na drodze wielki, 105
 Rżą, rżą koniki wrone,
 Ostre błyszczą szabelki.
 Jadą, jadą panowie, 65
 Nieboszczyka bratowie!“ —

„A witajże, czy zdrowa,
 Witajże nam bratowa. 110
 Gdzie brat?“ — „Nieboszczyk brat
 Już pożegnał ten świat“.
 — „Kiedy?“ — „Dawno, rok minął,
 Umarł... na wojnie zginął“.
 — „To kłamstwo, bądź spokojna, 115
 Już skończyła się wojna;
 Brat zdrowy i ochoczy,
 Ujrzyz go na twe oczy“.

Pani ze strachu zbladła,
 Zemdląca i upadła, 120

Oczy przewraca w słup,
 Z trwogą dokoła rzuca.
 „Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
 Powoli się ocuca, 125
 Mdlała niby z radości
 I pytała u gości:
 „Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
 Kiedy przede mną stanie? —

„Powracają razem z nami,
 Lecz przodem chciał pośpieszyć, 130
 Nas przyjąć z rycerzami
 I twoje łzy pocieszyć.
 Dziś, jutro, pewnie będzie,
 Pewnie kędyś w oblędzie 135
 Ubite minął szlaki.
 Zaczekamy dzień jaki,
 Poszlemy szukać wszędzie,
 Dziś, jutro, pewnie będzie“.

Posłali wszędzie sługi,
 Czekali dzień i drugi, 140
 Gdy nic nie doczekali,
 Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
 „Bracia moi kochani,
 Jesień zła do podróży, 145
 Wiatry, słoty i deszcze,
 Wszak czekaliście dłużej,
 Czekajcie trochę jeszcze“.

Czekają. Przyszła zima,
 Brata niema i niema. 150
 Czekają... myślą sobie,
 Może powróci z wiosną?
 A on już leży w grobie,
 A nad nim kwiatki rosna,
 A rosna tak wysoko, 155
 Jak on leży głęboko.
 I wiosnę przeczekali,
 I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
 Bo gospodyni młoda. 160
 Że chcą jechać, udają,
 A tymczasem czekają,

Czekają aż do lata,
 Zapominają brata.

Do smaku im gospoda 165
 I gospodyni młoda.
 Jak dwaj u niej gościli,
 Tak ją dwaj polubili.
 Obu nadzieja lechce, 170
 Obydważ zdjęci trwoga,
 Żyć bez niej żaden nie chce,
 Żyć z nią obaj nie mogą.
 Wreszcie na jedno zdani,
 Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo, 175
 Przyjm dobrze nasze słowo.
 My tu próżno siedzimy,
 Brata nie zobaczymy.
 Ty jeszcze jesteś młoda, 180
 Młodości twojej szkoda.
 Nie wiąż dla siebie świata,
 Wybierz brata za brata“.

To rzekli i stanęli,
 Gniew ich i zazdrość piecze, 185
 Ten to ów okiem strzeli,
 Ten to ów słówko rzecze;
 Usta sine przycięli, 145
 W rękę ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
 Co mówić, sama nie wie. 190
 Prosi o chwilkę czasu,
 Bieży zaraz do lasu.
 Bieży w dół do strumyka,
 Gdzie stary rośnie buk, 195
 Do chatki pustelnika,
 Stuk stuk, stuk stuk!
 Całą mu rzecz wyklada,
 Pyta się, co za rada?

„Ach, jak pogodzić braci? 200
 Chcą mojej ręki oba,
 Ten i ten się podoba,
 Lecz kto weźmie? kto straci?
 Ja mam maleńkie dziatki,
 I wioski i dostatki,

Dostatek się zmitręza, 205
 Gdy zostałam bez męża.
 Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
 Nie dla mnie już zameście!
 Boża nade mną kara,
 Ściga mnie nocna mara, 210
 Zaledwie przymknę oczy,
 Traf, traf! klamka odskoczy;
 Budzę się, widzę, słyszę,
 Jak idzie i jak dysze,
 Jak dysze i jak tupa, 215
 Ach widzę, słyszę trupa!
 Skrzyp, skrzyp! i już nad łożem
 Skrwawionym sięga nożem,
 I iskry z gęby sypie,
 I ciągnie mnie i szczypie. 220
 Ach! dosyć, dosyć strachu!
 Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
 Nie dla mnie świat i szczęście,
 Nie dla mnie już zameście!“ —

„Córko — rzecze jej stary, 225
 Niemasz zbrodni bez kary;
 Lecz jeśli szczerza skrucha,
 Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
 Znam ja tajnie wyroku,
 Miłą ci rzecz obwieszczyć: 230
 Choć mąż zginął od roku,
 Ja go wskreszę dziś jeszcze“.

„Co, co! jak, jak? mój ojciec!
 Nie czas już, ach nie czas!
 To żelazo zabójcze 235
 Na wieki dzieli nas!
 Ach znam, żem warta kary,
 I zniosę wszelkie kary,
 Byle się pozbyć mary.
 Zrzeknę się mego zbioru, 240
 I pójdę do klasztoru,
 I pójdę w ciemny las.
 Nie, nie wskreszaj, mój ojciec!
 Nie czas już, ach! nie czas!
 To żelazo zabójcze 245
 Na wieki dzieli nas!“

Starzec westchnął głęboko,
 I łzami zalał oko,

Oblicze skrył w zasłonie,
 Drżące załamał dłonie. 250
 „Idź zamaż, póki pora,
 Nie lękaj się upiora.
 Martwy się nie ocuci,
 Twarda wieczności brama,
 I mąż twój nie powróci, 255
 Chyba zawołasz sama“.

„Lecz jak pogodzić braci?
 Kto weźmie, a kto straci?“ —
 — „Najlepsza będzie droga,
 Zdać się na los i Boga. 260
 Niechajże z ranną rosą
 Pójdą i kwiecie zniosą.
 Niech każdy weźmie kwiecie,
 I wianek tobie splecie,
 I niechaj doda znaki, 265
 Żeby poznać, czyj jaki?
 I pójdzie w kościół boży,
 I na ołtarzu złoży.
 Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
 Ten mąż twój, ten kochanek“. 270

Pani z przestrogi rada,
 Już do małżeństwa skora,
 Nie boi się upiora,
 Bo w myśli swej układa
 Nigdy w żadnej potrzebie 275
 Nie wołać go do siebie.
 I z tych układów rada,
 Jak wpadła, tak wypada.
 Bieży prosto do domu,
 Nic nie mówiąc nikomu. 280
 Bieży przez łąki, przez gaje,
 I bieży i staje,
 I staje i myśli i słucha...
 Zda się, że ją ktoś goni,
 I że coś szepce do niej, 285
 Wkoło ciemność głucha:

„To ja, twój mąż, twój mąż!“

I staje i myśli i słucha,
 Słucha, zrywa się, bieży,
 Włos się na głowie jeży, 290
 Wtył obejrzeć się lęka,

Coś wciąż po krzakach stęka,
 Echo powtarza wciąż:
 „To ja, twój mąż, twój mąż!“

Lecz zbliża się niedziela, 295
 Zbliża się czas wesela.
 Zaledwie słońce wschodzi,
 Wybiegają dwaj młodzi.
 Pani, wśród dziewic grona 300
 Do ślubu prowadzona,
 Wystąpi wśród kościoła
 I bierze pierwszy wianek,
 Obnosi go dokoła:
 „Oto w wienku lilije,
 Ach, czyż to są, czyje? 305
 Kto mój mąż, kto kochanek?“

Wybiega starszy brat,
 Radość na licach płonie,
 Skacze i klaszcze w dłonie,
 „Tyś moja, mój to kwiat! 310
 Między lilij kręgi,
 Upłotłem wstążek zwój,
 To znak, to moje wstęgi!
 To mój, to mój, to mój!“

„Kłamstwo! — drugi zawoła — 315
 Wyjdźcie tylko z kościoła,
 Miejsce widzieć możecie,
 Kędy rwałem to kwiecie.
 Rwałem na łączce w gaju,
 Na grobie przy ruczaju, 320
 Okażę grób i zdroj,
 To mój, to mój, to mój!“

Wstrząsła się cerkwi posada,
 Z zrębu wysuwa się zrąb,
 Sklep trzeszczy, w głąb zapada,
 Cerkiew zapada w głąb. 350
 Ziemia ją z wierzchu kryje,
 Na niej rosną lilije,
 A rosną tak wysoko,
 Jak pan leżał głęboko.

Na czym polega вина złej żony? Co świadczy o jej zatwardziałości? Na czym polega kara, która ją spotyka? Co głównie budzi w nas grozę, czy zbrodnia? Z czego poznajemy, co się dzieje w duszy zbrodniarki? Czy nie uzmysławiają nam tego również pewne środki artystyczne, szczególnie powtarzanie wyrazów przez nią i przez poetę, gdy o niej mówi? A czy powtarzanie wyrazów nie spełnia także innej roli? (porówn. „Bieży przez łąki, przez knieje I górą i dołem i górą“; „Czekają wieczór dzieci, czekają drugi, trzeci...“). Zastanówmy się, jakie jest w „Liljach“ znaczenie asyndetów, jakie refrenów? (zwrócić uwagę na refren powtarzający się w zwrotce pierwszej i ostatniej). Gdzie spotykamy się z harmonią naśladowczą, gdzie z dyssonansami rytmicznymi? Co obrazują te dyssonanse? Czy znajdziemy w „Liljach“ myśl moralną? Jeśli tak, jakbyśmy ją wyrazili? — W których utworach dotychczas spotkalismy się z motywem zbrodni i kary? Czy stanowisko poety wobec winnego było zawsze jednake? — Spróbujmy określić stosunek „Lilij“ do pieśni „Stała się nam nowina“.

36. Idzie żołnierz, borem, lasem...

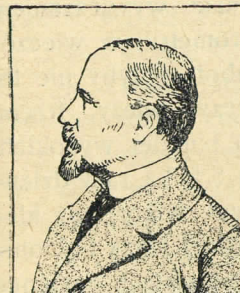
Idzie żołnierz borem, lasem, borem, lasem,
Przymierając głodu czasem, głodu czasem,
Suknia na nim oblatuje, oblatuje,
Wiatr dziurami przelatuje, przelatuje.
Chociaż żołnierz obszarpany, obszarpany,
Przecie stoi między pany, między pany.
Trzebaby go obdarować, obdarować,
Chleba soli, nie żałować, nie żałować.
W kotły, bębny uderzyli, uderzyli,
Na wojenkę zatrąbili, zatrąbili.
Starsza siostra usłyszała, usłyszała,
Bratu konia osiodłała, osiodłała,
A młodsza mu miecz podała, miecz podała,
Sama rzewnie zapłakała, zapłakała.
Nie płacz, nie płacz, siostró, brata, siostró, brata,
Powróć ja za trzy lata, za trzy lata.
Nie wyszło roku półtora, roku półtora,
Wojownicy jadą z pola, jadą z pola.
Witam, witam, mospanowie, mospanowie,
Daleko tam brat na wojnie, brat na wojnie?
Leży w polu na Podolu, na Podolu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu, ma w strzemieniu,
Konik jego wedle niego, wedle niego,
Grzebie nóżką, żałuje go, żałuje go.
Wstawaj, panie młodziesieńki, młodziesieńki,
Ja twój konik wiernusieńki, wiernusieńki.
Póki mój pan na mnie siadał, na mnie siadał,
Tom ja czyste ziarna jadał, ziarna jadał.
Teraz nie mam sieczki, słomy, sieczki, słomy,
Rozniosą mnie kruki, wrony, kruki, wrony.
Siostra wszystko wysłuchała, wysłuchała,
Potem rzewnie zapłakała, zapłakała.

Jaki nastrój budzi ta pieśń? Co wpływa na wywołanie owego na-
stroju?

37. Latarnik

przez Henryka Sienkiewicza.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinval, nie-
daleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to
wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść
nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został
splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodo-
bniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej
w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które
trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia miała
ma znaczenie, tak dla ruchu miejscowego jak i dla okrętów,
idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje
w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień
jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się



Henryk Sienkiewicz (ur. 4 maja 1846
w Woli Okrzejskiej na Podlasiu) już w młodych
latach, jako student uniwersytetu warszawskiego,
który zwał się wówczas Szkołą główną, próbo-
wał sił swych w zawodzie pisarskim, kreśląc
obrazki, szkice, a równocześnie zasilając czaso-
pisma licznymi artykułami. Po upadku powstania
z r. 1863 zapanowało w Polsce przygnębienie,
a pracy było mnóstwo: trzeba było podnosić
kraj z ruiny, myśleć o kształceniu młodego po-
kolenia, zająć się ludem wiejskim, na który rząd
rosyjski zastawiał sidła, trzeba było tworzyć polski przemysł. Sienkie-
wicz wspólnie z Prusem i innymi młodymi rozwinął działalność bardzo
żywą, właśnie przy pomocy artykułów. „Namawialiśmy ludzi — pisał
sam później — do zakładania straży ogniowych, szkółek, ochronek...,
spółek, banków... Nie dawaliśmy nikomu spokoju..., wołaliśmy o drogi
bite..., nie dawaliśmy chwili odpoczynku zalegającym w opłatach człon-
kom rozmaitych towarzystw... Słowem daliśmy się we znaki najspokoj-
niejszym obywatelom naszego kraju...”. Bo też „spokój”, bezczynność
zwalczał Sienkiewicz z całych sił. Sądził współcześni, że zasłynie
„Litwos“, bo tego pseudonimu używał S., jako znakomity dziennikarz,
tymczasem zaś pojawił się „Stary sługa“, a wnet potem „Hania“ (1876),
i Polska ujrzała, że w młodym publicyście tkwi dusza wielkiego artysty-
poety. Z ustaloną już sławą puścił się Sienkiewicz w roku 1876 w po-
dróż do Ameryki, a owocem tej podróży są prześliczne jego „Listy“.
Po powrocie zaczął ogłaszać coraz to nowe nowele i coraz to piękniej-
sze, a wśród nich znajdują się i takie, do których tematu dostarczył
mu pobyt w Ameryce. Znajduje się także „Latarnik“.

często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtórnie następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiesza się rozpróznionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swojej skalistej wysepki. Łódź z Aspinval przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morzę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku, w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc dostać się z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr.¹⁾ Izaak Folcombridge²⁾ był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodziewaniej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudzieści albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, skąd wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?
- Jestem Polak.
- Coście robili dotąd?

¹⁾ czytaj: Mister, pan, ²⁾ czytaj: Folkombridż.

- Tułałem się.
- Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.
- Potrzebuję odpoczynku.
- Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański, z wojny karlistowskiej, ten trzeci, to legja francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko? Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

- Potrafię być i sumiennym latarnikiem.
- Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stopy między New-Yorkiem a Kalifornją).

- *All right!* ¹⁾ Czy jesteście obeznani ze służbą morską?
- Trzy lata służyłem na wielorybniku.
- Próbowaliście różnych zawodów.
- Nie zaznałem tylko spokoju.
- Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

- Taki los...
- Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?
- *Sir!* ²⁾ — odezwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Pana-

¹⁾ czytaj: Ol rajt (wszystko dobrze), ²⁾ czytaj: Sör (panie).

mie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!*¹⁾ — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem *Good bey!*...²⁾ Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmięzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony, tęczyowy krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż obok olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego czarnego punkcika. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas pokoju. Poczucie bezpieczeństwa napępniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości,

jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrwał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australji, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indjach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornji fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko wybawiony został przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito“. Wreszcie przybył do Aspinval — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż bowiem mogło go dościsnąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że go prześladowają wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, wskazywał tajemniczo gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu,

¹⁾ czytaj: Uel, (dobrze), ²⁾ czytaj: Gud baj, (do widzenia).

kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indjanina i wielką, spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku, i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Łazł pod górę pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że chorym oddał wszystką swą chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Cekał ich niecierpliwie i myślał o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — zaczął tracić energję. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejszą do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się i ten hartowny żołnierz jał przeradzać się w bekse, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś.. Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, iż prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkim szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin

dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jak odurzony; że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności, i rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypłyły wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniejszej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwał mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przesłaniały księżyc. Z zachodu poczynano dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza zaczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą: w izbie zaś było spokojnie i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik! tak! zegara kołysało utrudzonego starca, jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze jest bardzo rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza

i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale aby ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeżeli się na nie zgodzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa człowiekiem zazwyczaj niemłodym, pośpym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swą latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem się styka latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda, to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciąglem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcie. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły nigdy nasycić się obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które passatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wioził podróżnych i towary do Aspinval, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinval i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki, nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku. Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia

ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo na błękie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzył się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności; myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załomach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni, chodził na ryby, któremi roiły się załomy skalne. Wkońcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi tłustymi roślinkami, sącącami lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przeźroczystą, widać było całe międzymorze aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvalu. Dalej między Aspinval a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wyziewów — las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, opłątany

lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliżone podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią, ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliżone grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione dręt看ami i rojące się od krokodylów, wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pajaki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na te lasy, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika”. — „I nie heretyk!” Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze niedowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego „Heralda”, pożyczanego u Folcombridge’a i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli było jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codziennie żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem¹⁾. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa.

¹⁾ czyt. Dżonsem.

Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawionej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia, nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jako osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie; ale wkońcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy — to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: „Skawiński Esq.”¹⁾ wypisany na grubym żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki; wziął jedną do ręki, spojrział i położył na powrót, przyczem ręce zaczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni — książka

¹⁾ Esquire (czyt. Eskuajr) wielmożny pan.

była polska. Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swojej latarniczej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie“ o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinval, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydawało mu się jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem południowego słońca, a na niej otwarta jest książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wielkimi literami wypisany tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanji, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W 49 roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą skwapliwością i z tem żywiej bijącym sercem przewrócił kartkę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyną się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły 5-tą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołyszany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvalu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się

drżący głos starego, który czytał głośno, aby samego siebie lepiej rozumieć:

„Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie
„Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
„Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
„Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze; opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
„I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
„Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
„Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(„Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
„Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
„I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
„Iść za wrócone życie podziękować Bogu) —
„Tak nas powrócisz cudem na ojczyznę łono...”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego, przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, zato, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyną zacierać. A teraz, „wracał cudem“ — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą; on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego

głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad pierwotnym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenos duszę moją utęsknioną
„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.
.....

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie; zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy“, zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem“. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?“ On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna; nie widzi ani ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widcie; teraz przeszłość ta przedstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widcie; zdala karczma ogląda płonąciami oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!“ To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tak nudno samemu na koniu. Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieobejrzana; opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś, zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać,

jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! Woddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli; jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty! wraz i żorawie krzyczą już gdzieś zwysoka. Ułanowi jakoś rzeżko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie; z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! O jedyna! jedyna!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim.

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns. — Chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San - Geromo rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął: inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinval do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porывał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

Dlaczego autor podzielił nowelę swą na trzy części? Jakie nagłówki możnaby dać tym częściom? (dla której najtrudniej obmyślić nagłówek?

z jakiego powodu?) Jakich uczuć doznaje kolejno Skawiński (w cz. I)? O ile w pewną sferę tych uczuć dozwala nam lepiej wnikać krajobraz? Jaką rolę spełniają obrazy przyrody w części II? Jaka kategoria uczuć zamiera w Skawińskim podczas jego pobytu na wyspie? Czy nagle? Jak się ujawnia odzicie ich (w cz. III)? Który ustęp w cz. III nazwalibyśmy wizją? W której chwili „Latarnik” wzrusza nas najsilniej? Które obrazy nazwalibyśmy nastrojowymi? Co wytwarza w nich nastrój?

38. Wieczory

przez Lucjana Rydla.

Lubiłem na wsi złote lipcowe wieczory,
Kiedy krwawą pożogą gmach niebieski płonie,
A słońce, na ognistym konające tronie,
Depce chmur cielska, jako czerwone potwory.

I zgłiszcza dogasają i bledną kolory
I ziemia zwolna w mroku szafirowym tonie,
A z łąk wilgotnych sianą zalatują wonie
I chórów żabich głośnie płyną rozhowory.

Księżyc poprzez topole świta złotorogi,
Echa zmieszanych głosów lecą gdzieś od drogi:
Pobrzękują uprzejme i gwarzą parobcy...

A potem cisza była. I gwiazd mleczne rzeki
Myśl moją tęskną niosły w świat jakiś daleki,
W świat szeroki, ogromny i dziwny i obcy.

Jaką rolę spełnia w tym utworze stopniowanie? Czy przy czytaniu „Wieczorów” nie przypomina się nam „Latarnik”?



Lucjan Rydel (ur. 1870 r., zmarły podczas wielkiej wojny), autor wielu pięknych utworów lirycznych, tudzież dramatów (np. Zaczarowane Koło), osiadł był we wsi Bronowicach pod Krakowem, poślubił tam włościankę tamtejszą i wiódł żywot wiejski.

39. W małej piosnce...

przez Marję Konopnicką.

W małej piosnce siły wiele,
Kto ją sercem gra...
W niej jest uśmiech — gdy wesele,
W niej — gdy smutek — łza...

Mała piosnka zapamięta
Każdy polny kwiat,
Czarodziejsko w niej zamknięta
Wiosna dawnych lat.

Piosnka idzie jak sierota,
Jak tęskniący duch,
I kołace w ciche wrota,
Gdzie jest brat, gdzie druh...

Piosnka ze snu serca budzi,
Gdy je drętwi cień,
I przed świtem woła ludzi
Na słoneczny dzień.

Z wiatrem leci echem chyżem
Do rodzinnych stron
I nad mogił drogich krzyżem
Bije w srebrny dzwon!

Co należy rozumieć w tym utworze przez „małą piosnkę”? Co daje piosnce „siłę”? Skąd czerpie soki żywotne? Dokąd podąża i co sprawia? W których ze znanych nam utworów (także z lektury pozaszkolnej) „piosnka” oddziaływa w jeden ze sposobów wskazanych przez poetkę.

Marja z Wasiłowskich Konopnicka, znakomita poetka, podróżowała wiele, ale myślą i sercem stale przebywała w kraju. Ukochała gorąco lud polski i jego życie, uczucia, dołą często obierała za przedmiot swej poezji. Pozostawiła też wielki poemat epiczny pod tyt. „Pan Balcer w Brazylii”, także z życia ludu. Prześliczne są jej nowele. Umarła w roku 1910, spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. (Portret w T. IV).

40. O miłości Ojczyzny

przez Karola Libelta.



Ojczyzna jest to naprzód ta ziemia, na której mieszkamy, z całą różnorodnością okolic, różnorodnością płodów, z całym osobnym typem, charakterem kraju tego; jest to klimat, niebo, powietrze i woda, z wszystkimi miejscowymi własnościami; powtóre jest to jeden lud, jeden ród, jedno plemię, z którego wyszli nasi rodzice, którego sami jesteśmy częścią; наконец jest to państwo

z wszystkimi swobodami i korzyściami moralnymi.

Karol Libelt, rodem z Poznańskiego, syn ubogiego rzemieślnika, wszystko zdobył własną pracą wytrwałą. Gorący Polak, walczył w powstaniu listopadowym, potem dwukrotnie więziony był przez rząd pruski. Brał jednakowoż stale bardzo żywy udział w życiu politycznym Wielkopolski, budził ruch umysłowy, przewodniczył poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Zastępował jako filozof i pedagog. Umarł w r. 1875.

Nie można zaprzeczyć, że pomiędzy ziemią a człowiekiem, tę ziemię zamieszkującym, jest bezpośrednie powinowactwo fizyczne. Zmiana pokarmu i powietrza wyraźny na cały organizm człowieka wpływ wywiera i działa przez ciało na umysł i na wszystkie władze duszy jego. Ziemia, dostarczająca pokarmów ludziom, przeistaczająca w ich ciała wszystkie pożywne cząstki swoje, jest istotną ich matką. Nic oczywistszego nad to, co co mówią księgi święte, że Bóg stworzył człowieka z mułu ziemi. Co ziemia wydaje, to się staje pokarmem człowieka i zamienia się w jego ciało. Ziemia, woda, powietrze i to ciepło klimatyczne ożywiają nieustannie ciało nasze. Jeżeli, jak sztuka lekarska uczy, co kilka tygodni odnawia się i przerabia cały organizm nasz, przeobrażanie się to nieustanne ciała naszego odbywa ziemia, którą ojczyzną nazywamy. Myśmy rzeczywiście jej skibą: i jakże jej nie kochać?

Z tego to względu, im bliżej człowiek z naturą złączony, im mniej odbiegł przez cywilizację od pierwotnych praw przyrodzenia, tem wydatniej odzywa się to powinowactwo ziemi do człowieka. Jest to owa tęsknota do kraju, na którą rzuceni w dalekie strony, zdala od ojczyzny, chorują. Między nimi a krajem, zda się, jak gdyby była niewidzialna siła, którą ziemia rodzinna przyciąga ciała swoje, a ta walka dwóch sił, niemożności wrócenia i owego pociągu do kraju, targa duszę nieszczęśliwego wychodźcy i jak ów sęp w Erebie wyrwa mu wnętrzności na dzień, które przez noc odrastają. — Niedowiarku, co nie wierzysz w miłość ziemi rodzinnej, w miłość matki-ojczyzny, patrz na współrodaka z okiem obłąkanem, wyteżo-nem ku stronom rodzinnym, z licem owiedłem i bladym, z sercem, do którego nic z wdzięków i rozkoszy świata nie przypada, z duszą spragnioną i łaknącą by też jednego tchnienia ojczystego powietrza; — a to wszystko wśród rozkosznego południowego nieba, wśród bogactw przemysłu i kultury, wśród światła nauk i oświaty: — a przekonasz się, jak sama ziemia domaga się na tych, co z niej ulepieni zostali, praw swoich.

Nie idzie więc wcale za tem, aby ta ziemia, którąś jako ojczyznę ukochał, obfitowała w dostatki i wdzięki przyrody. Pewien autor, opisując podróż swoją do Włoch, opowiada, że gdy go przewodnik po górach Styrii oprowadzał i pomiędzy

szczelinami skał pokazał mu widok na rozległą równinę, dziką, kamienistą, rzesisto obsutą łomami skał, wskazując na ten obszar rozległy, zawołał z uniesieniem: to ojczyzna moja! i we wzroku jego malowała się taka duma narodowa, takie zadowolenie, jak gdyby mu był jakie Eldorado¹⁾ okazał. Tak góral pokochał obnażone szczyty gór i duszno mu w strojnych ogrodach dolinach; — i mieszkanięc północy z pod skwarnych i barwistych okolic południa wraca do krain zimy, mgły i szarego nieba, bo to miejsca jego rodzinne, duszy jego tak lube, w nich on się czuje najswobodniej.

Wszystko, co tę jedność z naturą powiększa lub niweczy, zwiększa lub zmniejsza przywiązanie do ojczyzny. Ludy dzikie stosunkowo więcej mają przywiązania do miejsc rodzinnych, aniżeli narody oświecone. Tęsknią do dziczy lasów, w których leżą święcone ich gaje, do skał urwistych, po których jak gazele przebiegali; — tęsknią do krainy śniegów i lodów Skandynawji, równie jak Etjopowie do spalonych słońcem piaszczystych pustyń Afryki, i umierają z tęsknoty. Amerykanin na każde cięcie siekiery europejskiej, co się głuchem echem po lasach odwiecznych rozlega, truchleje, bo czuje, że z prześwieceniem tych kniei uszczuplają się granice siedlisk jego. Narody rolnicze z tego samego powodu mają więcej miłości ojczyzny, niżeli narody przemysłem idące; narody lądowe więcej, niżeli nadbrzeżne i wypiarze, których przemysł i handel w odległe kraje prowadzi i od ziemi ojczystej odrywa.

Dlatego kolonie wychodziły zawsze, już od Fenicjan począwszy, od narodów handlowych i nadmorskich. Rzadko kiedy byli ku wędrownikom skorzy rolnicy. Stosunek ten u naszych włościan mianowicie tak przeważny wpływ wywiera, że się z trudnością za swoje strony przenoszą i dlatego każda okolica, w okręgu mil kilku, jest stałym tych samych zawsze rodzin odciskiem, i co okolica natrafiamy na osobne, jej tylko właściwe rysy twarzy, na te same obyczaje, a nawet ubiory.

Ziemia zatem ojczysta jest pierwszą, główną podstawą miłości ojczyzny — ale nie jedyną, inaczej zamieniłaby się ta

¹⁾ kraj bajecznego władcy, w południowej Ameryce, niesłychanie bogaty; przenośnie: kraina rozkoszy, raj ziemski.

miłość na prowincjonalizm, a w dalszym następstwie rozdrobniłby się musiała na przywiązanie do stron i okolic, w których zrodziliśmy się i wychowali. Gdzie naród nie uczuje jedności swojej w innych żywotnych stosunkach, jakoto: w języku, literaturze, w rządzie, w instytucjach, w wychowaniu, tam się rozpaść koniecznie musi na prowincjonalne interesy, rozpierające się i wyosabiające się nawzajem ze szkodą całości; tam miłość ojczyzny szwank ponosi, i upadek krajowi zagraża. Nie z innego powodu odpadły Niderlandy od Hiszpanji, a Kozacy od Polski.

Człowiek rozmnoży w sobie miłość do całej ziemi ojczystej, gdy tę ziemię pozna na wszystkie strony, wzdłuż i wszerz ją przebieży, wszystkie malowne obrazy natury z niej zdejmie i w wyobraźni swojej i pamięci wiernie zachowa; — gdy się napije pełnemi piersiami ojczystego powietrza z różnej jego krynicy: — i tam, gdzie szumią puszcze czarne, i tam, gdzie porohami woda sina się rozbija, i gdzie szerokie łąny złotem kłosem powiewają, i tam na turniach gór ojczystych, strażnicach odwiecznych jego ziemicy.

Miłujeż ten ojczyznę swoją, kto obce zwiedził kraje, a swojego własnego nie poznał? — co wróciwszy z dalekiej wędrówki, prawi z uniesieniem o wszystkim, co widział, a tego uniesienia nie czuje, które na widok ziemi ojczystej natchnęło tylu młodych poetów, piewców Podola i Ukrainy, które wylało poematy Sybilli, okolic Krakowa i rzewną *Pieśń o ziemi naszej*? — Miłujeż ten ojciec kraj swój rodzinny, choć zapewnia, że miłuje ojczyznę, co podróż po cudzych krajach uważa za dokończenie wychowania syna i nato dostatków majątku swego nie żałuje, a ani mu przez myśl nie przejdzie, że zwiedzić kraj własny jest religijnym obowiązkiem naszym, jest podróżą nakazaną do Mekki, przynajmniej raz w życiu, od którego to przykazania ojczyzna tylko niemożnych uwalnia.

O młodzi mojego narodu! Cóż ci po tem, że w duszy swojej i pamięci swojej porozwieszasz obrazy obcych ziem, a obrazu własnej matki ziemi tam nie zawieszysz? Każdy twej ciekawości i znajomości świata odda sprawiedliwość, ale cię nazwie niewdzięcznym synem, nieczułym na drogie rysy matki-ojczyzny, co cię wykarmiła! Ona zawsze cudna, strojna, nie starze-

jąca się nigdy macierz, a w jej łonie tysiące tysięcy pokoleń, cały przemarły naród twój, ojciec twój. Jeśli więc chcesz być podobien ojcu i matce, zwiedzaj kraj ojczysty, a zwiedzaj, pókiś młody.

O te skarby, te obrazy
I natury i swobody,
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!

Poznanie kraju ojczystego jest więc uczuciową, poetyczno-religijną stroną miłości ojczyzny, na tej pierwszej podwalinie opartej. Drugą rzeczywistą, prozaiczną, socjalną stroną jest posiadanie ziemi, czyli własność gruntu, podnosząca wysoko patriotyzm przez podstawę czysto materialną. Żle sądzi, kto rozumie, iżby się bez tej podstawy w miłości obejść mogło. Stan społeczny na istotnych potrzebach jest oparty, którym samo uczucie nie starczy. Własność gruntowa, położona za wyłączną zasadę patriotyzmu, byłaby najbrudniejszym egoizmem, którym się kalały zwykle pokolenia ujarzmiające: lecz w połączeniu z innymi moralnymi podnietami miłości ojczyzny jest nie tylko godziwą, ale nawet potrzebną.

* * *

Atoli z ziemią połączeni jesteśmy samem tylko ciałem naszym. Wyższy, duchowy związek jest z ludem na tej ziemi mieszkającym. Ojczyzna staje się dopiero ożywionem wyobrażeniem, gdy sobie na tej ziemi wystawimy roje mnogiego ludu, naszych równoplemięńców równojęzykowych. Bez tego wyobrażenia ojczyzna byłaby grobem. Nieprzyjemne robi wrażenie dom opuszczony — smutno, głucho, ponuro w nim: — daleko okropniejsze wrażenie czyniłby kraj pustkami stojący.

Kocham nie tylko ziemię, ale i naród na tej ziemi mieszkający. Jestem skibą tej ziemi, ale jestem oraz kością z kości, krwią z krwi współplemieńców moich. Ich prochami i ich tchnieniem napełnione to powietrze, które ja do piersi mojej posyłam i z krwią moją powinowacę, a raczej spokrewniam. Ich zwłoki weszły w cząstkę tej ziemi ojczystej, która mnie na odwrót wykarmiła i wykarmia i tym chemicznym ciał składem

i rozkładem nieustannym wiąże się ze sobą materialnie naród i ziemia i nierozzerwanym spojem jednoczy.

Oderwij część narodu od ziemi, a uczynisz, jakbyś kilkoro dzieci od łona matki oderwał; i one płaczą; i ona płacze; i rzewny nieutulony jest ich żal. Żegna wędrowiec z rozczuleniem kraj swój rodzinny, który opuszcza dobrowolnie z nadzieją powrotu, choć nierychłego, i sto razy jeszcze się nań obejrzy, dopóki ostatniego szczytu góry, co się na pograniczu ojczyzny wznosi, z oczu nie utraci. Jakże dojmujący musi więc być żal wygnańca! Jaka rozpacz przerażająca tysięcy ludu, gdy im przychodzi na granic rozstaju rzucać — może na zawsze — ziemię ojczystą, ziemię przodków, ziemię, z której wapienia ich kości i ciała ich z jej cząstek roślinnych. Z taką rozpaczą rzucali Żydzi Jeruzalem i ziemię Abrahamów i Jakóbów; płacze starych i niemowląt, szloch kobiety, ryk, jakby bydłęcy, całego ludu pędzonego do niewoli babilońskiej byłby kamienie poruszył, a nie miałże poruszyć sędziego sprawiedliwego na niebie, by wziął zemstę z tyrana, a po wyjściu dni kary, by wrócił lud swój wybrany do ziemi przodków?

Tu się więc uczmy miłości ojczyzny, upatrując ją w tej jedności ziemi z narodem.

To pokrewieństwo ziemi z narodem tworzy znowu pokrewieństwo narodu między sobą i obudza miłość, jaka się z tego powodu między współrodakami objawia. Przekonywamy się o tem najoczywiście, gdy nam na obcej ziemi, stęsknionym do niej, zdarzy się napotkać krajowca. Pokrewieństwo narodowe odezwie się wtenczas w całej sile, i byle serca były prawe, powitanie będzie jak braci rodzonych. Odrazu wstąpi w nich zaufanie i przyjaźń rzetelna, a przedmiotem ich najczęstszych rozmów będzie ojczyzna, co ich spokrewniła. Bo jeśli strefy kuli ziemskiej są różne, różna w nich roślinność, różne wody, różny klimat, — różny też będzie typ ludzi, różna, że tak powiem, krew różnokrajowców. Ludy, jak ludzie, mają dlatego osobną, sobie właściwą fizjognomię duszy i ciała, osobne piętno, osobny charakter, po którym je poznasz i odróżnisz. Na milionach twarzy i na milionach dusz, od siebie indywidualnie różnych wyciskają się te same narodowe rysy i cechy. Jest narodowe, jak jest familijne, podobieństwo. Współrodacy nasi, z tych samych

atomów ziemi ojczyzny złożeni, są jednym rodzeństwem wspólnej matki, ojczyzny.

Kto miłuje ojczyznę, miłować powinien naród swój.

* * *

Narodowością w najściślejszym znaczeniu są te przyrodzone usposobienia i skłonności narodu, od których zależy jego sposób życia i jego charakter; następnie to wszystko, w czem się te skłonności objawiają, urzeczywistniają i ustalają. Nic zaś nie jest tak czystym i bezpośrednim wpływem właściwości narodowej, jak obyczaje i zwyczaje — do nich to szczególnie przywiązujemy znaczenie narodowości.

Obyczaje narodowe odnoszą się do samej kolebki, do samych początków narodu — przez narodowość (w tem znaczeniu) nigdy nie rozumiemy życia tegoczesnego pod wpływem nowej oświaty i nowych wyobrażeń, które się jeszcze w krew i w soki narodowości nie zamieniły; — ale życie domowe przodków naszych.

Naród się kocha w obyczajach swoich. To tylko jest narodowe, co na tej podstawie, jak na tle, się odbija. Krom tej podstawy niema narodowości. Słaba więc miłość ojczyzny, a może żadna w człowieku, na cudzoziemskich obyczajach zrosłym i wychowanym. Podobien do syna na łonie i w pieszczotach obcej niewiasty wychowanego; serce jego nie zadrgnie radością, gdy głosem, choćby serdecznym, własna matka się doń odezwie.

Niema zatem nic świętszego nad to, aby pierwsze wychowanie dzieci rozwijało się na narodowych podstawach. Jak kwiat bez słońca rośnie blade bez koloru, tak młódz bez narodowego żywiołu wyrasta blade, bez barwy, bez ciepła ojczyńskiego.

Narodowość złożona jest w sercach, uczuciach mieszkańców, jest ich najrzetelniejszą własnością, której im nikt odjąć nie może. Jest to święta „arka przymierza, między dawnymi a nowymi laty“. Narodowości nikt nadać i też nikt z serca wyrugować nie potrafi. Jeżeli naród był polityczny utracą, nie utracą przez to jeszcze narodowości swojej; tleć w nim będzie niepokalanym ogniem, dopóki go skażenie obyczajów, nadpsuta moralność wodą obojętności i lekceważenia nie zaleje.

Narodowość tak przerosła z uczuciem naszym, że niema narodu bez narodowości. I gdyby było podobna wytracić narodowość, naródby zarazem wytracić trzeba. Narodowość jest duchowem piętnem, charakterem niezmazanym, którym Bóg lud nacechował, aby go od innych ludów odróżnić. Kto się więc targa na narodowość, bluźni Bogu i podnosi rokosz przeciw wyrokowi jego. Z tego to tytułu obyczaje każdego narodu są tak święte i szanowne, i tylko niedowiarek, tylko człowiek bez Boga i bez miłości ojczyzny może się z nich natrząsać. Ty, co szydzisz z obyczajów narodowych, nie wiesz może o tem, że bez narodowości jesteś gałązką uschlą i odpadłą od pnia dębu ojczystego, nieprzydatną ani swoim ani obcym, dobrą chyba na ogień ku spaleniu.

* * *

Narodowość jest sercem, język jest krwią, ojczyste ciało narodu opływającą. Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i życie jego — wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje, bez języka narodowego niema narodu.

Język już jest wyższą duchową potęgą ojczyzny, niżeli były obyczaje, jest obrazem myśli i uczuć narodu. Jest to głos ojczyzny, z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim do swych dzieci przemawia, i działwa rodzona między sobą nim przemawia, i rozumieją się dzieci z macierzą.

Po języku, jak po odsadzonych warstwach ziemi, poznasz wiek i żywot narodu; poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe. Chcesz zbadać stan zdrowia lub choroby narodu, przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije; a poznasz stan gorączki, agonji lub niebezpieczeństwa. Chcesz je odwrócić, działaj na tę krew narodową, napraw soki pożywne, z których się rozwija, wydal cudzoziemczygnę, wychowaniu daj kierunek narodowy. Tak sobie poczęła sławna w dziejach naszych komisja edukacyjna. X. Onufry Kopczyński, Pijar — ten nieśmiertelny Kopczyński, czuł całą duszą swoją, miłości ojczyzny pełną, ile na zamiłowaniu i kształceniu języka narodowego zależy. „Kochany narodzie! powiada¹⁾, przedsiębiorzesz razem ze mną poznanie

¹⁾ Wstęp do gramatyki polskiej. Dzieło pozgonne, w Warszawie, 1817 r.

ojczystego języka, i jako tłumacza myśli twoich i jako wiecznej imienia twego pamiątki. Losy bytu naszego bardzo go chyłą ku zgubie i język też za sobą ciągną. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegoż się nie lękać od spojenia? O miłości ojczyzny! o żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z geograficznej karty dwa te najświetniejsze narody, a imię ich w porządku historii politycznej i moralnej błyszczący przed wszystkimi. Cóż im tę sławę zjednało? Język“.

Zaprawdę, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować od zupełnego zatracenia. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki ojczyzny. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym chrześcijaninom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikom do grobu z napisem: *pro Christo*. Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego; i dzieła ich, w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: *pro patria*. A ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali.

Bo zajrzyjmy głębiej, co jest język. — Gdy dziecię się z jego wiadomością nie rodzi, musi być język utworem narodu, osobny szczep lub pokolenie stanowiącego. Siła twórcza ducha człowieczego naprzód się w tem objawia, że głos swój na wyrazy urabia, któremi myśl swoją wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców zlewają się w tę siłę twórczą i do tego pierwszego dzieła duchowego, i język odbłaskiem być musi ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całej potęgi ducha. Wszystkie genjusze z tego plemienia dały dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją tym ogniem w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to w języku złożył. I stąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofja, że człowiek zdumiewa

się nad nią i prawieby sądzić był skory, że sam Bóg języka człowieka nauczył.

Zaprawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był tu nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednoszczepowego objawiający się. I tego to dzieła najszczytniejszego, tej mądrości czysto narodowej, tej puścizny po talentach i genjuszach wszystkich wieków istnienia narodu twojego — ty śmiałyś nie uszanować?

O bracia! słuchając wciąż mowy ojczystej, nie czujecie słodczy jej brzmienia, co wnika i przenika w głąb duszę, ale oddalcie się na czas w obce kraje, pożyczcie między cudzoziemcami, zachowując serce prawe i nieskażone, a zatęskni dusza wasza do tych głosów duszy waszej pamiętnych, co się niegdyś o niemowlące uszy wasze z pieszczotliwych ust matki odbijały, co potem same z piersi waszej dziecięcej płynęły, co później ogień i zapał młodzieńczego ducha waszego nieciły. O! jest tyle wspomnień czułych i świętych w pamięci naszej, które wszystkie głos rodzinny obrzmiewa, że gdy żal duszę ogarnie, te brzmienia odzywają się, jak dzwony pogrzebowe za minionymi laty, w których się żyło między swymi, a żyło się środkiem mowy ojczystej. A komu Bóg da wrócić w swoje strony, jaka radość ogarnie ducha, gdy rodzinne powietrze, już w granicach ojczyzny, zabrzmie dźwiękiem dawno upragnionym narodowego języka.

Porównać wywody Libelta i Skargi w kazaniu O miłości ojczyzny. Co, według kaznodziei i filozofa, każe nam kochać ojczyznę? W których z poznanych w tym roku utworów znajdziemy jakby ilustracje do wywodów Libelta.

41. Reduta Ordona

Opowiadanie Adjutanta
przez Adama Mickiewicza.

Nam strzelać nie kazano — wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole; dwieście armat grzmiało.
Artylerji ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi;
I widziałem ich wodza; — przybiegł, mieczem skinął 5
I, jak ptak, jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długa, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy,
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy. 10
Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz, bodzący morze, reduta Ordona¹⁾.
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpacz, 15
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.
Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza,
Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina wśród kolumny świeci. 20
Tam kula, lecąc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy, jak byk przed bitwą, miota się, grunty ryje; —
Już dopadła; jak boa wśród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słysząc po dźwięku, 25
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku;
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.
Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia? 30

Wybuch powstania zastał Mickiewicza w Rzymie. Zrazu przeszkody, niełatwe do przezwyciężenia, nie pozwoliły poecie wyjechać, później przez Francję i Niemcy podążył ku granicy. Ale powstanie już dogorywało. We wrześniu 1831 roku rozpoczęła się wędrówka uchodźcza: w Księstwie Poznańskim, w którym właśnie Mickiewicz bawił, pojawili się, między innymi, brat jego Franciszek i poeta Stefan Garczyński. Opowiadania uczestników walk podziały na Adama niezmiernie, począł on przeżywać wszystko, co przeżyli wczorajsi żołnierze, dziś tułacze. Pod wpływem opowiadań Garczyńskiego o bohaterskiej obronie reduty nr. 54 po lewej stronie Woli napisał „Redutę Ordona”. I Garczyński i Mickiewicz nie wiedzieli, że Ordon ocalał. (Walczył on później w kampanji włoskiej 1848 i 1849, w wojnie wschodniej 1855, a także pod Garibaldim w r. 1860).

¹⁾ reduta — mała fortyfikacja, opatrzona rowem, wałami i palisadą.

Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
 Król wielki, samowładnik świata połowicy.
 Zmarszczył brwi, — i tysiące kibitek wnet leci;
 Podpisał, tysiąc matek oplakuje dzieci;
 Skinął, — padają knuty od Niemna do Chiwy¹⁾. 35
 Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
 Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
 Czy poselstwo paryskie²⁾ twoje stopy liże:
 Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
 Podnosi na cię rękę i koronę ściąga, 40
 Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
 Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowiy!
 Car dziwi się — ze strachu drżą Petersburgczany,
 Car gniewa się — ze strachu mrą jego dworzany;
 Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara 45
 Jest Car. — Car gniewny: umrzem, rozweselim Cara!
 Posłany wódz Kaukaski³⁾ z siłami pół-świata,
 Wierny, czynny i sprawny — jak knut w ręku kata.
 Ura! ура! Patrz, blisko reduty, już w rowy
 Wałą się, na faszynę kładąc swe tułowy; 50
 Już czernią się na białych palisadach wałów.
 Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
 Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiska
 Wrzucony motyl błyska, — mrowie go naciska, —
 Zgasł; — tak zgasła reduta. Czyż ostatnie działo, 55
 Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
 Czy zapal⁴⁾ krwią ostatni bombardyer⁵⁾ zalał?
 Zgasnął ogień. — Już Moskał roгатki wywalał.
 Gdzież ręczna broń? — Ach dzisiaj pracowała więcej,
 Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!⁶⁾ 60
 Zgadłem, dlaczego milczy, — bo nieraz widziałem
 Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem.
 Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij:
 Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
 A wciąż brzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność; 65
 Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
 Nakoniec bez rozwagi, bez uczucia, pamięci,
 Żołnierz jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
 Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
 Aż ręka w ładownicy długo i głęboko 70
 Szukała, nie znalazła — i żołnierz pobladnął,

¹⁾ Chiwa, państwo Chiwińskie, leży po obu nadbrzeżnych nizinach rzeki Amin (Amu, Amu-darja), ²⁾ poselstwo Ludwika Filipa z prośbą o uznanie nowego rządu po rewolucji francuskiej 1830 r., ³⁾ generał Paskiewicz-Eriwanski, zwycięzca na Kaukazie, ⁴⁾ zapal — lont, ⁵⁾ starszy kanonier, ⁶⁾ głośne były parady i przeglądy wojsk na placu Saskim w Warszawie za czasów mikołajowskich, pod dowództwem W. Ks. Konstantego. O nim tu mowa.

Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął,
 I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
 Upuścił ją i upadł: nim dobija, skona!
 Takem myślił, — a w szaniec nieprzyjaciół kupa 75
 Już laża, jak robactwo na świeżego trupa.
 Pociemniało mi w oczach; a gdym łzy ocierał,
 Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
 On przez lunetę, wspartą na mojem ramieniu,
 Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu. 80
 Nakoniec rzekł: „Stracona“. — Z pod lunety jego
 Wymknęło się też kilka, — rzekł do mnie: „Kolego,
 Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale,
 Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?“ — Jenerale, 85
 Czy go znam? — Tam stał zawsze — to działo kierował,
 Nie widzę — znajdę — dojrzę — wśród dymu się schował:
 Lecz wśród najgęstszych kłębow dymu, ileż razy
 Widziałem rękę jego dającą rozkazy —
 Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę, 90
 Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
 Biorą go — zginął. — O nie! — skoczył w dół, do lochów!“
 „Dobrze, rzecze Jenerał — nie odda im prochów!“
 Tu blask, — dym, — chwila cicho — i huk jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów:
 Harmaty podskoczyły i jak wystrzelone 95
 Toczyły się na kołach; lonty zapalone
 Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
 Prosto ku nam i w gęstej chmurze nas ochłonił.
 I nie było nic widać, prócz granatów blasku,
 I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku. 100
 Spojrzałem na redutę. — Wały palisady,
 Działa i naszych garstka i wrogów gromady:
 Wszystko, jako sen znikło! Tylko czarna bryła
 Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mogiła.
 Tam i ci, co bronili, — i ci, co się wdarli, 105
 Pierwszy raz pokój szczerzy i wieczny zawarli;
 Choćby cesarz Moskałom kazał wstać: już dusza
 Moskiewska, tam raz pierwszy, cesarza nie słusza!¹⁾
 Tam zagrzebane tylu set ciał, imiona:
 Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordona. 110
 On będzie patron szańców! — Bo dzieło zniszczenia
 W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia!
 Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecze.
 Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,

¹⁾ Formy, przypominające formy rosyjskie, użył tu poeta rozmyślnie.

Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordoną;
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę!

115

Czy potrafimy zdać sprawę z uczuć, jakie budzi w nas „Reduta Ordoną”? Co składa się na te uczucia? Który składnik przeważa? Czy dozwala poeta poznać uczucia swe własne? — Skąd patrzy osoba opowiadająca? Jakiego kolejno obrazy widzi? Jakich uczuć doznaje? Dzięki czemu wyobraźnia czytelnika zdolna jest odtworzyć sobie z niezwykłą wyrazistością wszystko, co spostrzega osoba opowiadająca? (Zastanówić się nad znaczeniem „nagromadzenia”, „stopniowania”, „asyndetów” w „Reducie Ordoną”. Co osiąga poeta zmianą rytmu? Co osiąga tem, że opowiadanie wkłada w usta Adjutanta?).

42. Z Dziejów Baški Murmańskiej

przez Eugenjusza Małaczewskiego.

Zanim Warszawa ujrzała ją na placu Saskim, dzieje żywota jej były epickie, jak wędrówka „Kaniowczyków”¹⁾ do kraju przez Murmań, a rozgrywały się na tle egzotycznym... Bohaterka mej opowieści urodziła się na oceanie Lodowatym, o 250 mil morskich od zaśnieżonego lądu, na wielkim złomie kry, płynącej niby tratwa kryształowa z powolnym prądem mórz podbiegunowych...

Tak się złożyło, że Niedźwiedziówna (w pół roku potem przez legionistów polskich nazwana Bašką) ojca swego nigdy nie poznała. A był to niedźwiedź osobiłwy. Miał w sobie coś z nieuleczalnych tęsknot Robinsona, coś niecoś z odkrywczych ambicij Kolumba. Macierz Baški nie potrafiła swego małżonka do siebie przywiązać. W starym niedźwiedziu drgała niepocziwa żyłka obieżyświata, pokutował w nim wielki nicpoń i niebywały leń. Jak na bestję polarną był to stanowczo za duży kawał romantyka i fantasty... Z kry, na której podróż poślubną odbywali, spełził cichcem do morza i dał stułokciowego nura. A gdy

Eugenjusz Małaczewski walczył w oddziałach polskich na Murmanii; do Polski przybył przez Londyn i Paryż z armją Hallera. Za waleczność ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*. Zmarł przedwcześnie, w r. 1922. W zbiorze jego nowel i szkiców p. n. „Koi na wzgórzu” znajduje się również obrazek zatytułowany „Dzieje Baški Murmańskiej”. To, co pomieszczono w Wypisach, to epizody z owych „dziejów”.

¹⁾ żołnierze z brygady legionów pod dowództwem Hallera, którzy rzuciwszy front austriacki po traktacie brzeskim i połączywszy się z polskimi oddziałami na Ukrainie, stoczyli z Niemcami bitwę pod Kaniowem (11 maja 1918).

łeb z wody wynurzył, to nie obejrzawszy się nawet, popłynął, gdzie oczy poniosą... Tyle go widziano.

Baška przyszła na świat odrazu w pięknym futerku białym, z pyszczkiem pełnym śpiczastych zębów, zdrowych i mocnych, jak u młodego psa; zaś w łapach, zakończonych niedołącznemi jeszcze pazurami, przyniosła właściwą swemu gatunkowi, wrodzenie doskonałą umiejętność bytowania w żywiole wodnym...

Tegoż jeszcze dnia wypadło matce i córce puścić się wpław przez ponure, rozbałwanione wielkim wiatrem morze, aby się dostać na najbliższy ląd. Zmusił ich do tego wypadek, mający wszelkie znamiona katastrofy żeglarskiej. Oto lodowa tratwa, na której płynęły, nadwerężona nieustannym szturmem fal, rozpekła się niespodziewanie na kilka kawałków, niezdatnych wskutek pomniejszenia tonażu¹⁾ do niedźwiedziej nawigacji²⁾. A dokonało się to z trzaskiem, przypominającym wiwatowy wystrzał armaty średniego kalibru.

Rozbitkinie, zanurzone nagle po same dziurki nosów w pieńjące się odchlisko słonej wody, musiały niezwłocznie, bez dłuższych namysłów, wybrać między dwoma najbliższymi punktami oparcia, jakie im w nowej sytuacji pozostawały. Pierwszy — znajdował się o 250 mil morskich na lądzie stałym, drugi — tuż pod nimi wprowadzie, o 3000 stóp tylko, ale na dnie oceanu. Wybrały drogę dłuższą.

Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o strzelistych, załamanych grzbietach toczyły się jeden po drugim nakształt lewjatanów³⁾, przewracających się wśród ciężkiego pluskania z boku na bok. Ryczało morze, ryczała w niebogłósy stara niedźwiedzica, borykająca się z nawałą. Baška, uczeplona ze wszystkich sił pyszczkiem do kosmatego uda matki, zamknawszy szczelnie swe szczenięce jeszcze, nawpół ślepe oczki, płynęła niby łódka, holowana przez statek. Na progu życia poznała, co to jest wielki strach.

Po czterdziestu ośmiu godzinach walki z wiatrem, wodą i przestrzenią wydostały się wreszcie na upragniony ląd. Śnieg,

¹⁾ tonaż, ogólna suma tonn, którą zawierają okręty pewnej floty (tonna, jednostka wagi ładunków okrętowych), ²⁾ żegluga, ³⁾ lewjatan, potwór opisany w Biblii w księdze Joba.

leżący tam grubemi zaspami, wydał się im czemś tak wygodnym i błogiem, jak zdrożonemu włóczędze ciepła pierzyna. Odrązu zakopały się w nim z głową i spędziły dwie doby bez ruchu. A pomimo wielkiego odrętwienia czuły w sobie dotkliwie wszystkie swe kości naraz i każdą z osobna.

Jeszcze po tem epickim exodus¹⁾ nie zeszedł tydzień czasu, a już rozpoczęła się edukacja Baški. Cała nauka polegała na praktycznem poznaniu dwu umiejętności: myśliwstwa i sztuki pływackiej. Jakkolwiek tak szczupły zakres wiedzy z ludzkiego punktu widzenia może się zdawać czemś bardzo łatwym do osiągnięcia, nie należy zapominać, że każdy z dwóch działów nauki niedźwiedziej rozgałęzia się z kolei na tyle różnych „przedmiotów“, ile się wykłada w gimnazjum klasycznym z uniwersytetem łącznie... Baška, podobnie jak wielu sławnych ludzi w dzieciństwie, nie okazywała w początkach edukacji ani wybitnych zdolności, ani tem bardziej zbytniego do nauki zapału. Sprawiała raczej wrażenie istoty nad wiek nierozwiniętej, ospałej, a do tego mocno krnąbrnej. Niedźwiedzica-matka nie szczędziła jej przeto upomnień, wymierzanych doraźnie łapą rodzicielską. Od takiego upomnienia, któreby pogruchotało w drzazgi najtęższą ławę szkolną, leciały z Baški kłaki i rozlegał się kwik, jakby ją ze skóry obdzierano. Ale przecie miało to swój dobry skutek, i uczennica pod okiem roztropnej nauczycielki zaczęła robić widoczne postępy.

Nie upłynęły trzy miesiące, a Baška najzupełniej poprawnie umiała sztukę podchodzenia fok, a niełatwa to jest rzecz — podchodzenie fok, jeśli się zważy, że niedźwiedź biały jest wprawdzie biały, ale nos ma czarny... Gdy kudłaty myśliwy zbliży się do swej ofiary na kilkadziesiąt stóp (a robi to, kołując, z miną z głupia-frant, jakby go foki całego świata nic nie obchodziły, ba! jakby o istnieniu ich nigdy nie słyszał), dalej poczyną czołgać się na trzech łapach, a czwartą — nos zasłania sobie chytrze. Te ostatnie kilkadziesiąt stóp przepelza w parę, czasami w kilka godzin czasu, skradając się z iście złodziejską ostrożnością, aż przysunie się na odległość, którą przesadza paroma skokami. Dopiero wtedy może być pewien, że mu łup nie ujdzie.

¹⁾ exodus (greckie exodos) wyjście, tytuł drugiej księgi Mojżesza.

Z tych powodów zdobycie umiejętności zasłaniania nosa na łowach jest w gromadzie niedźwiedziej niejako tem, czem — matura szkolna w społeczeństwie ludzkim: kończy się szczeniakiem, zaczyna niedźwiedź. Pod wpływem częstych „upomnień“ matki Baška tę umiejętność osiągnęła w stopniu dostatecznym...

W owym czasie jeszcze większe postępy poczyniła w sztuce pływackiej. Na tem polu przewyższyła wkrótce wszystką rówieśną sobie młodzież. Cudny to był widok ujrzeć ją zażywającą kąpiei. Szkoła pływacka mieściła się w małej zatoce, którą tworzył ocean Lodowaty, wrzynając się w ląd rozległym półksiężycem zielonej wody. Pochyły brzeg, cały w śniegu, otaczał szmaragdową zatokę, jakoby szerokim srebrnym sierpem. Wylot ku morzu zagrodzony był potężnym murem lodozwalów, podobnych do ruin fantastycznej fortecy, przed wiekami postawionej z gór marmurowych i jakiegoś przeźroczystego kamienia... W gromadzie kąpiących się niedźwiedziąt Baška wyróżniała się zręcznością i wdziękiem. Nikt nie nurkował tak, jak ona. Gdy mając na grzbiecie kilka stóp przeźroczej, jak dym, wody, przeszywała sobą wodne głębie, rzekłbyś: pocisk, zrobiony z wielkiej głowy cukru, idzie na dno kamieniem. W chwilę już potem kołysała się łagodnie na powierzchni zatoki, nakształt bałwana ulepionego ze śniegu przez igrające dzieci. Albo płynęła wielkimi zygzakami, sterując z wdziękiem, niby biały łabędź po stawie. Nikt też, tak jak ona, nie potrafił „robić chryzantemy“. „Robienie chryzantemy“ w sztuce pływackiej u niedźwiedzi polarnych jest tak samo szczytem umiejętności, jak zasłanianie łapą nosa — w myśliwstwie.

Sztuka polega na tem, żeby złożyć wszystkie cztery łapy do kupy, wielki palec do wielkiego palca, zgiąć grzbiet w pałąk i, oddawszy się całkowicie wartowi prądu morskiego, płynąć bez najmniejszego ruchu, z wytkniętymi nad wodę nozdrzami. Takie ułożenie ciała daje doskonałą równowagę i pozwala płynąć bez najmniejszego wysiłku po kilka dni z rzędu. Setki mil można w ten sposób przebywać z łatwością, trzeba tylko dobrze orjentować się, którądy jaki prąd płynie, gdyż prądy, jak wiadomo, krzyżują się w oceanie, niby linje tramwajowe w dużem mieście. Niedźwiedź, podróżujący z łapami razem złożonemi, z grzbietem w pałąk zgiętym, gdy łagodna woda jego długą sierść rozczesze i porozdziela na niezliczone, jakby wciąż powie-

wające pukle, podobny jest do rozczochranego kwiatu białej chryzantemy, oderwanej od łodygi i płynącej bezdrożami...

Wypłuskawszy się dowoli w zimnej jak lód wodzie, Baśka wynurzała się z nadbrzeżnej piany, nieskazitelnie biała... Przytem dymiła z mokrego futra w mroźne powietrze kłębamii pary, niby pęknięty piec kaflowy. Siedząc tak i parując, oddawała się marzeniom.

Marzyła, jak marzy dziecko ludzkie, zanim pierwszy raz poczuje, że czuje, i pomyśli, że myśli. Czasami w jej marzeniach bezosobistych, powolnych jak tętno natury podbiegunowej, powstawał obraz, którego nie rozumiała, wspaniały jak rozblask zorzy borealnej. Wzruszenia przedziwne podnosiły się z dna jej duszy, niby owe pęcherze powietrza, które z dna poruszonej wody rosną ku powierzchni sznurami jakoby szklanych paciorków, niżących się na niewidzialną nitkę. Czuła wówczas, że coś łechce ją w gardziel, coś łaskocze w nozdrza. Więc poczyniała kichać po kilkadziesiąt razy raz po raz.

Baśka, jak się tylko wzruszyła, rozpoczynała zaraz kichać. Brano jej to za złe. Kichanie wydawało się gromadzie niedźwiedziej dziką nieobyczajnością, jak wogóle wszystko, co nie było w zgodzie ze zwyczajami, uświęconymi wśród niedźwiedzi od dnia założenia północnego bieguna... Wynikły stąd poważne zatargi z otoczeniem, a zwłaszcza ze starą niedźwiedzicą... Rozterka rosła. Baśka czuła się coraz gorzej, coraz więcej obco wśród swoich. Poczęły w niej kiełkować instynkty odziedziczone po ojcu. Nie mogła oprzeć się dziedzicznej tęsknocie do czegoś, co nawet w języku ludzkim nazwane być nie może.

Na schyłku jednego z parugodzinnych dni podbiegunowych, gdy nad zatoką zachodziło słońce, Baśka stała na brzegu, ciałem podawszy się naprzód, z wyciągniętą szyją i podniesioną głową. Patrzyła na zachód w krwawe i fioletowe łuny. Lodowce, odgradzające zatokę od pełnego morza, kwitły kolorowym blaskiem, jakoby pokryte wiszącymi grzędami hiacyntów. Woda wyglądała jak jeden wielki ogon pawii, po którym niezliczone iskierki mrowiły się i poskakiwały, nakształt brylantowych pchełek.

Było tak pięknie i smętnie i wzruszająco, że Baśka zaczęła kichać, jak z baterji. Poczem rzuciła się wpław ku dalekim lodowcom. Płynęła do słońca. Nim zaszło, była na pełnym morzu. Natknęła się wkrótce na silny prąd, zrobiła więc „chryzan-

temę“ i ułożyła się do snu. Żadna moc nie zdołałaby jej teraz zawrócić z drogi. Czuła bowiem do własnej matki taką niechęć, jak ongiś jej ojciec, stary morski włóczęga.

Zniknęły brzegi. Samotny, wspaniały ocean leżał dokoła, jak okiem rzucić, i kołysał wełną swoich fal. Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrnymi taśmami. Zapadła głucha noc.

W przedwiośniu roku 1919 Archangielsk nad Białym Morzem był okupowany przez Ententę i mocno obsadzony załogami wojskowymi niemal całego świata. Oczywiście nie brakło i Polaków..

Na pryncypalnej ulicy miasta w godzinach południowych wznosił się ruch pieszzy. Był to czas spotkań i spacerów. Po chodnikach, skleconych z deszczułek, ruchomych jak klawiatura i nagle podbijających stopę przechodnia, niczem djabełska trampolina, przechadzali się zamorscy zdobywcy...

W głębi jednego z zaułków, prowadzących do głównej ulicy, ukazało się kilku młodych wojskowych. Mieli na sobie zawadjacko załamane maciejówki z legionowymi orzełkami, tudzież płaszcze wdziane po leguńsku, z pewną artystyczną niedbałością, która zdradzała ciążenie ku elegancji w stylu wyraziście nadwiślańskim.

Jeden z młodzieńców, w szarży podchorążego, miał w prawicy kij żelazny, grubości palca, drugą zaś ręką trzymał owiniętą kilkakrotnie dokoła pięści łańcuch, zakończony stalową obrozą. W obroży targał się biały niedźwiadek, oglądający ponurem wejrzeniem, rzucaniem zpodelbą, uliczkę, zakopaną w śniegach powyżej płotów. Słońce świeciło małej bestji prosto w pysk, więc poruszała wciąż czarnym noskiem, oblizując się i od czasu do czasu kichając wielokrotnie a przenikliwie, niby zakatarzony kot.

Toczyła się rozmowa w tempie leniwem — typowe gędzenie rozpróżnionych żołnierzy, wałęsających się na słoneczku w bezpiecznym garnizonie, zdala od placu bitwy:

— A co będziesz z nią robił?

— Wziąłem na utrzymanie. Spójrzcie, jaka przystojna! Trochę z niej dzikus jeszcze, wczoraj ugryzła mię w łydkę, ale to się da odrobić... Nie słucha dobrego słowa, to posłucha kija. Narazie daję sobie z nią radę tem!

Tu wiodący Baškę podchorąży dźwięknął żelazną maczugą o bruk. Niedźwiadek szarpnął łańcuchem i zjeżył grzbiet. Rozległ się groźny pomruk, potem krótki, srogi ryk...

— A karmisz ją?

— No, przecie...

— Czem?

— Zjadła dziś pud świeżych flader, a prócz tego — parę butów, które grzały się przy piecu po wysmarowaniu tłuszczem.

— Apetycik, powinszować! Bardzo, bardzo miły zwierz. Buzię ma wcale, wcale inteligentną. I z oczu jej patrzy uczciwie. Niepotrzebnie nad nią się znęcasz. Jabym poradził dobrocią, łagodnością. Można pogłaskać?

— Owszem. Spróbuj.

Amator łagodnych metod pochylił się nad niedźwiadkiem i wyciągnął rękę, by go pogłaskać po spleśzczonym łbie. Zwierz lizał śnieg szkarłatnym jęzorem i na zniżającą się rękę nie zwracał pozornie uwagi. Lecz zaledwie go dotknęto, wykonał ociężałą głową zdumiewający, błyskawiczny ruch. Amator łagodnych metod mimowolnie wydał okrzyk i skoczył wstecz jak oparzony. Jednocześnie rozległo się głośnie kłapanie potężnie uzębionych szczęk, które, zamiast cofniętej szybko ręki napotkały próżnię.

— A to dzikie bydło! Ależ ona naprawdę kasa!

— Nie żartuje. Podziękuj, że prócz pary moich butów nie zjadła ci kawałka ręki.

Zapalono papierosy. Zewsząd dolatywał melodyjny dźwięk — podzwiek dzwonów od sanek, jeżdżących po mieście. Powierzchnia śniegu lśniła w słońcu, jakby posypana tłuczonym szkłem. W mroźnym powietrzu błąkały się wirujące iskierki lotnego szronu, niby ów brylantowy kurz, który zapala i się gaśnie w skośnym słupie blasku słońca, wpadającego do pokoju przez okno. Niedźwiadek coś mruczał i mamrotał, gmerając w śniegu czarnym nosem...

Żywot Baški wszedł w najświetniejszy swój zakres. Urodzona pod ciemną Gwiazdą Polarną, rozpoczęła karierę pod znakiem Marsa.

Na niedźwiedznika przeznaczono jej kaprała nazwiskiem Smorgoński. Kaprał trudnił się przed wojną rzemiosłem szewieckim, i Baška była pierwszym żywym niedźwiedziem, jakiego

w życiu na oczy uświadczył... Musztrował dotąd rekrutów, pobranych do wojska z pośród Polaków, których wojna rozprószyła po obszarach niezmierzonej Rosji, albo takich, którzy mieszkali tam od urodzenia... Bardzo często tylko jedno wyznanie wiary katolickiej było ostatniem ogniwem, łączącym ich z polskością. Z tego też powodu przezwano ich „katolikami“. Smorgoński, urodzony w Mińszczyźnie, sam wprawdzie z nich pochodził, ale wyrobił się był już na tęgiego żołnierza, przejawszszy od legionistów, z którymi spotkał się na Murmanii, „leguński“ sposób bycia. Musztrując powierzonych mu rekrutów, kłął siarczyście w narzeczu ziemi mińskiej, często gęsto sięgał do kwiecistego i niewyczerpanego słownictwa podoficerów b. armji carskiej, lecz gdy chciał rekruta upokorzyć ostatecznie, ciskał mu na głowę wraz ze splunięciem przez zęby: „Ech, ty, katolik!“ Pewnego razu zawezwany został przed gołowagę oblicze adjutanta. Wskazując Baškę, adjutant rzekł:

— Kaprał. Od jutra będziesz musztrował ją tylko jedną. Za dwa tygodnie ma umieć wszystko, co się przyzwoitemu niedźwiedziowi w wojsku polskim „gibiruje“. Możesz odejść. „Skończyłem“.

— Rrrrrrozkaz! — odrzekł kaprał z determinacją, biorąc do ręki łańcuch, na którym Baška była uwiązana.

— A dasz-że jej rady sam jeden? — zapytał jeszcze adjutant.

— A toż jak, panie podporuczniku! — brzmiała odpowiedź. — Mnie tam co! Taż ja całemu plutonowi... katolików rady dawał, tak jakby ja nie dał rady jednemu niedźwiedziowi? Niedźwiedź — nie katolik...

Ciężkie dni rozpoczęły się dla Baški. Jej mentor okazał się w nauczaniu gorliwszym jeszcze, niż była swego czasu niedźwiedzica-matka. Baška nie wniknęła zrazu w intencje swego profesora i w osiaganiu nowych doskonałości była za mało ambitna. Ale zato Smorgoński miał ambicji za dwoje. Postanowił, że jego uczennica musi umieć maszerować na dwóch łapach, krokiem strzeleckim, w takt muzyki, przygrywającej do marszu ceremonialnego. I postawił prędko na swoim... Nie jeden kij tęgi połamał na niej w drzazgi, a gdy, w imię obrażonej godności osobistej, zbyt głośno protesłowała, przemawiał do niej czule:

— Stul pysk durna! Toż dla twego dobra tataruję ci boki. Nigdy żaden niedźwiedź nie był taki uczony, jaka ty będziesz...

Zresztą pokochał ją serdecznie i zwierzał się przed nią, prowadząc z nią wieczorami długie rozmowy. Sypiali na wspólnym posłaniu, zrzadka się tylko wadząc... On też pierwszy nazwał ją — Baśką.

Parowiec płynął do Gdańska. Zimowe nadmorskie słońce jaśniało na wysokościach bladobłękitnego nieba. Nikły warkocz dymu snuł się z komina, niby z olbrzymiego cygara, wetkniętego pionowo w pokład okrętu. Za sterem ciągnęła się po wodzie śnieżno-zielona, wrząca bródza, rzekłbyś: wiorstowy niewód, napełniony po brzegi kotłującymi się rybami. Morze, drgające krótką, płaską falą, zdawało się kołysać nieustannie tysiącami luster, które odbijały tyle mokrego słońca, że blask ten zacinął w oczy wprost boleśnie, jakoby biczem, ukreśnionym z promieni.

Metalowe okucia na pokładzie jarzyły się chwilami jak bengalskie ognie. Na dziobie okrętu kupiła się gromadka żołnierzy z odsłoniętymi głowami. Mewy z radosnym piskiem śmigały tuż nad nimi, zdając się dotykać w locie skrzydłem ich włosów. W gromadce było gwaro, jak na bolszewickim wiecu. Rozlegał się śmiech, podobny do końskiego rżenia. Brzmiały okrzyki: „Śpiewać Lamenty! Chcemy Lamentów“!

Zaczem zaśpiewano chórem na nutę okrutnie dziadowską. Była to pieśń ulubiona przez Murmańczyków: „Lamenty podbiegunowe“, którą ułożył swego czasu nieboszczyk major Bogusław Szul:

Straśneż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszcześliwy legun,
Obronił biegun.

— — — — —
O gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chcę teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chcę wiele, tylko jedno wspomnę
Zycenie skromne:

Z pruskiej koruny już zrezygnowałem,
Mogę nie zaraz zostać gienerołem,
Tylko nam bilet, o Boże łaskawy,
Daj do Warszawy!

Śpiewom przysłuchiwała się Baśka, siedząca opodal na zwoju lin okrętowych. W momentach liryczniejszych łączyła swój srogi ryk ze śpiewem żołnierzy, co razem brzmiało bardzo efektownie. Kapral Smorgoński siedział wtulony plecami w jej bok futrzany, niby w poręcz wygodnej kanapy. Oboje czuli się nad wyraz dobrze.

Oddział Murmański wracał do kraju. Miał za sobą półtora roku walk po błotach i borach Rosji północnej. Był to bez wyjątku żołnierz otrząskany ze śmiercią, dzielny do wybitki, dobry do tańca, gorszy do różańca. Okryli się chwałą nieśmiertelną w oczach wojsk ekspedycyjnych całej Europy, rozkazy angielskiego dowództwa nazywały ich „Lwami Północy“. Miało się przypięty do piersi niejeden krzyż i medal francuski i angielski.. Jechali z Murmanu do Polski przez Anglię, gdzie podejmowano ich z królewskim przepychem...

Baśka towarzyszyła Oddziałowi wszędzie niby żywy sztandar. Była dumna ze swych Polaków, lecz i sama przynosiła im niemałą chlubę. Dziwił się świat, patrząc na dziką bestję egzotyczną, obłaskawioną, jak domowy pies.

— Wieźliśmy z sobą i tresowanego wieloryba, ale nam w drodze zdechł, gdyż zjadł przez pomyłkę pewną starszą miss, która miała fałszywe zęby i włosy... — łgali z humorem żołnierze polscy angielskim marynarzom z załogi statku.

Marynarze już tyle nasłuchali się o tej garstce Polaków, że bajda o wielorybie nie dziwiła ich bynajmniej; brali żart za dobrą monetę...

Kapitan statku obwieścił, że za godzinę ukaże się ląd na horyzoncie, polski ląd. Na tę wieść wyległo tłumnie na pokład bractwo z dusznych kajut... Smorgoński, który jeszcze nigdy nie był w Polsce, lecz twierdził, że też „wraca do kraju“, rzecze do swej kudłatej przyjaciółki:

— A widzisz, Baśka, a widzisz! A co, nie mówiłem! Wracamy do Polski. Ciesz-że się, durna! A wiesz ty, przynajmniej, co to jest Polska?... Nasz rodzony kraj, Baśka, bardzo piękny kraj!...

I w rozrzewnieniu ucałował ją..., a ona mu twarz całą obliżała gorącym językiem.

W Gdańsku wylądowano bez szczególnych przygód, jeśli nie liczyć małego zajścia, wieczorem, które zostało wywo-

łane prowokującą postawą żołdaków z „Grenzschutzu“ wobec naszych zuchów... Baśka walczyła w tej potrzebie, stając ramię w ramię z towarzyszami broni, i ona to w znacznej mierze przyczyniła się do przechylenia szali zwycięstwa na stronę polską. Nad ranem Oddział z bagażami i Baśką odjechał na wypoczynek do Modlina...

Po paru tygodniach pobytu w Modlinie Oddział wraz z nieodłączną Baśką wybrał się do Warszawy, aby się sprezentować przed Naczelnikiem Państwa.

Był to pamiętny dla stolicy dzień. Tłumy wyległy przed dworzec Wiedeński, by powitać żołnierzy, poprzedzonych wojenną legendą, jakiej od czasów San-Dominga nie znały polskie dzieje.

Z muzyką na czele, wybijając potężnie trzema stami nóg takt po bruku, niby cepami po klepisku, szedł Baon Murmański ku placowi Saskiemu. Dzień był pochmurny, grudniowy, lecz żołnierzom twarze jaśniały, niby od słońca: czuli, że są sławni i waleczni, że imponują wszystkim naokół...

Baśka w poczuciu wagi chwili kroczyła obok Smorgońskiego, nie rozglądając się i niczemu nie dziwiąc, była już bowiem bardzo dobrze wychowaną osobą.

Obok maszerujących szeregów, chodnikami i ulicą rwał potok ludzki. Przewracał się, zawadzając o małe dzieci i psy, rozbijał kolana i łby o słupy latarni, wpadał pod tramwaje i samochody..., byleby nie stracić z oczu białej niedźwiedzicy. W mig dowiedziano się o jej imieniu i szmer: „Baśka, Baśka!“ elektryzującymi kręgami rozchodził się w tłumie. A ona, słysząc swe imię, tysiącogębną famą wokół powtarzane, zhardziała jeszcze bardziej i szła już, nie wiedząc dobrze, czy to ją prowadzi za Oddziałem na łańcuchu, czy może ona raczej tych trzystu ludzi przed sobą popędza.

Tak doszli na plac Saski. Olbrzymi sobór o cebulastych kopułach wywarł na Baśce głębokie wrażenie. Nie mogła sobie tylko przypomnieć na razie, gdzie mianowicie coś podobnego widziała. Aż wspomniła się jej architektura lodowych gór, płynących po oceanie Lodowatym. Jedno do drugiego było podobne wprost uderzająco...

Nadeszła chwila defilady przed Naczelnikiem Państwa. Naczelnik bardzo się spodobał Baśce. Nigdy go przedtem nie widziała, jednak od razu, z pierwszego rzutu oka, doszła do przekonania, że ten wysoki człowiek w skromnym szarym płaszczu, z krzaczastymi brwiami i wąsami, jest na tym placu figurą naczelną, naczelniejszą od Smorgońskiego, który ją, Baśkę, trzyma na łańcuchu i uczy rozumu ogniem i żelazem, naczelniejszą od Dowódcy Oddziału, którego się Smorgoński boi, jak Baśka ognia, ba, naczelniejszą nawet od niej samej, od Baśki, na którą wszystkie zwracają się oczy! Gdy Naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął rękę, bez namysłu podała mu łapę, wykonawszy przytem coś jakby dyg ceremonjalny, jakiegoby się nie powstydziała najwytworniejsza dama Dworu. Rozeszli się, bardzo z siebie nawzajem zadowoleni.

Podczas defilady Baśka wywołała w tłumie widzów prawdziwy entuzjizm. Piękny to był widok, gdy szła na tylnych ła-pach, dorównywając wzrostem Smorgońskiemu, krok w krok z nim i resztą Oddziału, w momencie zaś, przepisany ustawą, zwróciła łeb do Naczelnika, salutując go dziarsko, jak szeregowy żołnierz w marszu...

Czy zainteresowanie się czytelnika, gdy czyta Dzieje Baśki Murmańskiej, skupia się stale na jednym przedmiocie? Spróbujmy określić uczucia, jakie opowiadanie to w nas budzi. Ile razy autor wprowadza czytelnika w nastrój zgoła odmienny od tego, jakim zdołał się już czytelnik przejąć? Czy przejścia z nastroju w nastrój odbywają się niespostrzeżenie, czy nagle, niespodzianie? Z którym z utworów pomieszczonych w tych Wypisach wiążą się Dzieje Baśki jakby ogniwo? Dzięki czemu? — Na jakie wrażenia jest autor bardziej czuły, na słuchowe, czy wzrokowe?

43. T o a s t

przez Henryka Sienkiewicza.

Było ich około pięćdziesięciu. Mieli jechać na nocny podjazd, ale tymczasem siedzieli przy ognisku i, spożywszy kilka baranów, których smakowity zapach czuć było w powietrzu, popijali gorzałkę. A zdarzyło się tak dziwnie, że choć była ich garść nieznaczną, zebrali się ludzie z różnych stron Rzeczypospolitej, jako to: wolentarze z pod pana Muraszki i z pod pana Zboińskiego z Mazowsza i z pod pana Prokszy, któren kreso-

wym ochotnikom przywodził. Komenderowano po kilkunastu z chorągwi, dlatego, że każdy pułkownik chciał mieć w podjeździe swoich ludzi.

Rej przy ognisku wodził, jak zwykle, pan Zagłoba, ale nie był w dobrym humorze, albowiem lubił się wywczasować, a tu tymczasem trzeba było czekać komendy, a potem siadać na koń i ciągnąć pod nieprzyjaciela. Pieczony udziec barani i dwie lub trzy kwaterki gorzałki pokrzepiły wprowadzić nieco ducha w starym wojowniku, jednakże nie przestał ludziom dogryzać, co omal nie stało się przyczyną ciężkiej niezgody i wielce ostrych pojedyneków.

Bo gdy tak siedzieli, popijając, trafiło się, że nad przygasłym ogniskiem oberwała się na nocnym niebie gwiazda i, ciągnąc za sobą świetlistą strugę, zgasła gdzieś w ciemnościach blisko ziemi.

Co widząc pan Pluta, Mazur, stary żołnierz z pod Zboińskiego, przeżegnał się i rzekł:

— Może to gwiazda którego z nas.

Lecz Zagłoba dmuchnął przed siebie po wypiciu nowej kwaterki, odsapnął i rzekł:

— Nie waścina.

— A czemu to?

— Bo Mazurowie ciemną gwiazdę mają, a ta była jasna.

— Niejednemu już, co tej gwieździe przymawiał, świeczki stanęły w oczach.

— Świeczki tym potrzeba, którzy się ślepo rodzą.

— Nie daj, panie Pluta, przymawiać Mazurom — zawołał pan Skulski, który, lubo łączycanin, służył z nimi od dawnych lat.

Więc pan Pluta — cięta szabla, ale jeszcze ciętszy język, wraz odparł:

— Mazur się ślepo rodzi, ale zato, jak przewidzi, to kpa i przez deskę rozezna.

Myśleli tedy wszyscy, że pan Zagłoba raz przecie nie znajdzie odpowiedzi, ale on począł tylko przytakiwać głową i rzekł:

— Słusznie! Słusznie! ma się rozumieć! swój swego i przezeskę rozezna.

Na to śmiech wielki powstał koło ogniska, a najgłośniejszemu pan Sipajło z pod Oszmiany.

— Bożeż ty mój — mówił. — Ot zapomniał języka w gębie. A jaby się nie dał skonfundować nawet i panu Zagłobie. Nie wiedzieć co! Niechby tylko!...

Tu pan Zagłoba, czując się poniekąd wyzwanym, spojrzał na niego niezbyt życzliwie, a pan Pluta, rad, że może na kogoś złość wyrzucić, huknął:

— Milczałbyś boćwino. Nie tobie, któryś prochu nie wachał, zabierać głos między starymi żołnierzami.

— Nie wachał, albo i wachał — odpowiedział z flegmą Sipajło. — Lepiej ja się może i częściej od waszmości potykał.

— Prawdę mówi — zawołał Zagłoba — przecie to oszmański szlachcic, co w jednym bucie, a w jednym łapiu chodzi. W takowym stroju, zwłaszcza w zimie na grudzie, musiał się często nie tylko potykać ale i zgoła przewracać.

Tu znów rozśmiali się wszyscy, a pan Sipajło, więcej wrażliwy niż wymowny, trzasnął z cicha szablą i rzekł:

— Kto mnie poprosi, temu nie odmówię.

Lecz witebszczanin, pan Portanty, począł go mitygować:

— Nie gniewaj się waść i nie ujmuj za głupią modą.

— Lepiej konserwować taką modę, niż mieć czarne podniebienie, jako witebszczanie — odpowiedział Sipajło.

— Lepsze czarne podniebienie, niż głupia głowa!

— Co u dytka!¹⁾ — zawołał pan Tretiak z pod Humania: — dość mi tych swarów przed wyprawą!

— Czego się waść wtrącasz? — zapytał pan Skulski, łączycanin.

— Bo mi się podoba.

— A mnie się nie podoba. Patrzcie go! Humaniczuk... Potrafią i waści przymówić.

— To przymów.

— A dobrze! Bre! Bre! humaniski dureń, co z cudzego woza *bere*, a na swój *klade*²⁾.

— Stulże gębę, piskorku! Siedem razy kaczka cię połknęła i siedem razy się wysliznęła.

¹⁾ dytka (did'ka): djabła (małoruskie), ²⁾ *bere*: bierze, *klade*: kładzie (małoruskie).

- Ty się zaś nie wyślizniesz... Parol!
- Dobrze! Parol! Jutro!
- To i ja kogo poproszę! — rzekł pan Pluta.
- Lepiej moich wnuków — odparł pan Zagłoba.
- A jaż to ostatni? — zapytał pan Sipajło.
- Kogoż waść prosisz?
- At! co wybierać... wszystkich i kwita!
- Baczność! — zawołał Zagłoba.

Jakoż do ognia zbliżył się oficer z pod chorągwi pana Radziożewskiego, a jednocześnie ozwało się ciche trąbienie przez munsztuk.

— Na koń — skomenderował oficer.

Poczem do pana Zagłoby:

— Siła na tym podjeździe zależy, więc staraj się waść dostać koniecznie języka, choćbyś też sam miał polec z polową ludzi.

— Dobrze — odpowiedział stary rycerz — lubo muszę waści rzec, że takie polecenie łatwiej komuś dać, niż samemu spełnić!

Oficer ruszył ramionami i zawrócił, a oni pojechali. Noc była gwiazdzista, ale bez księżyca. Za majdanem pół mili borku, dalej niezmierne łąki, na nich, jak zwykle latem, białe, nisko leżący tuman, niby morze bez końca. Wąska, pachnąca torfem droga biegła przez owe łęgi, aż hen, ku dalszym borom, między którymi stał nieprzyjaciel.

Gdy wjechali w tuman, ledwie człek człeka mógł dojrzeć, a o kilka kroków nie było widać nic.

— Choć w pysk daj! — mruknął Zagłoba.

Ujechali milę i drugą. W tumanie i mroku nie było słychać nic prócz parskania koni.

Aż tu naraz trzech ludzi, którzy jechali w przedniej straży, wrócili w cwał, krzycząc:

— Nieprzyjacieli! Nieprzyjacieli!

Tuż za nimi słychać było tętent nadbiegającej jazdy.

Pan Zagłoba zdarł bachmata i krzyknął:

— Bij!

I po chwili zwarli się tak, iż mogli się rękami za piersi chwycić. We mgle rozległ się szcęk szabel, a czasem huk sa-

mopału, czasem kwik koński i okrzyki walczących. Pan Zagłoba rykiem żubrowym przerażał ludzi w ciemnościach, ale i miotał się okropnie, gdyż straszny to był żołnierz, gdy go zanadto do muru przyparto.

Pan Skulski ciął jadownicę, po Łęczycu, tuż koło pana Tretiaka. Pana Portantego chlaśnięto przez policzek i byłby zginał, gdyby nie pan Sipajło, który, odbiwszy drugi cios, sztychem nieprzyjaciela w gardło ugodził. Pan Pluta, stary i cięty żołnierz, wił się wśród skrzętu jak wąż w mrowisku — i bił w całe kupy, jak jastrząb w stado dzikich kaczek.

I wzajem jeden ratował życie drugiemu, a wtem wstał powiew. Tuman zrzedeł trochę. Mogli się lepiej widzieć.

Węc przyrosło im serca i poczęli pokrzykiwać, aby tem lepiej każdy mógł rozpoznać, co się z towarzyszem dzieje i kogo ma przy sobie. Pierwszy pan Sipajło, który Plucie żywot zawdzięczał, krzyknął z głębi serca w tumanie:

— Górą Mazury!

— Żywie Oszmiana! — odgłosił Pluta.

A inni, nie chcąc się dać wyprzedzić, nuż wołać:

— Sława Łęczycy!

— Chwała witebszczanom!

— Górą Humań!

— Wiwat Rzeczpospolita!

Ale tymczasem natarto na nich z boków — ba — i z tyłu, tak, że wpadli, jako wilkowi w gardziel. Że jednak byli z różnych stron, przeto wstydzili się siebie wzajem, więc żaden nie prosił pardonu i bili się do upadłego — bez nadziei, ale na śmierć.

Byliby też wszyscy polegli, gdyby nie to, że pan Zboiński, wiedząc, iż w małej liczbie i w nocy nietrudno o przygodę, pociągnął za nimi w trzysta Mazurów, chłopów dobrych. Ów obeгнаł nieprzyjaciela, złamał, rozbił, część wyrzwał, część zagarnął i uwolnił podjazd z pod przemocy.

Lecz nie mógł powstrzymać zdziwienia, widząc ich robotę — gdyż istotnie, po desperacku się bijąc, naszatkowali ludzi, jak kapusty.

— Już chyba i aniołowie nie potykałiby się grzeczniej — rzekł.

Zaczem wrócili radośnie do obozu.

Ale, choć świt uczynił się, nim dojechali, nie poszli spać, a to dla wielkiej uciechy i dlatego, że poczęto ich zaraz częstować. Oni zaś jedli i pili, wystawiając jeden drugiego i słuchając pana Zagłoby, który coś skromnie o Termopilach wspominał.

A gdy już dobrze podpili, pan Portanty przyłożył nagle palec do ust i rzekł:

— Ba, a nasz parol? Jakoż z nim będzie?

— Parol? zjadł go nieprzyjaciel.

— I trochę mu niezdrowo — dodał Zagłoba.

A wtem pan Pluta, który się pokrzepił lepiej od innych, począł uderzać się dłońmi po piersiach, aż rozległo się w izbie — i wołać żalosnym głosem:

— Ja na stare lata miałbym Kainem zostać i rozlewać niewinną krew Abła? na stare lata? ja? Pluta!

I zawył wielkim płaczem, co usłysawszy inni, kiedy bo nie rykną — aż ludzie z pod innych chorągwi zaczęli ich otaczać, ciekawi, co im się mogło wydarzyć.

Tymczasem powstał pan Zagłoba i, podniósłszy z nieźmierną powagą garniec miodu, rzekł:

— Komilitoni moi, dzieci *eiusdem matris* ¹⁾, dwa jeno słowa powiem, ale kiej, kto mi nie przywtórzy:

— Kochajmy się!

— Kochajmy się! — powtórzyły wszystkie usta.

A w tejże chwili na rogach majdanu poczęto trąbić — nie przez munsztuk, ale rozgłośnie, jak czyniono zwykle przed wielką bitwą.

Jakie rysy, znane nam z Trylogji, ujawniają się u pana Zagłoby w „Toaście”? Co doprowadza „komilitonów” do sporów, grozących rozlewem krwi? Czy wiemy, gdzie rzecz się dzieje? z kim toczy się walka? Dlaczego z temi szczegółami Sienkiewicz nas nie zaznajamia? Może znajdziemy jakiś głębszy powód? Jakie refleksje nasuwa „Toast”, także ze względu na chwilę dzisiejszą?

Czy utworów, poznanych w tym roku, nie możnaby ułożyć w grupy ze względu na pewną wspólność treści, myśli przewodniej, nastroju, ze względu na ich charakter epiczny, liryczny lub dramatyczny, na charakter

¹⁾ tej samej matki.

języka (poetyczny, naukowy)? — O ile dzięki tegorocznej lekturze rozszerzyła się nasza znajomość życia obyczajowego naszych przodków w wieku XVII, XVIII, na początku wieku XIX? Które utwory pozwoliły nam poznać lepiej temperament, życie, obyczaje naszego ludu? w jakim zakresie? — W których baczną naszą uwagę zwracała plastyka w przedstawieniu postaci, sytuacji, przyrody, przedmiotów martwych? Dzięki jakim środkom artystycznym rysowały się w wyobraźni naszej obrazy plastyczne? — Czy czytając utwory, które wzbudzały w nas wesołość, zawsze śmialiśmy się jednakowo? Kiedy pełną piersią, kiedy z równoczesnem rozrzwaniem? Co było tego powodem? — W których utworach celem poety było wywołanie wzruszenia przez przedstawienie bólu? Jakiego rodzaju bólu rozróżnilibyśmy? Jaki był jego wyraz zewnętrzny? — W których utworach ujawnił się żywioł dziwności? W których był on czemś istotnem (bez czego nie byłoby utworu), w których jakby okrasą? — Które z utworów nazwalibyśmy nastrojowemi? Jakiego zarysowały się różnice w nastroju utworów poszczególnych? W których utworach dostrzegliśmy stopniowanie nastroju? (czem poeci osiągnęli wzrost lub spadek jego natężenia?) — W których utworach autorowie nie ukrywali swych uczuć, w których dążyli do przedmiotowości, w których ją osiągnęli? — Zastanowić się nad stosunkiem krajobrazu do zawartości treściowej poszczególnych utworów i do głównego uczucia, jakie je przenikało. W których istotą był krajobraz? — Do których postaci poznanych z tegorocznej lektury odnosiłby się mogła maksyma „Największem zwycięstwem jest zwycięstwo nad sobą” (wykazać na czem zwycięstwo polegało). W których ucieleśniał się ideał poświęcenia dla dobra ogółu? Którą z tych postaci najbardziej podziwiamy? (dlaczego?) — Porównać kompozycję poszczególnych utworów epicznych, biorąc pod uwagę te szczegóły, na które zwracano uwagę przy lekturze.

(Przy rozważaniu powyższych zagadnień uwzględnić także utwory nie pomieszczone w tej książce, ale przeczytane w tym roku, w szczególności „Pana Tadeusza”, „Zemstę” i „Pana Wołodyjowskiego”).



KSIĄŻNICA POLSKA

TOW. NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

LWÓW, ul. CZARNIECKIEGO 12

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59

:: poleca wydawnictwa : ::

- Bartunek J.: Preparacja do Antygony Sofoklesa.
Caesar: Commentarii de bello Gallico, opr. Terlikowski.
— Słowniczek do Commentarii de b. Gall., opr. Terlikowski.
Cicero: Wybór mów, Część I., opr. J. Szczepański.
— „ „ „ II., „ „ „
— „ „ „ III., „ „ „
— „ z pism filozof. opr. J. Szczepański.
Cybulski Stef.: Podręcznik języka łacińskiego.
Danysz A.: Materiały do kompozycji łacińsk. dla klas wyższych.
Euripides: Medea.
Fiderer E.: Gramatyka grecka.
Fischer K.: Preparacja do Apologii Platona.
Frączkiewicz A.: Pierwsza książka łacińska.
— Druga „ „
Gebert i Gebertowa: Historia starożytna, Część I i II.
— Wypisy do historii starożytnej.
Horatius: Poezje. wybrał i opracował T. Sinko.
Koncewicz: Słownik łacińsko-polski.
Ksenofont: Wybór z pism, opr. E. Fiderer.
Lebiedzki: Słówka do Iljady, ks. II.
Livius T.: Dzieje rzymskie, opr. J. Jędrzejowski.
Ovidius P.: Wiazanka wierszy, opr. T. Sinko.
— Słowniczek do Wiazanki wierszy Ow., opr. T. Terlikowski.
Platon: Obrona Sokratesa, wydanie szkolne.
— Wybór z pism, opr. J. Jędrzejowski.
Plinusz Młodszy: Listy wybrane.
Plutarch: Żywoty Cicerona i Demostenesa.
Samolewicz Z.: Gramatyka łacińska dla kl. I—II.
Samolewicz Z. i Sołtyś T.: Gramatyka łacińska, Cz. II. Składnia.
Seneka L. A.: Listy moralne do Lucyljusza oraz Księga o sposobach na przypadki, przeł. M. Olszowski.
Sofokles: Antygona; Edyp w Kolonie.
Vergilius: Wybór z dzieł, opr. T. Sinko.
— Preparacja do Wergiljusza, Cz. I., II., III., opr. Pilch.
Węclewski: Słownik grecko-polski.



p.8358

KSIĄ

TOW. N

Lwów, ul. Czarnieckiego 12

Warszawa, Nowy Świat 59

poleca następujące książki dla młodzieży :

Chrzanowski B. — Z wybrzeża i o wybrzeżu.

— Na kaszubskim brzegu.

Czernecki J. — Brzeżany.

Jezierski E. — Ojczyzna.

— Serce Polski.

Kasprowicz J. — W setną rocznicę skonu Kościuszki.

Machjawił Mikołaj. — Książę, oraz Fryderyk II.
króla pruskiego — Antymachiawił. Przetłumaczył
Dr. Cz. Nanke.

Opaliński Ł. — Obrona Polski. Przetłumaczył Dr.
K. Tyszkowski.

Orobkiewicz W. — Z dziejów walk i cierpień na
kresach. Z 12 ilustracjami i barwną okładką.

Ostrowska Br. — Książka jutra, czyli tajemnica
genjusza drukarni.

Polski łań. — Zbiór społecznych poezyj.

Romanowski M. — Wybór pism T. I. i II.

Skoczylas L. — Wyspiański, jako poeta państwo-
wości polskiej.

Ślęczkowska M. — Wśród dziejowej zawieruchy.

— Z orląt orły. Powiastki i obrazy historyczne.

Wayda W. — Pod Krzyżem południa. Kartki z po-
dróży do Australji.